



KATARZYNA
ENERLICH
Czas w dom zaklęty

mg

KATARZYNA
ENERLICH
Czas w dom zaklęty

mg

*Chcesz być szczęśliwy przez chwilę? Zemścij się.
Chcesz być szczęśliwy na zawsze? Przebacz.*

Henri Lacordaire

*Co to właściwie za życie: bez domu,
bez odziedziczonych rzeczy, bez psów?*

Rainer Maria Rilke

Jerzemu i Mateuszowi -
w podziękowaniu za Dom i Szczęście...

Książkę tę dedykuję ponadto ważnym
w moim życiu kobietom:
Dorocie i Miriam - które są jak Petra i Sara z tej powieści,
oraz moim pokrewnym duszom: Irencie, Basi i Bożence
i jeszcze jednej, której imienia nie wymienię,
ale Ona wie, że o nią chodzi

Ruta szła długim, wąskim korytarzem domu opieki w małym miasteczku gdzieś na Mazurach. Podłoga z zielonej terakoty, ściany z wystającymi uchwyty dla niepełnosprawnych, brak kwiatów na parapetach i firanek w oknach sprawiały, że panował tu klimat bardziej szpitala niż domu - na którego namiastkę liczyli przecież tutejsi podopieczni.

- Pokój numer trzynaście?... - zapytała przechodzącą młodą dziewczynę. I pomyślała: Nawet teraz, w takim miejscu, ona musi mieć numer, który się źle kojarzy.

Dziewczyna wskazała drzwi na końcu korytarza. Obok nich wisiał znajomy obrazek z latarnią morską (aż dziwne, że wciąż go jeszcze ma!), a na podłodze, tuż przy drzwiach, stała doniczka z dorodnym niegdyś fikusem.

Zmarniał, jak wszystko w jej życiu - pomyślała, dotykając zakurzonych listków. Ten fikus... Tak, pamięta, gdy potknęła się o niego, popchnięta w złości. Pamięta też twarz tamtej - wykrzywioną grymasem wściekłości. Bała się tego grymasu - powracał potem do niej przez lata w koszmarach sennych. Wtedy, gdy spadły na nią uderzenia kapcia, zakończonego ciężkim kauczukowym obcasem, a ona nie miała siły się bronić.



Reszel - senne miasteczko warmińskie, niedaleko granicy z Mazurami. Góruje nad nim wspaniały zamek biskupów warmińskich. W takich właśnie miasteczkach drzemią niezwykle historie, podobne do tej z powieści.

*Obraz Moniki Bogdanowicz, utalentowanej artystki z Reszla,
www.monika-bogdanowicz.pl*

Czujesz, jak trudno odnaleźć drogę Od jednego istnienia do drugiego?¹

- Ty kurwo, zabiję cię, zobaczysz! - wciąż jeszcze słyszała ten wrzask, choć minęło tyle lat. Ale wtedy... Czowała, że tamta naprawdę chce ją zabić i zostawić w tym fikusie na zawsze. Nie zabiła. Listonosz z listem poleconym akurat skręcał w wąską ścieżkę prowadzącą do ich domu. Tego dnia miał mniej pracy - gdyby niósł renty lub emerytury, zesłoby mu dłużej, zwłaszcza u Kopalińskich, którzy czasem częstowali go nalewką domowej roboty. Dziś na szczęście pojawił się na czas. Usłyszała jego zbawienne kroki na żwirze. Pomyślała, że zdarzył się cud. Listonosz słyszał całą awanturę. Wpadł gwałtownie do sieni i szybko wykręcił rękę uzbrojoną w kapeć. Odepchnął wysoką, postawną kobietę, zdziwił się, że choć taka stara, ma w sobie tyle siły, podsycanej zapewne nienawiścią.

Potem pomógł Rucie wydostać się z donicy z fikusem. Kręciło się jej w głowie. Z rozciątego łuku brwiowego sączyła się na białą bluzkę krew. Była odświętnie ubrana na rozdanie świadectw. Karminowe krople przez chwilę tylko szklily się na powierzchni białego jak śnieg płótna, chciwie spijane, zabierane w głąb. Dekolt bluzki nasiąkał niczym bibuła, widać było czerwoną smugę na jej jasnej skórze. Poczwała, że za chwilę zemdleje, zapadnie się w watę własnej świadomości, miękką, nieprzyjazną...

Listonosz zdecydowanym klepinięciem w twarz przywrócił ją światu. Patrzyła, jak mężczyzna unosi jej nogi wysoko, nad głowę, i zdenerwowanym głosem pyta:

- Halo, słyszy mnie pani? Może wezwę pogotowie...

Zapach w korytarzu był ostry, szpitalny. Nie znosiła go. Chlor, agresywne środki myjące, ta instytucjonalna higiena na wysoki połysk, wprowadzona w pogoni za certyfikatami tak bardzo przypominały jej tamten pobyt na oddziale ginekologicznym, kiedy straciła nadzieję na szczęśliwe macierzyństwo...

Żeby tylko nie pomyśleć źle o niej, gdy już tam będę, gdy do niej wejdę. Żeby tylko... Przecież powinnam wybaczyć... muszę - powstrzymywała swoje myśli, bo pogalopowały w jakimś rozgoryczeniu do chwili z przeszłości, kiedy tamta podniosła na nią rękę po raz kolejny, tym razem uzbrojoną w kij od szczotki, i uderzyła zniecka i boleśnie w łydkę. Noga odruchowo uniosła się i zaplątała w poszerzoną lekko na brzuchu sukienkę w

biało-niebieską kratkę. Poczła nagle, jak jej ciało bezwładnie opada na stopnie schodów, a następnie turla się po nich, niezatrzymywane przez nic i przez nikogo. A potem ten ból w dole brzucha, początkowo tylko lekko ćmiący, ale z każdą chwilą coraz silniejszy, jak skurcz. I ciepło krwi na udach.

Nacisnęła klamkę. Za chwilę zobaczy tamtą kobietę, jeszcze starszą, bardziej pomarszczoną, jej wąskie oczy otoczone szaroniebieskim cieniem, jakby codziennie robiła sobie makijaż tandetnymi kosmetykami bez właściwego wyczucia koloru. Zobaczy jej wąskie usta, które czasem krzywo zaznaczała brązową szminką, jakby w próbie powiększenia ich, nadania im pełniejszego w jej mniemaniu, kształtu. Ta brązowa szminka była jej łącznikiem z kobiecością - zasuszoną jak zebrany latem rumianek na cienkiej gałązce. Te jej usta zaciśnięte w grymasie bądź rozchylone słowami kolejnej modlitwy wypowiedzanej na głos, jakby chciała swojemu bogu przekazać całą krzywdę życia i wyprosić siły na dalszą nienawiść - poruszały się lekko, nawet gdy milczała. Krótkie siwe włosy, czesane z rzadka i niestarannie, z widocznymi zagnieceniami od poduszki lub czapki dodawały jej lat i podkreślały złość na twarzy.

Za chwilę zobaczy ją... Swoją oprawczynię... To ona zabrała jej matkę, dziecko, mężczyznę i miłość... Tak wiele krzywd. Czy zdoła jej wybaczyć? Czy poradzi sobie z tym? Teraz targały nią wątpliwości, czy dobrze robi, zjawiając się tutaj. Czy dojrzała do tego i czy to jest właśnie ten moment? Czy poprzez to wybaczenie ma szansę wyzwolić się od ościenia lat spędzonych w domu pod lasem? Z tamtą pod jednym dachem?

Czy będzie miała dość siły, by skrzyżować z nią spojrzenia? Czy w ostatniej chwili nie spanikuje, czy zachowa spokój i zdoła wypowiedzieć to jedno słowo: przebaczam? Ile człowiek może znieść, by jeszcze mieć siłę wybaczyć?

Ale wie również, że jeśli tego nie zrobi, tamten dom pozostanie na zawsze miejscem przepelnionym nienawiścią. W tej chwili pomyślała o ludziach, którym go sprzedała. O mężczyźnie i jego żonie, i o dziecku, które niebawem ma się im urodzić. Tak, wybaczenie jest konieczne, by nienawiść nie wróciła do nich, do tego nienarodzonego jeszcze człowieczka, jak niegdyś, niczym odbita w lustrze, wróciła do niej.

- I dom twój oraz ziemia twoja biednymi się staną i zepsutymi. I wszelkie jedzenie smakować ci będzie jak piołun... - Pamięta słowa wypowiedziane przez Sarę, tajemniczą kobietę z kazimierskiego rynku, na który poszła zaraz po spotkaniu z synem Serafiny, gdy już mieszkała w Krakowie. Nie wiedziała, kim jest Sara, gdy ta podeszła bez słowa i wzięła ją za rękę, wpatrując się w płataninę linii papilarnych. Nie chciała pieniędzy. Jej ciemne oczy miały takie samo chmurne spojrzenie, jakie Ruta widziała kiedyś na fotografiach w

Oświęcimiu.

- Bóg, stwarzając nasz świat, wyzwolił potężne światło, które miało wypełnić przygotowane wcześniej sefiry, służące Mu za naczynia. Trzy pierwsze wytrzymały moc tego światła i tak powstało dobro, jednak następne pękły. Jest to kosmiczny dramat „zniszczenia naczyń”, Żydzi mówią na to *szewirat ha kelim*. Popękane naczynia, a raczej ich skorupy, opadają na dno wszechświata i stają się złem. Nie dopuść, by to zło opadło na dno twego serca. W życiu trzeba umieć wybaczać...

A potem powiedziała jeszcze:

- Strzeżnij proch ze swoich stóp i idź dalej, przed siebie. Zostaw za sobą to, co złe.

Skąd Sara wiedziała to wszystko? Intuicja? A może to ona, Ruta, miała wypisane na twarzy swoje obawy, zapytania? Zupełnie niespodzianie Sara stała się jej przewodnikiem w krainie wybaczenia. To dzięki niej postanowiła podjąć próbę oczyszczenia swojego serca z brudu i gniewu. A może... były to wyrzuty sumienia, że przez jej słowa, wypowiedziane na koniec wspólnego mieszkania pod jednym dachem, umarł mąż tamtej, karmiącej się złem kobiety? Ale czy słowa i myśli mogą mieć aż tak wielką moc wpływania na rzeczywistość?



- I dom twój oraz ziemia twoja biednymi się staną i zepsutymi. I wszelkie jedzenie smakować ci będzie jak piołun... - Ruta pamiętała słowa, wypowiedziane przez Sarę, miedzianowłosą tajemniczą kobietę z kazimierskiego rynku.

*Obraz Moniki Bogdanowicz, utalentowanej artystki z Reszla,
www.monika-bogdanowicz.pl*

Ryn - senne mazurskie miasteczko u podnóża krzyżackiego zamku. Zarówno przed wojną, jak i po niej jego malowniczość przyciągała turystów.

Życie w takim miasteczku biegnie innym rytmem, spokojniejszym, poddanym innym prawom, jak to na prowincji...

Pocztówka pochodzi z archiwum Ryńskiego Centrum Kultury

Sara, podczas ich pierwszego spotkania, opowiedziała jej pewną historię:

„Pewien indiański chłopiec zapytał kiedyś swojego dziadka:

- Co sądzisz o panującej na świecie sytuacji?

Starszy człowiek zastanowił się chwilę i odpowiedział:

- Gdy o niej myślę, czuję się tak, jakby w moim sercu toczyły walkę dwa psy. Jeden jest pełen agresji i nienawiści. Drugiego przepęlnia miłość, przebaczenie i pokój.

- Który zwycięży? - chciał wiedzieć chłopiec.

- Ten, którego karmię... - odpowiedział dziadek”.

Sara podniosła głowę i odgarnęła z twarzy miedziane włosy. Była zupełnie obcą kobietą, a jednak... Ruta miała wrażenie, że spotkała ją już kiedyś.

- Wiem, że zastanawiasz się, czy potrafisz wybaczyć. Widzę, że to cię dręczy. Pamiętaj, myśli nie przychodzą do nas przypadkowo. Pojawiają się z jakiegoś powodu. Rozważ to, choć w tej chwili możesz nie rozumieć, czemu przebaczenie stało się dla ciebie tak ważne.

I to wszystko. Kilka zdań, a w nich to, co najważniejsze. Inne słowa, które usłyszała, pokrył kurz niepamięci, a więc nie były dość ważne.

To spotkanie na kazimierskim rynku stało się dla niej przełomem, a usłyszane słowa pomogły w układaniu na nowo myśli i pragnień.

Pchnęła drzwi do pokoju numer trzynaście. Jej serce drżało jak rozkołysane łożyski pachnącej migdałem maciejki, które obserwowała w swoim ogrodzie. Miała kiedyś swój ogród. A teraz? Doniczki na balkonie, w których wciąż hodowała maciejkę... Na razie uczyła się trudnej sztuki zapominania, nie mogła więc stworzyć swojego ogrodu od nowa. Jeszcze nie teraz. Zakluczała wspomnienia, zamykała furtki przeszłości.

Kobieta imię miała iście anielskie i to Rutę zwiodło. Kiedy spotkały się po raz pierwszy, Ruta była jeszcze młodą dziewczyną. Licealistką. Piętnastolatką, no prawie szesnastolatką. Miała ciemne włosy i czarne oczy w kształcie migdałów. Znajomi mówili, że ma mocny wzrok. Gdy kogoś słuchała, zatapiała w niego tę swoją czarną sondę. Rzęs tylko natura zapomniała jej dodać, więc czerniła je sobie tuszem, znalezionym w kosmetyczce mamy. Zależało jej, by wyglądać ładnie, kobieco. Była dość pulchna i nie wyglądała jak jej koleżanki - chude patyki. Mimo młodego wieku miała całkiem wydatny biust, czego się raczej wstydziła, lecz co z czasem stało się jednak powodem słusznej dumy. Ale do tego musiała dojrzeć. Nie była ładna w powszechnym tego słowa znaczeniu, jednak w jakiś sposób przyciągała wzrok. Choć gdyby opisywać po kolei każdy element jej twarzy, przypominałoby to opis postaci z obrazu Picassa. Dopiero te wszystkie detale razem, złożone w całość jej

twarży: zbyt duży nos, mięsiste usta, lekko kwadratowa twarz i duże uszy - tworzyły interesującą całość. Już jako dorosła, Ruta nauczyła się wydobywać makijażem to, co najciekawsze. Jej uroda intrygowała tych mężczyzn, którzy w kobiecie nie szukają jedynie słodkiej Barbie.

Gdy Ruta chodziła do liceum, jej matka postanowiła kupić część domu na obrzeżach niewielkiego mazurskiego miasteczka, którego główną atrakcją stanowił wyniosły zamek krzyżacki na wzgórzu. Dom był oddalony o dwadzieścia minut marszu od centrum pełnego ciasnych, urokliwych uliczek, zdeptanych przez kolejne pokolenia mieszkańców. Stał sobie taki niepozorny i szary, tuż przy ścianie lasu. Dalej był już inny świat, żadnych zabudowań, tylko niczym nieskrępowana przestrzeń. Właśnie ten las urzekł jej mamę, Krystynę.

- Tu zamieszkamy, Ruto - powiedziała do niej zupełnie poważnie, chyba pierwszy raz jak do dorosłej kobiety.

Ruta nie lubiła swojego oryginalnego, trochę przedwojennego imienia. To był czas zarezerwowany dla Dorot, Aś, Kaś, Baś, Goś i Iz, a nie Rut! Skąd takie imię?

- To imię babci, mamy twojego ojca - przypominała jej czasem matka. Tak, Ruta dobrze o tym wiedziała. Babcia była przedwojenną Mazurką, pochodzenia żydowskiego. Naprawdę miała na imię Ruth, ale kiedy po wojnie zdecydowała się zostać w Polsce (nazwisko miała całkiem polsko brzmiące), postanowiła imię spolszczyć, dodając literę „a”. Jej nieprzeciętna uroda łamała męskie serce, nawet gdy była już w mocno zaawansowanym wieku. Zajmowała się rękodziełem, ręcznie malowała naczynia produkowane w jakiejś manufakturze. W tamtych czasach farby używane do malowania były bardzo toksyczne. Zmarła wiele lat temu na raka płuc. Mimo że często wypoczywała w sanatoriach, nie zdołała zwalczyć tej strasznej choroby. Ojciec... Kolejna osoba, która odeszła na drugą stronę rzeczywistości, nieznaną, niedotykalną. Jak przez mgłę Ruta pamiętała jego szczupłą, wysoką postać. Mógł mieć około trzydziestu lat, ale był całkiem siwy. Nazywała go Tunio. Beztrosko noszona na barana, krzyczała: „szybciej, wyżej!”, fikając nogami ubranymi w kolorowe rajtuzy. Tunio zaplatał jej warkoczyki, cienkie jak mysie ogonki, i cierpliwie czekał, aż mała Rutka zje śniadanie, dłubiąc w jajecznicy za dużym na takie rączki widelcem.



Ryn - senne mazurskie miasteczko u podnóża krzyżackiego zamku. Zarówno przed wojną, jak i po niej jego malowniczość przyciągała turystów.

Życie w takim miasteczku biegnie innym rytmem, spokojniejszym, poddanym innym prawom, jak to na prowincji...

Pocztówka pochodzi z archiwum Ryńskiego Centrum Kultury

Któregoś dnia Tunio zniknął. Poszedł do szpitala, jak powiedziała matka. „Jak to - poszedł, przecież nie mówił, że wychodzi?” - dziwiła się Rutka. Nie wrócił. „Dlaczego został w szpitalu i nie chce wracać do swojej córki?” - pytała smutno mamę. „Tatko jest chory” - wyjaśniała jej przez łzy kobieta, której piękno nagle znikło z twarzy, jak za dotknięciem różdżki złej czarownicy. Potem dowiedziała się, że Tunio miał jakiś wylew. Pomoc przyszła za późno. Matka i córka zostały całkiem same, w mieszkaniu na drugim piętrze jednego z nowoczesnych osiedli. Życie kazało im pozbierać się jakoś - Krystyna była dyrektorką szkoły podstawowej, osobą znaną w miasteczku i musiała zarówno wychować córeczkę, jak i stawić czoło wyzwaniom w swojej odpowiedzialnej pracy. Nie miała czasu na żałobę, a może to właśnie praca sprawiła, że pozbierała się po odejściu męża na tyle, by funkcjonować i radzić sobie z codziennością.

Ruta, naznaczona swoim pólseroctwem, spoważniała, nie była już tą samą beztrosko-radosną dziewczynką. Uprosiła mamę, by pozwoliła jej obciąć mysie ogonki, bo „nikt już ich nie zaplecie tak ładnie jak Tunio”. Mama zaprowadziła córkę do fryzjerki, która jednym cięciem pozbawiła ją ostatecznie, szczególnej pamiątki po ojcu. Dziewczynka dorastała i ich małe mieszkanie stawało się za ciasne. Dwa przechodnie pokoje z ciemną kuchnią na końcu - architekt powinien dostać złoty medal za taki projekt - nie spełniały ich oczekiwań. Poza tym Ruta była nad wyraz towarzyska; wciąż przychodzili do niej jacyś znajomi, koledzy, koleżanki. Jej matka jedynie późnymi wieczorami i nocami mogła pracować w spokoju i ciszy, a wtedy światło lampy budziło córkę.

Krystyna całymi latami ciułała pieniądze, by, gdy Ruta chodziła już do liceum, podjąć wreszcie decyzję - sprzeda mieszkanie i kupi wymarzony dom! Akurat nadarzała się okazja - jakiś człowiek od pół roku bezskutecznie próbował sprzedać połowę wielkiego domu na peryferiach miasteczka, tuż pod lasem. No i cena była wyjątkowo atrakcyjna. Aż niepokojąco niska. Krystyna postanowiła więc umówić się na oglądanie domu.

Na miejscu zastała dość otyłego i rubasznego mężczyznę w typie pyknika, który od razu wzbudził jej zaufanie. Przedstawił się jako Józef Śląski i powiedział, że chce wyjechać, nomen omen - do Katowic, na Śląsk i tam zacząć nowe życie. Śpieszy mu się, dlatego sprzedaje swoje pół domu tak tanio.

- To zrozumiałe - powiedziała Krystyna, kiwając głową. Wydawało się jej, że zna już powód, dla którego cena domu jest tak niska.

Miejsce bardzo jej się spodobało - bliskość lasu napawała jakimś bezpieczeństwem. Obok był ogród, słychać było świergot ptaków i szum drzew. Urocze miejsce!

- Jest jeszcze coś, o czym muszę powiedzieć... - Te słowa zmałyły nieco jej radość,

odkrywała właśnie dużą piwnicę, o wiele większą od tej, którą miały w bloku. Naciskała żeliwną klamkę, chwając w myślach mazurską dbałość o szczegóły, gdy Józef Śląski zatrzymał ją w pół gestu rzuconymi jakby od niechcienia słowami.

- Taaaak? - spytała nagle zaniepokojona, patrząc z w jego szare oczy.

- Sąsiedztwo... - powiedział wolno, zawieszając głos, starając się, by brzmiało to jak najbardziej rzeczowo.

- Jakie sąsiedztwo? - zapytała prawie drżącym głosem, zatrzymując dłoń na żeliwnej klamce, jakby w obawie, że jeśli otworzy drzwi, to nie będzie już odwrotu.

- Dość trudne. To starsze małżeństwo. Mają dwóch synów, ale ci rzadko tu bywają - wyjaśniał pośpiesznie, jakby chciał zrzucić z siebie brzemię słów, niewygodne dla obojga. Ten pośpiech rodził w Krystynie jakiś dziwny, niewytłumaczalny niepokój, którym podzieliła się z córką dopiero po kilku miesiącach od tego dnia.

- Dlaczego „trudne”? Co to znaczy? - dociekała Krystyna.

- No, nie są to łatwi ludzie. Są starzy, mają swoje przyzwyczajenia. Zresztą najlepiej będzie, jeśli sama ich pani pozna i oceni. Za jakieś pół godziny powinni wrócić z wieczornej mszy; codziennie chodzą do kościoła. Wypijemy herbatę na tarasie, zapozna się pani z domem bliżej, a jak będą szli, to usłyszymy ich na pewno...

Krystyna się zgodziła. Euforia, jaką czuła po oględzinach domu, brała w niej górę nad irracjonalnymi obawami i przeczuciami. Taki piękny dom, i w tak korzystnej cenie! Policzyła, że po sprzedaniu mieszkania i dołożeniu oszczędności wystarczy również na całkiem przyzwoite umeblowanie! I już marzyła, jak go urządzi.

Herbata Śląskiego była zwyczajna i miała aromat... szafki, z której została wyjęta. Najwyraźniej gospodarz nie zabiegał o to, by parzyć dobrej jakości listki, wystarczały mu torebki z otwartego kartonika. Piła niechętnie, posłodzwszy więcej niż zwykle w nadziei, że cukier uczyni znośniejszym smak brązowego płynu.

Na ulicy rozległo się szczekanie psów i po chwili zaszeleścił żwirek na dróżce prowadzącej do domu.

- Już idą - powiedział nagle jakby poirytowany gospodarz. Oboje podeszli do okien i ujrzeli wolno idącą parę starych ludzi. Ona - postawna, wyprostowana, sprawiająca wrażenie samicy alfa, stawiała kroki twardo i zdecydowanie. Krótkie włosy, dość pospolita twarz, sylwetka mocna, choć nie otyła. On - drepczący za nią, lekko przygarbiony człowieczek, uśmiechał się do sąsiadki za płotem.

- To właśnie oni. A raczej ona. Ta sąsiadka. To trudna kobieta. On jest bardzo spokojny. Nie pamiętam nawet, czy kiedykolwiek z nim rozmawiałem. Jest przez nią

całkowicie zdominowany. To ona o wszystkim decyduje.

- Wyglądają całkiem sympatycznie. Tak... przedwojennie - powiedziała z nadzieją w głosie.

- Niestety, jeśli o nią chodzi, wygląd jest złudny. Lepiej nie poznawać jej charakterku - dodał Śląski.

- Mimo wszystko spróbuję. Proszę chwilę poczekać, zejść i przywitam się z przyszlými sąsiadami - odparła Krystyna i wyszła z mieszkania. Zanim zeszła drewnianymi schodami, tamci dotarli już do kamiennych, prowadzących do klatki schodowej. Dom miał bowiem coś w rodzaju obszernej sieni, na dole znajdowały się drzwi do sąsiadów, a schody po prawej prowadziły do Śląskiego. Z lewej strony było wejście do piwnicy. Używane tylko przez tych z parteru. Do piwnicy Śląskiego wchodziło się od zewnątrz. Za to tuż przy drzwiach do jego mieszkania na piętrze dostrzegła schody prowadzące na wspólny strych, umownie podzielony na strefy użytkowania jednych i drugich sąsiadów - Śląski chętniej korzystał właśnie ze strychu, bo nie musiał przechodzić obok drzwi sąsiadów. Krystyna zatrzymała się na schodach przed wchodzącymi.

- Dzień dobry - powiedziała pewnym głosem, jakby znali się od lat. Uważała, że potrafi ich ocenić po sposobie, w jaki się do niej odezwą. Wiadomo, pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Starła się patrzeć na nich bez uprzedzenia, które zaszczerpił już w niej Śląski.

- Dzień dobry - odpowiedziała głośno kobieta, lustrując Krystynę wnikliwie.

- Pani do nas? - odezwał się nieśmiało mężczyzna.

- Nie, oglądam mieszkanie na górze, myślę, czyby nie kupić, bo państwa dotychczasowy sąsiad postanowił je sprzedać - wyjaśniła niewinnie.

- Tak, rozmawialiśmy o tym, prawda, Mieczysławie? - kobieta zwróciła się do męża.

- Owszem, duszko, coś mówiłaś mi ostatnio.

- Nie ukrywam, że jestem coraz bliższa decyzji - powiedziała Krystyna, próbując wyczuć, kim jest ta kobieta, o której mówił Śląski, że jest „trudna”, choć w tej chwili wcale na taką nie wyglądała. Owszem, była dość, hm, duża, ale jej oczy wzbudzały zaufanie. No i ten kościół codziennie. Krystynę to przekonywało - choć sama nie była osobą gorliwą religijnie, to jednak wydawało jej się, że ci, którzy dużo się modlą, mają w sobie spokój.

- Jak to dobrze, że nareszcie zmieni się nam sąsiedztwo. Nie wyobraża sobie pani, co to za człowiek z tego Śląskiego! Wciąż nam przeszkadza, puszcza głośno muzykę, gdy my słuchamy wieczorem radia albo gdy się modlimy. Albo na nas krzyczy, że mu niby ogród niszczymy albo samochód rysujemy gwoździem. To są bzdury, wymysły, ale co tu się dziwić, niewierzący. A pani wierząca?

- To znaczy... - zająknęła się Krystyna.

- Na pewno spodoba się tutaj pani. Świeże powietrze, las, do jeziora blisko. My nie jesteśmy uciążliwi, wiadomo, starsi ludzie, ale dobrze mieć pewność, że w razie czego na górze mieszka ktoś z dobrym sercem, kto pomoże, szklankę herbaty poda, jak trzeba. Mamy dwóch synów, ale mieszkają daleko, dobrze jest móc liczyć w razie potrzeby na sąsiadów.

O tym wszystkim Krystyna opowiedziała potem Rucie, która długo jeszcze szukała odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że jej matka straciła wtedy całkowicie swoją intuicję. W którym momencie czujność matki została uśpiona. I co by było, gdyby wtedy nie uwierzyła słowom starej kobiety, albo gdyby w ogóle nie czekała na nich, wracających z kościoła, tylko wyszła z tego domu z ostrzeżeniem Śląskiego w pamięci i nigdy już tam nie wróciła. Dlaczego nie wyczuła, że ten dom nie jest miejscem dla nich? Że skrywa w swoich posępnych murach jakąś tajemnicę, że czeka na nie jak delikatnie unosząca się na wodzie *Aldrowanda vesiculosa*², wychwytyująca szklistymi łodyżkami swoje przypadkowe ofiary. Miały być kolejnymi - po Śląskim, a jeszcze wcześniej po jego poprzednikach - po tamtej kobiecie, jej mężu i pasierbie.

Może... gdyby wszystko wtedy ułożyło się inaczej, jej mama żyłaby do dziś?.. Jak wiele w naszym życiu zależy od jednej chwili?

Jednak tamtego dnia... Ruta pamiętała, matka wróciła z przekonaniem, że ich przyszli sąsiedzi są całkiem niegroźni. No, może trochę zdziwaczali. Nie dało jej do myślenia nawet to, że kobieta nie patrzyła jej prosto w oczy, lecz zerknęła fałszywie na boki. Uznała, że mężczyzna, od którego chciała kupić dom, nie rozumiał potrzeby wypoczynku, ciszy na modlitwę. Będzie dobrze... - myślała, umawiając się na podpisanie wstępnej umowy.

Ruta bardzo chciała obejrzeć ich przyszły dom. Zarażona entuzjazmem matki wierzyła, że uwiją tam kolejne, bezpieczne gniazdo.

Wspólna wizyta u Śląskiego upewniła ją w tym. Tak ładnie mówił o domu i jego zaletach. Jednak gdzieś na dnie serca czuła, że wstąpiła na ścieżkę, którą nie powinna podążać. Zmiana zawsze wywołuje niepokój - odrzucała swoje przecucia. I patrzyła z uśmiechem, jak matka składa zamaszty podpis na umowie, w gabinecie miejscowej notariuszki.

Śląski przeliczył pieniądze, które Krystyna dała mu jako zaliczkę, wyraźnie zadowolony, że dom będzie miał kolejnego właściciela. Nie lubił tego miejsca, ale nie znał jego historii. Tę miała poznać dopiero Ruta, w dalekiej przyszłości...

Klamka pokoju numer trzynastcie ustąpiła. Drzwi bezszelestnie się otworzyły, od razu ujawniając wąskie łóżko, na którym, nogami do drzwi, leżała wychudzona postać. Rucie

przemknęło przez myśl, że to niedobrze leżeć nogami skierowanymi w kierunku drzwi. Wydało jej się to złowróżbne, łóżko powinno stać inaczej. Odpowiedziała jednak natychmiast sobie samej, że to już chyba nie ma teraz znaczenia. Spojrzała na leżącą postać. Nie, to chyba nie mogła być ona, Serafina, tamta była wysoka, postawna, a ta tutaj: kupka kosteczek obleczonych żółtą skórą. Tak, na pewno pomyliła pokoje! Ruta spojrzała jeszcze raz na numer na drzwiach. Trzynasty. Nie ma wątpliwości. Zatem - Serafina została gdzieś przeniesiona albo pomylił się syn tej kobiety, gdy podawał numer. Już chciała wyjść z sali, kiedy nagle postać na łóżku otworzyła oko. Podniosła głowę z poduszki i szepnęła, wyciągając do Ruty dłoni, bezbarwną, woskową, ze skórą naciągniętą tak niebezpiecznie, że aż błyszczała jak u manekina.

- Ruta... Nareszcie... - doszedł ją szept.

A zatem... To jednak była tamta Serafina! Ruta patrzyła na nią i poczuła wielki niepokój. Nagle złękła się, że nie znajdzie odpowiedzi na najprostsze pytania.

Czym nakarmi swoją duszę? Nienawiścią czy przebaczeniem? Co powinna teraz zrobić? Wciąż miała wątpliwości, czy potrafi wymazać z pamięci tamte krzywdy i ból. To były jej własne dramaty, osobista wojna, która zabrała jej dom i najbliższych. Nawet teraz, po tylu latach, czuła się jak biblijny Hiob. Opowiadał jej o nim Marek podczas jednej z niekończących się nocnych rozmów prowadzonych w łóżku. No tak, tylko że Hiob ufał swojemu Bogu. Dotknięty utratą najbliższych rozdarł szaty i powiedział: *Nagi wyszedłem z łona matki i nagi tam wróćę. Dał Pan i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!*

Ona, Ruta, nie miała takiej ufności, bo nie było w niej wiary w Hiobowego Boga. Ona swoje życie rozumiała zupełnie inaczej. Nie pokładała ślepo ufności w swoje przeznaczenie i niebios, które nakreśliły jej los, przędły go jak Parki, bez zastanowienia skazując na niepotrzebne dramaty. Nie akceptowała filozofii, że cierpienia mają moc uszlachetniającą, w to powinna wierzyć raczej Serafina, której tak nakazywała jej religia. Ona zaś, nauczona swoim życiem, wierzyła, że nic nie dzieje się przypadkiem, a wszystko kiedyś do człowieka powraca, zgodnie z zasadą Potrójnego Powrotu, i że jeśli teraz nie wybaczy Serafinie, karmiona nienawiścią dusza zrodzi kiedyś gorzkie owoce. A ona, Ruta, nie chciała być już dłużej nieszczęśliwa. Na resztę życia zaprojektowała sobie szczęście... Tylko jak przekuć to przeżyte nieszczęście na dobro? Zapewne jest to możliwe - bo na świecie owo dobro wciąż przeplata się ze złem. Taoistyczne yin i yang, dwie zasady, z których wynika cały świat. Teraz trzeba zrozumieć, po co były te jej nieszczęścia, co może zyskać świat przez to, że się wydarzyły. Jak sprawić, by zło przetoczyło się kołem ku dobru.

Muszę jej wybaczyć... - pomyślała, podchodząc do łóżka, a właściwie do łoża

cierpienia, do katafalku prawie, bo widać było, że Serafina odchodzi, że jej cierpienie nieznośnie odwleka ten nieuchronny moment, jakby przeznaczenie wyznaczyło jej oczekiwanie na nią, Rutę. Czy to wybaczenie pomoże teraz odejść Serafinie z tego świata w zgodzie z nim, przynajmniej u kresu jej życia?

Ruta pamiętała moment, gdy przyjechał do jej nowego krakowskiego mieszkania młodszy syn Serafiny, Zygmunt. Podobnie jak starszy Jan, stracił z matką kontakt kilka lat temu. Obaj odsunęli się od niej, gdy ta, po śmierci męża, postanowiła zapisać w testamencie cały majątek jakiemuś klasztorowi w południowej Polsce, który od wielu lat wspierała wpłatami z emerytury. Jan i Zygmunt nie mogli zrozumieć decyzji matki o wydziedziczeniu synów i przestali ją odwiedzać, zostawiając ją samą sobie - powoli wymazując też z pamięci wszystkie chwile dzieciństwa i młodości. Ruta, podczas rozmowy z Zygmuntem, nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że właśnie na tym polega Prawo Potrójnego Powrotu. Serafina nie dała synom zbyt wiele matczynej ciepła, ucząc, że w życiu ważne są tylko pieniądze i zawodowa pozycja oraz właściwi ludzie, którymi trzeba się otaczać, co nijak się przecież miało do jej gorliwego oddania Kościołowi i jego nauczania o ubóstwie! Teraz, w tym odwróceniu synów od niej, odbierała to, co im zaszczepiła, tyle tylko że dla niej był to cios, którego nie potrafiła zrozumieć i przeanalizować samodzielnie, bo nienawiść wobec innych trawiła ją od środka jak bezwzględny kornik, nie pozwalając na żaden samokrytycyzm.

Ale wtedy, gdy jej synowie całkiem się od niej odwrócili, Ruty już nie było w mieszkaniu na piętrze domu pod lasem. Nie było już na świecie jej matki i dziecka, które mogło się urodzić, ani mężczyzny, z którym Ruta chciała spędzić resztę życia. Serafina nie znosiła go od chwili, kiedy, zupełnie przypadkowo, poznała jego przeszłość...

Wspomnienie zabolalo. Ruta do dziś nie wiedziała, dlaczego Marek - mężczyzna, którego pokochała, odszedł tak nagle, dlaczego spakował walizkę i zniknął z jej życia bez słowa wyjaśnienia. Czy doszedł do wniosku, że za dużo w życiu stracił, decydując się na związek z nią, że nie powinien pozostawiać wszystkiego, co kiedyś było dla niego ważne? A może... dlatego, że ona, Ruta, już nigdy nie będzie mogła urodzić ich wspólnego dziecka, a on tak bardzo go przecież pragnął? Dla tego dziecka i dla niej chciał przecież zmienić swoje życie, wprowadzić je na inne tory, strząsnąć proch ze stóp swojej przeszłości... Po dwóch latach od tamtego wypadku Marek po prostu odszedł i słuch po nim zaginął. A Ruta nie miała siły go szukać, bo straciła w swoim życiu tak wiele, że jego odejście uznała za kolejną nieuchronność losu. Nauczyła się żyć samotnie. Uznała, że taka właśnie była jej ścieżka życia i właśnie nią miała podążać. Samotność.

1. Wszystkie cytaty pochodzą z utworów Rainera Marii Rilkego.

2. Aldrowanda pęcherzykowata (*Aldrovanda vesiculosa*) - gatunek rośliny należący do rodziny rosiczkowatych. Jedyne żyjący przedstawiciel rodzaju aldrowanda. Roślina mięsożerna odżywiająca się zooplanktonem, niekiedy larwami komarów i mikroskopijnym narybkiem.

*Uczę się patrzeć. Nie wiem, dlaczego wszystko głębiej
wchodzi we mnie, a nie zatrzymuje się w tym miejscu,
gdzie się dawniej zawsze kończyło. Posiadam wewnątrz, o
którym nie wiedziałem.*

Teraz leżała przed nią ta kobieta, z którą życie pod jednym dachem było dla Ruty pasmem udręki. Jej własna matka, wykończona nerwowo szykanami tej kobiety, umarła samotnie na kuchennej podłodze. Jak ona ma to wybaczyć? Szeptem prosiła wszystkie możliwe siły, by pomogły jej odrzucić własne złe uczucia, by potrafiła w tej godzinie wybaczyć bez cienia pogardy dla tej, która swoim życiem na to wybaczenie nie zasłużyła. Siły nie przychodziły. A raczej... W sercu Ruty pojawił się cień satysfakcji, teraz ona czuła przewagę: własnej młodości, energii, nadziei. Widzisz, dograłaś się, leżysz tu sama i nie ma przy tobie żadnych bliskich ci osób. To właśnie ja, jako jedyna, mogę spełnić twoją ostatnią wolę - myślała, wiedząc jednocześnie, że takie myśli nie powinny jej sprawiać przyjemności. Woskowe palce chorej poruszyły się nieznacznie, zacisnęły na fałdzie białej pościeli.

- Usiądź przy mnie - wyszeptaly z trudem usta, a właściwie znak po nich, wąski, sinoróżowy, zaciśnięty jeszcze bardziej niż za życia. Tak, niż za życia, bo obecny stan był już stanem przechodzenia na drugą stronę, niczym powolne zanurzanie się w Styks, oczekiwanie na dłoń Charona, który już za chwilę ma się pojawić.

W sali, mimo szpitalnej sterylności, panowała błoga cisza i przyjemne ciepło. Serafina w tej chwili nie potrzebowała wielu przedmiotów. Skromne łóżko, stary fotel, kredens, stół przykryty zielonym obrusem i dwa dawno nieużywane krzesła pod ścianą, parę książek na półce przy łóżku. Podłoga z nowych paneli lśniła jak świeżo umyta. Zegar na ścianie. Stary, przedwojenny, z majątku Serafiny na Wileńszczyźnie. Opowiedziała Rucie, jak go wiozła w bydłowych wagonach. Było to na samym początku ich znajomości, która dopiero potem przerodziła się w piekło. I jeszcze ten bazarowy plastikowy krzyżyk, otoczony sztucznymi kwiatkami, wiszący nad drzwiami. Niewiele zabrała z tego smutnego domu pod lasem. Jeśli wierzyć Zygmunтови, była tu od roku. Ponad trzysta dni zajętych patrzeniem w sufit. Czy przynajmniej raz pomyślała o tym, jak umierała Krystyna? Czy wzrok matki Ruty również

zastygł wbity w sufit, czy może w ściany...

Nulla sors longa est, dolor et voluptas invicem cedent... Nie ma nic stałego, cierpienie i przyjemność następują kolejno po sobie - pomyślała Ruta, siadając na skraju łóżka. Delikatnie, jakby w obawie, że zgniecie to wątłe ciało. Wyciągnęła dłoń i nieśmiało, przełamując w sobie usprawiedliwioną przecież niechęć, nakryła dłoń Serafiny. Dłoń kiedyś tak bardzo jej nieprzyjazną, teraz niezdarnie, z wyczuwalnym wysiłkiem, zaciśniętą na skraju pościeli.

Serafina otworzyła oczy. Poczowała tak długo oczekiwany dotyk.

- Czekałam... na ciebie - wyszeptała z wielkim wysiłkiem.

- Wiem. Dlatego tu jestem...

- Zygmunt?...

- Tak. To on mi powiedział.

- Umieram...

Ruta milczała. Co miała odpowiedzieć? Zapewnić, że będzie dobrze. A może, że jest jej bardzo przykro z tego powodu? A czy Serafinie też było przykro, gdy umierała jej mama? Dziecko? Tak bardzo chciała zadać chorej te pytania. Uznała jednak, że byłoby to okrutne i nie w jej stylu. Czowała, że patrzy w oczy swojemu życiu z tamtego tajemniczego domu, niczym wygrzebanemu z pudła niepamięci, gdy usłyszała szept chorej:

- Wybacz... Nie mogę... odejść... bez... twego...

Ruta milczała. Przedłużała w nieskończoność tę chwilę, jakby drocząc się z Serafiną, chcąc jej pokazać, że wybaczenie nie jest tylko spełnioną naprędce prośbą. Bo co? Bo usprawiedliwia ją łożo śmierci? A jej młodość, marzenia, nadzieje nie miały kiedyś żadnej wartości, można było je zdeptać? Wiedziała, że to wybaczenie musi wypłynąć niczym nieskrępowane z jej serca - szukała w sobie tego impulsu, który powie jej, że to właśnie teraz, że to jest ten moment.

- Ruto... Ja wiem... To przeze mnie... twoja mama... to dziecko też... Przeze mnie... - Słowa urywały się w niej chrapliwie. Ruta milczała. Łzy pojawiły się nagle, niechciane, niepotrzebne. Nie wiadomo, czemu powróciły do niej trudne wspomnienia.

- Wybacz...ysz? - Kaszel przerwał słowa tamtej, targał przez chwilę bezwładnym ciałem, odznaczając tylko ślady na poduszce.

Nie widziała w oczach starej kobiety tamtego grymasu złości, którego tak się bała, tylko jakąś obcość połączoną z lękiem i rezygnacją. I te krótkie włosy z wiecznymi odgnieceniami od poduszki. Tak, to były wciąż te same włosy, tylko one się w niej nie zmieniły!

Weszła pielęgniarka. W rękę trzymała strzykawkę.

- Przeciwbólowy - wyjaśniła, uprzedzając pytanie Ruty.

Nachyliła się nad chorą. Ruta podeszła do okna. Nie chciała patrzeć na bladłość kończyn Serafiny, na jej poddanie w obliczu igły przebijającej skórę cienką i żółtą jak pergamin.

Patrzyła przez okno na parking - ustawione równolegle auta przywioz-ły tutejszym podopiecznym ich rodziny, a wraz z nimi domowe smakołyki, książki i gazety. Z szarego renault wysiadła kobieta po czterdziestce i dziarskim krokiem ruszyła ku wejściu. Minęła się w drzwiach z młodym chłopakiem. Wychodził, trzymając w ręce dużą torbę.

Kogo tu ma - matkę czy babkę, ojca czy dziadka? Kogo umieścił w tym domu i dlaczego nie chce być z tym kimś pod jednym dachem? - przemknęło jej przez myśl.

- Pani to pewnie Ruta? - zapytała pielęgniarka, poprawiając chorej pościel.

- Tak, a skąd pani wie?

- Pani Serafina dużo o pani mówiła. Ciągłe tylko - że ma sprawę do pani, prośbę jakąś, że nie odejdzie, dopóki pani do niej nie przyjedzie. Dlatego skontaktowałam się z jej synem. Oni tu nie byli u niej ani razu, od kiedy ją przywieźli, wie pani? Ani ten syn, chyba Zygmunt, ani tamten drugi. Ale wiadomość, jak widać, przekazali, skoro pani tu jest.

Tak, Zygmunt ją odnalazł. Gdy opuszczała tamten dom pod lasem, starała się nie zdradzić przed Serafiną, choćby najdrobniejszym szczegółem, dokąd wyjeżdża. Zabroniła ekipie przeprowadzkowej rozmawiać z tą kobietą i mówić, dokąd teraz pojedą z jej meblami i pozostałym kilkunastoletnim dobytkiem. Nawet firmę wynajęła w Olsztynie, a nie w Krakowie - mieście, w którym miała teraz mieszkać - żeby tamta nie poznała po tablicach rejestracyjnych, jaki jest dalszy kierunek jej życia.

A jednak jej syn ją odnalazł. Żeby powiedzieć, że jego matka pragnie ją zobaczyć. To wydarzyło się dwa miesiące temu. Na przełomie kwietnia i maja. Wróciła właśnie z pracy, kiedy zabrzączał dzwonek domofonu. Tego dnia wyszła trochę wcześniej, nazajutrz miała wolne, bo odbierała zaległe nadgodziny z poprzedniego półrocza. W instytucji kultury, w której pracowała, trudno było wyjść całkiem na zero z tymi godzinami. Dyrektor chciał, by zebrała siły, bo pod koniec czerwca miała jechać na Mazury i na miejscu, jak co roku, organizować dużą, ogólnopolską imprezę kabaretową. Robiła to od kilku lat. Ten zawodowy wyjazd był teraz jedynym ogniwem łączącym ją z rodzinnymi stronami. Zawsze gdy tam wracała, przeżywała strach i napięcie, jakby zły czas powracał wraz z mazurskim krajobrazem, z tą krętością tutejszych dróg.

W Krakowie zajmowała mieszkanie służbowe w niewielkiej kamienicy, oddalone o

kwadrans drogi spacerkiem od Sukiennic. Do pracy, choć Kraków to duże miasto, miała jeszcze bliżej, bo tylko przez szerokość ulicy. Mieszkanie w takim miejscu uznawała za rodzaj rekompensaty od losu za krzywdy z przeszłości. Tak się akurat złożyło, że wyprowadziła się z niego jakaś dziewczyna, która kupiła własne, większe, więc Ruta mogła od zaraz zająć jej miejsce. Cieszyła się, że tak szybko i skutecznie odcięła się od tamtego życia, że już nigdy nic STAMTĄD nie zmąci jej spokoju, a tymczasem... Ta wizyta sprawiła, że jej wiara w to „nigdy” legła w gruzach. Na progu mieszkania stał oto syn Serafiny, Zygmunt, bardzo do niej podobny, choć przecież... skłócony z matką! Ona wtedy nic o tej kłótni nie wiedziała, dopiero potem powiedział jej o wszystkim, gdy siedzieli w kuchni, popijając herbatę.

Gdy otworzyła drzwi, wydało jej się, że patrzy na widmo ze złego świata.

- Czego pan ode mnie chce? - Asekuracyjnie przytrzymała drzwi nogą.

- Pani Ruto, proszę mnie wpuścić, mam bardzo pilną sprawę, naprawdę. Proszę się niczego nie obawiać! Nie mam żadnych złych zamiarów.

- Skąd pan się w ogóle tu wziął? Jak pan do mnie dotarł i kto panu powiedział, gdzie mieszkam?

- Widziałem, jak pani wychodziła z pracy. Czekałem w aucie.

- Skąd pan wie, gdzie pracuję?! Śledził mnie pan?! - Jej głos wyraźnie zadrżał.

- Pani Ruto, proszę się uspokoić. Pani nazwisko pojawia się przecież na ekranie telewizora, prawie po każdym programie kabaretowym zrealizowanym w Krakowie. Nietrudno się domyśleć, gdzie pani pracuje.

No tak. Zapomniała. Jako realizatorka i scenarzystka tych programów była wymieniana w napisach końcowych. Tym się teraz w życiu zajęła, to stało się treścią jej życia, choć... malarstwo również, ale już rzadziej i tylko dla samej siebie. Zygmunt okazał się bardzo sprytny. Ale dlaczego zadał sobie tyle trudu i przyjechał tu do niej?

- Moja matka jest ciężko chora - wyjaśnił.

- I co ja mam do tego?! Nie interesuje mnie pańska matka ani stan jej zdrowia, rozumie pan?! Jej los jest mi najzupełniej obojętny! Nigdy jej nie wybaczę tego, co mi zrobiła. Mnie i mojej rodzinie... - Głos Ruty załamał się niebezpiecznie, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nie ma żadnej bliskiej rodziny, że jest całkiem sama. Jakaś niechciana łza stoczyła się po policzku, zamknięta szybko w miękkości dłoni.

W tamtej chwili nie chciała jeszcze słyszeć niczego, co kojarzyło się z tamtym życiem, miała ochotę uderzyć Zygmunta w twarz za to, że zmącił jej spokój odbudowywany przez ostatnie lata.

- Moja matka nie mieszka już tam, gdzie kiedyś. Przebywa w domu opieki. Oto jej adres. - Podał jej kartkę.

Ruta wyrwała kartkę z rąk nieproszonego gościa i zwinąwszy ją w kulkę, cisnęła w kąt przedpokoju.

- Po co mi ten adres?! Proszę dać mi spokój! - krzyknęła, łapiąc za klamkę i próbując zamknąć drzwi. Zygmunt był szybszy. Włożył nogę między drzwi a framugę.

- Błagam, niech pani mnie wysłucha. Tak bardzo mi zależy, żeby pani ją odwiedziła. Matka tylko o to bez przerwy prosi! Mówiła, że to dla niej w tej chwili najważniejsza rzecz na świecie. Niech pani nie odmawia człowiekowi na łożu śmierci.

Ruta spojrzała na niego badawczo. Kpiny jakieś? Ona, wyniosła, zawsze rozkazująca Serafina o coś prosi? I to kogo? Ją? Kurwę, ladacnicę, antychrysta, parszywą Żydówkę?

Nie wątpiła jednak, że Zygmunt mówi prawdę, był przejęty i zdenerwowany! Westchnęła i jednak... wpuściła go za próg. Resztę opowiedział już przy herbacie... Serafina zachorowała na raka płuc. Pojawiły się liczne przerzuty, chemia, zamiast pomagać, dodatkowo wyniszczyła jej stary organizm. Lekarze określają jej stan jako beznadziejny. Dziwią się nawet, że jeszcze żyje, podczas gdy inni, młodszy i silniejsi, na tym etapie choroby umierają. Ona natomiast, jakby z pomocą nieznanymi sił, odkładała swoje odejście. Jakby wciąż na coś lub na kogoś czekała, jakby nie mogła odejść, nie załatwiwszy jakiejś ważnej dla siebie sprawy. Jakby potrzebowała szczególnego rozgrzeszenia, *katharsis*.

Ale budowana przez lata nieufność Ruty nakazywała jej czujność. A może to ona go tu wysłała, by mnie odnalazł i kontynuował dzieło niszczenia mojego życia? - pomyślała, choć wydawało się to nieprawdopodobnie.

- Wiem, że pani może mi nie wierzyć, i nawet przyznaję, że się wcale nie dziwię. Wiem, ile pani wraz z matką ucierpiałycie przez moją matkę - odezwał się.

- Proszę nie wspominać mi o mojej mamie. I o nikim. To zbyt bolesne, rozumie pan? Może to być dla pana trudne, bo to pana matka, ale... Nienawidzę jej i nie współczuję jej w cierpieniu. Wiem, że tak nie powinnam mówić, ale nie zamierzam pana oszukiwać. - Jej głos pełen był tyleż złości co i przejęcia.

- Rozumiem. Naprawdę. Ja też odwróciłem się od niej, zostawiłem ją samą. Czasem myślę, że jest dla mnie zupełnie obcą osobą. Wie pani, co ona zrobiła? Zapiisała w testamencie cały rodzinny majątek jakiemuś klasztorowi czy kościołowi. Przez całe lata wysyłała tam wcale spore pieniądze, ze swojej i ojca, gdy jeszcze żył, emerytury, mówiąc, że są tam jakieś biedne siostrzyczki, które potrzebują naszego wsparcia. To była jakaś fundacja czy coś w tym stylu, do dziś nie wiem dokładnie. Przysyłali jakieś kolorowe książeczki, ona

się z nich modliła, a na każdej był apel o wpłaty i gotowe przekazy! I ona odejmowała sobie od ust, żeby tylko wysłać te pieniądze, które nie wiadomo gdzie trafiały! Znalazłem kiedyś tę korespondencję, zabrałem kilka kopert, w których jakiś „ojciec Andrzej” prosił o wsparcie, dziękując jednocześnie za dotychczasowe wpłaty i wielkie serce. Te listy były powielane, podpisy nieoryginalne, tylko skanowane, widać, że wysyłane taśmowo. A ojciec Andrzej... Czy w ogóle ktoś taki istniał? Być może wygenerował go jakiś system naciągaczy i ci proponowali kupno cudownych medalików, figurek i obrazków o szczególnej mocy, którymi trzeba pocierać o ołtarz, wówczas nabiorą mocy uzdrawiania rodzin i dusz, a wszystko w tak zwane imię Boże, tylko nie wiem, jakiego boga? Chyba boga mamony. To wielki przemysł, biznes religijny, chciałem z tym zrobić porządek, wysłałem do tego ojca Andrzeja pismo ostrzegawcze, ale na nic się to zdało, bo matka wciąż otrzymywała te kolorowe listy, z których dowiadywała się, jak cudowną jest osobą i żeby nie jej wsparcie... Raz jeden napisali do niej list oryginalny, podpisany własnoręcznie - żeby podziękować jej za deklarację przekazania w testamencie majątku na cel ich fundacji czy tego klasztoru, czy czegoś tam, nie pamiętam! Gdy to zobaczyłem, wściekłem się, pobiegłem z tym do matki, była jeszcze w żałobie po śmierci ojca. A ona mi powiedziała, że nie chciała mnie niepokoić, ale taką właśnie podjęła decyzję, żebyśmy się z moim bratem Janem po jej śmierci nie kłócili o pieniądze i nie wydzielali ich sobie z gardeł. I że mamy dość swoich. Tak powiedziała! I że przekaże wszystko, co ma, na dom boży! Dostałem szału, wyzwalem ją od wyrodnym matek, wykrzychałem całą moją boleść i wstyd, że nie zajmowała się nami, że tylko praca się dla niej liczyła, a potem ten kościół, że zdominowała ojca, który mógł w życiu tyle osiągnąć, bo marzył o studiach, a został prostym urzędnikiem pocztowym, bo mówiła, żeby się nie wychylał. I wykrzychałem cały mój wstyd za nią, że ludzie ją znienawidzili, że wszyscy w miasteczku mieli ją na językach, że na wokandzie w sądzie wciąż wisiało nasze nazwisko, bo sądziła się nie tylko z wami. Rozumie mnie pani, tak?

To „tak” zabrzmiało jak próba zawarcia porozumienia z Rutą, która powoli wytracała swoją nieufność wobec niego i zaczynała rozumieć zdesperowanego syna, który, choć z niskich, bo głównie materialnych, pobudek, postanowił walczyć o swoje miejsce w tej dziwnej rodzinie.



Myśli tętniły w niej jak soki w młodym agreście, który przez przezroczystą skórkę, oglądaną pod światło, ujawnia wielkie drżenie swojego zielonego serca.

Fot. Ewa Lewicki-Siegler, Niemcy

I opowiedział jej jeszcze, że jak umarł ojciec, matka krzyczała nad jego trumną, że to wszystko sprawka pewnej czarownicy, z którą mieszkali pod jednym dachem. Wtedy poważnie zaczął się zastanawiać, czy nie wysłać jej na leczenie. Rozmawiał nawet o tym z bratem. Gdyby można ją było ubezwłasnowolnić, wtedy podważyliby testament i podzielili się równo majątkiem wypracowanym przez rodziców. Jan uznał, że to dobra myśl, bo te krzyki nad trumną były nie do zniesienia, poszedł nawet po poradę do jakiegoś adwokata i psychiatry, jednak sprawa ucichła, bo po pogrzebie Serafina zaczęła zachowywać się całkiem normalnie. Nadal chodziła do kościoła, początkowo jakby nie zauważając, że nie ma już przy niej jej synów, że zostawili ją samą sobie. Dopiero po pół roku zaczęła odczuwać samotność, dzwoniła raz do Jana, raz do Zygmunta, ale oni nie chcieli z nią rozmawiać, powiedzieli, że ona dokonała już wyboru, że dzieci się dla niej nie liczą, więc niech dzwoni do tego swojego klasztoru, to może przyjadą i z nią pogadają. I podadzą szklankę herbaty, gdy będzie jej potrzebować.

Ruta słuchała tego wszystkiego uważnie, myśli tętniły w niej jak soki w młodym agresty, który przez przezroczystą skórkę, oglądaną pod światło, ujawnia wielkie drżenie swojego zielonego serca. Zygmunt doszedł wreszcie do momentu, gdy lekarze wykryli u Serafiny raka płuc. Ruta zapytała cicho:

- Nie chcieliście jej jakoś pomóc, leczyć, zorganizować opieki?

- Nowotwór był za późno zdiagnozowany. Miała chemioterapię, a potem, gdy już nie mogła zostawać sama, zawieźliśmy ją do domu opieki, nie było chętnych, żeby przy niej chodzić - wyjaśnił boleśnie sucho.

- Ale... to przecież wasza matka? - Nie wierzyła w cynizm Zygmunta.

- Tak nas wychowała, to takich nas ma. Nie dała nam matczynej miłości, nieraz myślałem, że jest obcą kobietą, od której tak naprawdę nigdy nie zaznałem prawdziwego ciepła. Ojciec był lepszy... - ciągnął dalej w tym samym tonie.

- No tak... - Westchnęła. Nie miała nic do dodania. W jakim jednak celu Zygmunt przyjechał do niej z tak daleka? Czy tylko po to, by powiedzieć, że ktoś, kto całe lata niszczył jej życie, leży teraz umierający? Zamyśliła się. Bezwiednie pomyślała o tym, że oto całe zło wraca do Serafiny, zabijając ją. I przypomniały jej się własne słowa rzucone w momencie, gdy się wyprowadzała... Mąż Serafiny zmarł dokładnie dwa tygodnie później, na zawał serca, nagle, choć nigdy wcześniej nie chorował...

- I sądzi pan, że odwiedzając ją, pomogę załatwić jej jakąś sprawę, że tak bardzo stęskniła się za moim widokiem? - spytała po chwili, odwracając głowę w kierunku skulonego na krześle Zygmunta, parzącego sobie usta gorącą herbatą. Odezwała się już innym

głosem, jakby powróciła z dalekiej myślowej podróży.

- Chodzi o to... Pielęgniarka mówiła, że ona, czyli moja matka, wciąż mówi o pani, że musi jej pani przed śmiercią wybaczyć, że tyle spraw przemyślała w obliczu tej strasznej choroby, która ją zżera. Że nic gorszego już nie może jej spotkać: zmarł mąż, synowie się odwrócili od niej, a teraz umiera samotnie, w jakimś przytułku, poza własnym domem i spełniają się słowa jakiejś przepowiedni. Ja nie wiem, o co chodzi, dość, że pielęgniarka zadzwoniła do mnie, bym panią odnalazł, bo, jak powiedziała, ta kobieta będzie umierać w wielkim cierpieniu i bardzo długo. „Takim jak ona trzeba pomóc. Przynajmniej to jesteście jej winni” - powiedziała ta pielęgniarka na koniec. Miała za złe mnie i Jankowi, że tak zostawiliśmy matkę, wyczułem to w jej głosie. Nie chciałem jej wtajemniczać w nasze rodzinne sprawy. Powiedziałem tylko, że mam pomysł, jak panią odnaleźć, i że zrobię wszystko, by pani kiedyś do niej przyjechała. To wszystko zdarzyło się dwa tygodnie temu. Jak pani widzi, szybko panią odnalazłem. Zrobiłem to dla niej, chorej matki, i niech niczego więcej ode mnie nie oczekuje. Nie liczyłem się dla niej do tej pory, to teraz...

- Panie Zygmuncie, ale to jednak matka... Tak wiele oddałabym, by mieć swoją, by ten zły czas odwrócił się, cofnął, by moja mama żyła!

- Bo pani Krysia była inna. Takiej jak moja nie będę żałował - powiedział krótko.

Upór i zaciętość ma po matce - pomyślała Ruta, zerkając na karteczkę z adresem, podniesioną z podłogi.

- Jak pani widzi, pokój numer trzynastie, łatwy do zapamiętania - rzucił jeszcze Zygmunt, dopijając herbatę.

- Tak, na pewno. Wkrótce wybieram się służbowo na Mazury, może znajdę trochę czasu, by ją odwiedzić. Choć nie obiecuję.

Dopiero gdy się z nim pożegnała i usiadła w fotelu, dotarło do niej, z czym tak naprawdę przyszedł do niej syn Serafiny. Bała się myśli, że ma stanąć oko w oko ze swoim demonem z przeszłości, który oczekuje od niej wybaczenia i rozgrzeszenia. Czy jest w stanie tego dokonać szczerze i w sposób pełny? Czy da radę? Czy należy zapomnieć o tej wizycie, a może jednak powinna spróbować?

Wtedy właśnie wybrała się na długi spacer po krakowskim Kazimierzu. Odkąd zamieszkała w Krakowie, to miejsce zawsze ją uspokajało. Czowała przez skórę duchy dawnych mieszkańców, miała wrażenie, że patrzą na nią przez dziurawe okna kamienic. Oni byli cisi i mądrzy, pokornie przyjęli swój los. Ruta nie miała w sobie ich uległości, ale świadomość, że tacy ludzie żyli tu kiedyś, uspokajała jej targane skrajnymi emocjami serce. Wiedziała o swoim żydowskim pochodzeniu, mama jej kiedyś wspominała o rodzinnych korzeniach,

może dlatego tak ciągnęło ją w miejsca oznaczone dotykiem nieznanymi współrodaków.

Czy można wybaczyć tyle krzywd? - myślała, mijając stare kamienice, powtarzając to pytanie jak mantrę. I wtedy właśnie podeszła do niej mniej więcej czterdziestoletnia kobieta, piękna, o ciemnych jak noc oczach, z twarzą okoloną miedzianymi skrętami długich włosów. Była jak nie z tego świata, wyglądała zjawiskowo w swojej zielonej sukience. Ta zieleń była niczym nadzieją. Ruta uśmiechnęła się do niej, widziała w niej podobieństwo do tych wszystkich twarzy, które oglądała na ścianach w Oświęcimiu, jakby ta piękna kobieta skupiła w sobie, jak w soczewce, tamte spojrzenia z szarego muru.

Kobieta sama podeszła do Ruty, jakby przywołał ją smutek malujący się na twarzy dziewczyny. Są czasem takie spotkania, podczas których wystarczy jedno krótkie spojrzenie, by przecucie powiedziało nam, że ta druga osoba potrzebuje naszej pomocy. Tak właśnie stało się i wtedy.

- Proszę podać mi rękę - powiedziała niespodziewanie kobieta. Ruta wyciągnęła dłoń bez cienia zdziwienia i obawy. Ufnie obserwowała, jak spod miedzianych loków patrzyły na jej powikłane linie duże, mądre oczy.

- Widzę, że toczy pani ze sobą ważną walkę, że czeka panią trudny egzamin z życia. Musimy nauczyć się oddzielać rzeczy ważne, istotne dla nas i dla tych, których spotykamy na naszej drodze, od rzeczy niepotrzebnych, od rzeczy śmieci, które zaprzatają niepotrzebnie umysł i zabierają energię - mówiła cicho kobieta głosem pełnym wewnętrznego spokoju i dystansu.

Ruta milczała, zastanawiając się nad słowami napotkanej przypadkiem nieznanym. Zupełnie jej obcej, choć dziwnie bliskiej. Tamta mówiła coś jeszcze, jednak Ruta zapamiętała tylko te słowa o rzeczach śmieciach.

- Jak pani na imię? - odezwała się Ruta, chcąc znaleźć jakiś punkt zaczepienia między sobą a tą niezwykłą kobietą.

- Sara - odpowiedziała tamta.

- Piękne. To żydowskie imię, prawda?

- Owszem. Oznacza księżniczkę. Czasem wydaje mi się, że dumę i niezależność mam we krwi - odpowiedziała spokojnie kobieta, zamykając dłoń Ruty w swych dłoniach.

- Skąd pani tyle wie o ludziach?

- Życie nauczyło mnie czujności. Czasem w oczach napotkanej na ulicy osoby można znaleźć wiele tajemnic świata. Trzeba tylko umieć patrzeć.

- Ale... Czy zawsze tak pani zatrzymuje na ulicy obcych ludzi i patrzy im w oczy i dłonie?

- Nie. Tłum ma też swój kolor. Bywa szary, niekształty jak papierowa masa, a czasem, jak dziś, można w nim wyłuskać kogoś, kto przyciąga uwagę. Ludzie mają coś więcej niż tylko podstawowe zmysły. Sami sobie jednak postawili ograniczenia i nie wierzą, że mogą korzystać z najważniejszego z nich - intuicji. A tymczasem o ileż ciekawsze jest życie, gdy zaprosi się na jego kamieniste pole tego czułego ducha! To życie nauczyło mnie dostrzegać na mojej drodze tych, którym niepokój w sercu sprawia ból. Nie ma spotkań przypadkowych. Czyż to nie zastanawiające, że spotkałyśmy się akurat dziś na krakowskim Kazimierzu?

- Ja lubię tu przychodzić. Wszędzie wyczuwam duchy przodków. Czasem myślę, że nie tylko ważne jest to, dokąd się idzie, ale i skąd przychodzi - odpowiedziała Ruta, dotykając palcem lekkiego wyłobienia w starym murze. Ta kobieta wpływała na nią wyjątkowo dobrze, czuła się przy niej taka spokojna.

- Czy jest pani Żydówką?

- Podobno tak. To stara historia.

- Ale zapewne ciekawa. Warto dociekać naszych korzeni, bo pamięć genów jest silniejsza niż późniejsze wychowanie. Opowiem pani coś. Mój żydowski Bóg, stwarzając nasz świat, wyzwolił potężne światło, które miało wypełnić przygotowane wcześniej sefiry, służące mu za naczynia. Trzy pierwsze wytrzymały moc światła i tak powstało dobro, jednak następne pękły. Jest to kosmiczny dramat „zniszczenia naczyń”, Żydzi mówią na to *szewirat ha kelim*. Popękane naczynia, a raczej ich skorupy, opadają na dno wszechświata i stają się złem. Nie można dopuścić, by zło opadło na dno serca. Nie warto rozsiewać zła pod żadną postacią.

Ruta zamyśliła się przez chwilę nad zasadą Potrójnego Powrotu, która przecież pasowała do tego, co mówiła Sara, i już miała jej o tym powiedzieć, kiedy miedzianowłosa kobieta odezwała się znów:

- W mojej rodzinie mówiło się wiele o złu. Matka była bardzo mądrą kobietą i zawsze upominała mnie, ilekroć dostrzegała u mnie złość. Mówiła, że trzeba znać siłę i wartość swoich myśli i wypowiedzianych słów. Bo czasem słowo ma moc niszczenia. Na przykład klątwa. Matka powtarzała mi zawsze, że klątwa rzucona w gniewie przez tego, kto umiera, działa w miejscu, w którym człowiek ten żył...

Ruta spojrzała na nią badawczo. Ależ... dokładnie te same słowa wyczytała wiele lat temu w zapiskach Fridy Kalińskiej, znalezionych na strychu jej dawnego domu, zaraz po śmierci mamy! Zatem... To nie był przypadek, że Sara pojawiała się w chwili, kiedy Ruta zmaga się z myślami, czy i jak wybaczyć. Przypomnienia tych prawd potrzebowała właśnie teraz.

- Czytałam już kiedyś te słowa. Bardzo dawno temu. Właśnie rozmyślałam o pewnej osobie, która wyrządziła wiele zła mnie i mojej rodzinie. A teraz oczekuje ode mnie bezinteresownego wybaczenia - powiedziała cicho, dziwiąc się samej sobie, że dała się oto wciągnąć w irracjonalne dyskusje o intuicji, żydowskim Bogu i klątwie, a w dodatku rozmawiała o nich z kobietą zupełnie jej obcą.

- Wybaczenie ma wielką moc. Wkrótce przekona się pani o tym sama. Proszę odrzucić urazy i zrobić to, czego pani sama od siebie oczekuje.

- Ale... To nie jest takie łatwe.

- Nie możemy karmić swoich serc nienawiścią.

I wtedy opowiedziała tamtą przypowieść o indiańskim chłopcu i jego dziadku. Ruta milczała zdziwiona, nie mogąc uwierzyć, że stoi przed nią kobieta, która pomaga jej uwierzyć we własną wewnętrzną siłę i w możliwość wybaczenia.

- W cierpieniu jesteś jak puste naczynie. Czym się napelnisz? - zakończyła Sara, odwracając twarz w stronę Starej Synagogi. Ruszyła przed siebie i po chwili już przechodziła pod renesansowym portalem z hebrajskim napisem: To jest brama Jahwe, sprawiedliwi przez nią wchodzić będą.

- Mam na imię Ruta! - krzyknęła za nią.

Sara nie odwróciła głowy.

*Zetknięcie nasze jest jak pociągnięcie smyczka,
oboje łączy nas ze sobą...*

Ruta patrzyła, jak pielęgniarka wychodzi z pokoju, zamyka cicho drzwi. Na dole pojawił się kolejny samochód, tym razem stary golf, wysiedli z niego biednie ubrani ludzie, kobieta i mężczyzna. Ona niosła w dłoni koszyk, przykryty jasnym materiałem, on - skórzaną torbę. Czy tymi wiktuałami i czystymi ubraniami chcieli usprawiedliwić swój brak czasu dla najbliższej osoby? Rucie przypomniła się nagle wyprowadzka z tamtego domu, ona też wychodziła z taką torbą. I te słowa wypowiedziane na schodach spokojnie i wolno, choć z wielką nienawiścią w sercu, do stojącej na progu mieszkania Serafiny:

- Zapamiętaj, że wszystko, co złego wyrządziłaś innym, do ciebie powróci. Będziesz cierpieć i w chwilach cierpienia zobaczysz te krzywdy, wyrządzone innym. Będziesz umierać w samotności.

Na słowa te Serafina pobladła, zatraskując z wściekłością drzwi, w ustach meła ciche przekleństwa. Ruta wyszła z domu i na schodach odwróciła się jeszcze, patrząc na szary budynek. Nie był ładny, raczej - tajemniczy. Ona już wtedy wiedziała, jaką tajemnicę nosił.

Dwa tygodnie później zmarł mąż Serafiny. Na zawał serca. Człowiek, który nigdy nie skarżył się na serce, który całe swoje życie wykonywał spokojną pracę, stawiając pieczętki. Opowiedział o tym Zygmunt, podczas tamtej wizyty. Serafina podobno płakała, zaskoczona tą nagłą śmiercią, wykrzykiwała, że ojciec zostawił ją tak nagle, bezmyślnie. A potem, po pogrzebie, powiedziała Zygmuntowi, gdy zapytał o tę „czarownicę”:

- Ty wiesz, co tamta mi powiedziała na koniec, gdy się wyprowadzała? Wszystko, co złego wyrządziłaś innym, do ciebie powróci. Będziesz cierpieć i dopiero to cierpienie pokaże ci całą krzywdę, jaką wyrządzałaś innym! Wyobrażasz sobie?! To naprawdę była czarownica!



Drzewa owocują i kwiaty kwitną po to, by dalej żyć. Żyj w szczęściu i unikaj ludzi obdartych z marzeń i miłości, bo są jak oskubane ptaki.

Fot. Ewa Lewicki-Siegler, Niemcy

Potem Zygmunt opowiedział, że nocą po pogrzebie ojca zapaliła świeczkę na domowym ołtarzyku złożonym z tandetnej gipsowej Maryi i blaszanego Jezusa, obwieszonych sztucznym kwiatami, sięgnęła po wygładzony przez nadmiar dotyku drewniany różaniec i rozpoczęła swoje modlitwy za biedną duszę męża, który opuścił ją nagle i bez uprzedzenia. A potem odprawiła jakieś egzorcyzmy nad kawałkiem karteczki, na którym przedwojennym pismem napisała imię „Ruta”.

- Bogu dzięki, już jej tu nie ma. I nic mi już nie grozi... - wyszeptała na koniec, patrząc, jak karteczka płonie w ogniu.

Zygmunt widział ten tajemniczy rytuał przez szparę w drzwiach. Pomyślał, że matka naprawdę zwariowała, i po raz kolejny pojawił się pomysł, by ją ubezwłasnowolnić.

Po wizycie Zygmunta i po wysłuchaniu jego opowieści Ruta nie mogła zasnąć. Gdy wreszcie, po wielu godzinach przewracania się z boku na bok, nadeszło senne odrętwienie mające przynieść ulgę i wypoczynek, we śnie przyszli do niej rodzice: mama i Tunio. Wyciągnęli do niej dłonie i wyszeptali:

- Drzewa owocują i kwiaty kwitną po to, by dalej żyć. Żyj w szczęściu i unikaj ludzi odartych z marzeń i miłości, bo są jak oskubane ptaki.

Nad ranem obudziła się, czując jeszcze tę dziwną obecność rodziców. Zapisała ich słowa na kartce leżącej na nocnym stoliku. Wróciło wspomnienie wizyty Zygmunta. Zatem... Serafina odprawiała nad nią swoje książeczkowe egzorcyzmy, nadając im mistyczny wymiar? A tymczasem... Czyż nie były to tylko szeptane w nienawiści złe słowa, którymi strzelała na boki jak fontanna, a one powróciły do niej po latach rykoszetem? Miała wrażenie, że to właśnie Serafina przez większą część swojego życia była tym człowiekiem odartym z marzeń, pochłoniętym przez jakiś religijny absurd. A teraz leżała samotna, ciężko chora w domu opieki i u schyłku swego życia starała się choć na krótką chwilę to życie odmienić.

Na początku, po zamieszkaniu w domu pod lasem, wszystko układało się dobrze. Przeprowadzka, wnoszenie mebli, głowa pełna planów i radosnego podekscytowania. Ruta nigdy wcześniej nie mieszkała w tak dużym domu. Ich mieszkanko w szarym bloku z wielkiej płyty było takie ciasne! Kiedy po raz pierwszy pojawiła się na żwirowej alejce, na powitanie wyszła jej... Serafina. Spojrzała na nią spod daszka zrobionego z dłoni i zamachała ręką.

- Witam na nowym miejscu - powiedziała słodko. Ruta nie czuła w tych słowach jadu, jedynie radość z poznania.

Miała wtedy prawie szesnaście lat, chodziła do liceum w miasteczku i już planowała wspólne ognisko dla koleżanek i kolegów, by pokazać im, jak teraz będzie mieszkać. Ognisko odbyło się po tygodniu, gdy obie z mamą jako tako urządziły się na nowym miejscu. Mama

jeszcze załat-wiała sprawy związane ze sprzedażą mieszkania w bloku, była więc trochę zabiegana. Od czasu do czasu jeździła tam posprzątać i zabrać coś z piwnicy, Ruta potem układała wszystko w szafkach, delektując się bielą umywalki, wanny, barwnością tapet i słońcem, które zaglądało do mieszkania dosłownie z każdego okna, o różnych porach dnia.

Ruta tańczyła po zalanych blaskiem pokojach, miały teraz tyle przestrzeni, ona własny pokój, mama sypialnię, był jeszcze salon, pokój gościnny i wielka kuchnia z drewnianymi meblami, które zostały po Śląskim. Mama uznała, że mogą jeszcze im posłużyć, bo były zrobione na wymiar i całkiem solidnie. Tak, to z pewnością było jej miejsce na ziemi, wspaniałe, wymarzone, pachnące świeżością i innością. Ruta czuła się taka szczęśliwa!

Ognisko odbyło w sobotę. Przyszli znajomi, przynieśli gitarę i kiełbaski. Ruta podała chleb i słone paluszki, w sklepach w tamtych czasach nie było zbyt wiele do wyboru. Wspólnie nabierali chrustu - las był blisko, w sąsiedztwie odkryli podczas zbierania gałęzi niewielki stawek. Żaby rechotały w nim radośnie, podkreślając szczególną bliskość natury. Dziewczyna myślała, że uroda tego miejsca z pewnością rekompensuje pewne oddalenia od centrum! Z osiedla miała bliżej, teraz - dłużej idzie do szkoły, biblioteki, ale to nic, przecież mama ma samochód!

Piekli kiełbaski, śpiewali harcerskie piosenki, śmiali się. Gdy zabrakło chleba, Ruta postanowiła pobiec do domu i donieść kilka kromek. Na schodach niespodziewanie zatrzymała ją Serafina. Ruta powiedziała jej „dobry wieczór” i już wbiegała na swoje schody, gdy sąsiadka zatrzymała stanowczym tonem upomniała ją:

- Dziecinko, tylko nie siedźcie do późna, bo jutro rano trzeba wstać do kościoła.

- Tak, to znaczy... jasne. - Nie chciała jej mówić, że ani jej mama, ani ona, Ruta, nie chodzą do kościoła.

- I nie hałasujcie zbyt dużo, bo chcemy się z mężem położyć - dodała sąsiadka, świdrując ją szparkami oczu.

- Tak, oczywiście.

Te uwagi nieco zwarzyły nastrój Ruty. Gdy wróciła, wciąż uciszała towarzystwo, bo miała wrażenie, że ich śmiechy przerywają czujny sen sąsiadki. Wreszcie towarzystwo przeniosło się do mieszkania, zamknięte drzwi odcinały hałasy, ale znaczące pukania w sufit nie pozwalały zapomnieć, że na dole ktoś ma dość tego towarzyskiego spotkania.

Impreza skończyła się około dwudziestej drugiej. Goście, zorientowawszy się w sytuacji, zaczęli schodzić na dół w samych skarpetkach. Ale w niewielkiej szybce w drzwiach sąsiadów widać było majaczący się w świetle lampy czyjś cień...

Od tego się właśnie zaczęło - gdy tylko pojawiali się jacyś goście, pojawiała się

również Serafina, epatująca swoją potrzebą modlitwy, wyciszenia, wypoczynku czy wreszcie snu, zaczepiała przeważnie Rutę, bo ta była słabszym przeciwnikiem. Nastolatka powinna słuchać starszych, dziewczyna nie potrafiła się bronić, postępowała, jak ją wychowała mama.

Mimo to wciąż zapraszała znajomych, cieszyła się domem i ogrodem. Nauczyła się go nawet uprawiać, mama wszystko jej tłumaczyła, pokazywała. Na tym jej małym szczęściu cieniem kładła się sąsiadka. Gdy tylko Ruta wychodziła na podwórko, od razu była i tamta ze swoim ciągłym napominaniem i religijnymi hasłami. Mówiła wciąż o tym, jaka jest już stara i jak bardzo potrzebuje spokoju i ukojenia w modlitwie. Oczekiwała, że inni będą żyli tak jak ona. Innym razem opowiedziała, jak przyjechała tutaj z Wileńszczyzny, gdzie zostawiła dom z pięknymi meblami i kosztownymi ozdobami w salonie. Wyraźnie mówiła to, żeby Ruta nie myślała, że ma do czynienia z kimś zwyczajnym, ale z dawną włościanką, dziedziczką bogatego rodu!

Za to męża Serafiny prawie nie widywała. Wracał z tej swej poczty do domu i już nie wychodził. Ruta nigdy nie wiedziała, co robił, czasem tylko pojawiał się w ogrodzie, by wykonać jakieś polecenie żony. Tym obarczała jednak najczęściej synów, wówczas jeszcze dwudziestokilkuletnich, przyjeżdżających w wolne dni z dużych miast, gdzie studiowali. Zjawiali się, bo potrzebowali jedzenia i pieniędzy.

Pierwsze tygodnie w nowym domu przynosiły zatem nie tylko miłe wrażenia. I wtedy właśnie, na targu staroci, na który kiedyś poszły z mamą, Ruta wybrała ten obraz z latarnią morską. Nie wiedziała, dlaczego właśnie z latarnią, były przecież i z kwiatami, i z koźmi, ale Rucie spodobał się ten właśnie. Kupiła go i pomyślała, że może gdy go podaruje sąsiadce, ta przestanie się o wszystko czepiać, może uda się nastawić ją nieco przychylniej do nowych sąsiadów.

Serafina przyjęła prezent chętnie, pogłaskała Rutę po głowie i powiedziała:

- Bóg ci zapłacić, dobra dziewczynko.

I od razu dodała:

- A w kościółku w niedzielę byłaś?

- Nie, nie byłam - odpowiedziała zgodnie z prawdą, nieco zdziwiona pytaniem.

- No to musisz iść do spowiedzi, bo masz grzech. Ciężki - zawyrokowała z westchnieniem kobieta.

- Ale my, proszę pani... My nie chodzimy do kościoła.

- No właśnie, zauważyłam, muszę porozmawiać z twoją mamą. A teraz dziękuję jeszcze raz, idę zmówić różaniec, również za ciebie i twoją matkę, mam nadzieję, że nie będziesz tupała zbyt mocno kopciami o podłogę. Poproś może mamę, by ci zrobiła na

szydełku takie kapciuszki wełniane, one nie stukają w ogóle, cichutko się w nich chodzi.

I zamknęła drzwi. Ruta wyszła na dwór. Przez okno widziała, jak kobieta wiesza obraz w pokoju. Nagle spojrzała na dziewczynę przez okno i szybko zaciągnęła zasłonę. Trzask energicznie przesuwanych żabek słyszeć było aż na zewnątrz.

Pierwsza rozmowa sąsiadki z mamą Ruty dotyczyła właśnie religijności.

- Jak to możliwe, żeby nie chodzić do kościoła? Trzeba dbać o zbawienie duszy! Powinna pani córkę posyłać do spowiedzi, na religię. Pewnie księdza też nie przyjmiecie? Poprzedni lokatorzy przyjmowali! - argumentowała swoje racje na schodach, głośno, tak, żeby Ruta słyszała każde słowo.

- My nie jesteśmy lo-kato-rami, tylko właścicielami - upomniała ją matka Ruty.

- Niech pani nie zmienia tematu. W tym domu zawsze mieszkali ludzie wierzący!

- Ależ, pani Serafino, my szanujemy pani wiarę, więc niech pani uszanuje nasze poglądy. Poza tym to chyba nasza sprawa, czy chodzimy do kościoła, czy nie?

- Ludzieeee... - jęknęła przeciągle sąsiadka. - Jaka wasza sprawa? To sprawa nas wszystkich, wspólnoty! Rozumie pani? Ws-pól-no-ty! Mieszkamy tu przecież razem, tak? A jak mnie proboszcz po sumie spyta, czemu moi sąsiedzi nie chodzą do kościoła, to co mu powiem?

- Pani chyba przesadza...

- Ja przesadzam?! To wy przesadzacie. A kysz, a kysz. - Serafina szybko zrobiła znak krzyża nad kobietą i zniknęła za drzwiami.

Ruta chichotała, gdy otwierała mamie drzwi.

- Mamo, słyszałam wszystko, to jakaś chora baba - wyszeptwała, żeby tamta nie słyszała.

- Cicho, nie mów za głośno. Ściany mogą mieć uszy...

I rzeczywiście tak było. Bo „chorą babę” sąsiadka wypomniała Rucie od razu nazajutrz, gdy tylko mama poszła do pracy. I wypominała jeszcze inne komentarze rzucone pod jej adresem. Okazało się, że tak jak obawiała się jej mama, ściany w tym domu miały uszy. A właściwie szklankę przy ścianie, służącą jako urządzenie podsłuchowe, za pomocą którego sąsiadka śledziła każdy ich ruch i każde słowo. Wiedziała, kiedy wychodzą z domu, o której wracają, jak się ubierają, co niosą w siatkach. Stukała w rury, gdy za długo się kąpały, gdy spuszczały wodę w toalecie lub gdy przekładały naczynia w zlewozmywaku. Gdy listonosz przychodził do nich z listem, często nie wpuszczała go za próg domu, zmuszając, by wtykał listy w drzwi wejściowe na dole. Niekiedy listy w ogóle do nich nie docierały. Za to Serafina wiedziała, ile jej sąsiadki płacą za wodę, prąd, telefon... Któregoś dnia Krystyna

przypadkowo otworzyła pojemnik na śmieci należący do Serafiny. Na wierzchu leżały otwarte koperty adresowane do niej, przedarte na pół, oraz rachunki, na które czekała od tygodni. Wściekła, odwróciła głowę w kierunku okna Serafiny, ale ta już ją uprzedziła - stała w nim i krzyczała:

- Proszę nie dotykać mojego pojemnika na śmieci, ma chyba pani swój, prawda?! Co za bezczelność!

- Ale tu są moje listy!

- Co też pani opowiada, jakie listy?! Walały się jakieś śmieci po ogrodzie, to musiałam je posprzątać. Ale z pani porządnicia, nie ma co. Wiadomo, kto nie ma w sercu Boga, ten nie ma serca do ludzi - zakpiła i zatrasnęła okno.

Ruta pamiętała, że matka wróciła wtedy na górę zdenerwowana, cała się trzęsła.

- Ona nie daje nam żyć, co to za kobieta! - krzyczała. I odmierzała małymi kroplami walerianę. Nigdy nie skarżyła się na serce. A jednak... Tamtego dnia była bardzo zdenerwowana i zażywała walerianę już kolejny raz!

- Mamciu, nie denerwuj się, spokojnie.

- Jak mam się nie denerwować, kiedy ta baba jest dosłownie wszędzie?!

- Nie przejmuj się tym.

- Nie umiem.

- Damy radę - pocieszała ją Ruta, podając lampkę koniaku. Patrzyła, jak mama duszkiem wypija brązowy płyn, kładzie się pod koc na kanapie i zasypia.

Moja kochana mama - pomyślała wówczas dziewczyna. Taka zawsze zapracowana, tak starała się, by było im jak najlepiej. Znalazła im ten wymarzony dom! Tylko... Ten dom stopniowo zmieniał się w piekło...

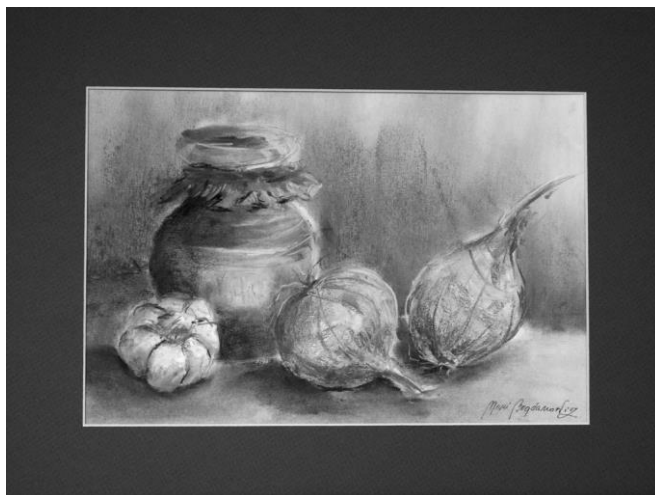
Biało-czarne awizo w skrzynce, którą zamontowały na bramie wjazdowej, z wielkim numerem mieszkania, początkowo nie zwiastowało nic groźnego. Ruta zabrała je przy okazji do szkoły.

- Zajdę na pocztę, to odbiorę - obiecała mamie.

Pani z okienka pocztowego знаła je obie, więc wydała list bez problemu. Ruta sięgnęła po kopertę i przeczytała nadawcę. Sąd Rejonowy. Do mamy? Ale co się stało?! Poczła lekki niepokój, jednak pocieszyła się, że to pewnie nic ważnego. Zresztą zaraz się dowie.

Koperta czekała do powrotu Krystyny. Ruta nie otworzyła jej, choć bardzo ją korciło.

- Sąd? Co sąd może chcieć ode mnie? - zastanawiała się kobieta, rozdzierając nerwowo kopertę.



Obrazy wychodzące spod jej pędzla, najpierw niewielkie, trochę kiczowate mazurskie widoczki, zapamiętane z dzieciństwa, zwyczajowe martwe natury, portrety, potem pejzaże - spodobały się właścicielowi niewielkiego antykwariatu - galerii w starym budynku z czerwonej cegły, zwanym szumnie Collegium Maius.

Obraz Moniki Bogdanowicz, utalentowanej artystki z Reszła,

www.monika-bogdanowicz.pl

Ze środka wyciągnęła... wezwanie na rozprawę. Z powództwa... Serafiny Woźniak. W kopercie był również pozew. Rozłożyła go drżącymi dłońmi. Ruta nachyliła się i czytała razem z matką. Po chwili jęknęła:

- Nieee. Nic z tego nie rozumiem... Brak porozumienia w zarządzaniu majątkiem wspólnym? O tę skrzynkę na listy na bramie wjazdowej jej chodzi?

- No, chyba tak... - powiedziała cicho mama.

- I dlatego pozwała nas do sądu? Nie mogła powiedzieć, że jej to przeszkadza, ta głupia skrzynka?! - Ruta podniosła głos.

- Ciiii, nie trzeba, nie krzycz. Zaraz wszystko wyjaśnimy - uspokajała ją mama.

- Co wyjaśnimy? Złożyła na nas skargę. Do sądu!. Na ciebie mammo! O skrzynkę na listy!

- W sumie... Powiesiłam ją na wspólnej bramie.

- A gdzie miałaś ją powiesić? Skoro na piętro nie wpuszcza listonosza! Na drzwi wejściowe też nie da powiesić. Bo wspólne. Więc gdzie?! U sąsiadów?!

- Rutko, nie denerwuj się. Coś wymyślimy. Może... skrytkę pocztową?

- Mammo, masz dom i będziesz po listy biegać na pocztę?!

- Nie wiem, zadzwonię do kolegi, który jest prawnikiem. Może coś doradzi.

Rozprawa miała odbyć się za trzy tygodnie. Przez ten czas Serafina trzy razy nakrzyczała na Rutę, że nie domknęła wejściowych drzwi, dwa razy „grzecznie poprosiła”, by mama Ruty nie zostawiała samochodu pod domem, bo od tego jest garaż pod rozłożystym klonem, i na nic zdały się tłumaczenia, że chciała tylko wnieść zakupy do domu i musiała zaraz jechać dalej („nie życzę sobie parkowania pod oknami, bo zasłania mi pani widok na ulicę!” - argumentowała sąsiadka) oraz pięć razy zastukała w sufit, gdy Ruta podkręciła głośniej radio i dłużej spuszczała wodę. Choć nie było to po dwudziestej drugiej.

- To się robi nie do zniesienia - powiedziała mama Ruty, szykując się na rozprawę.

Serafina robiła się podstępna i marudna, one - zastraszone i zestresowane. Na godzinę przed rozprawą mama Ruty zasłała pierwszy raz. Nie powiedziała jednak o niczym córce. Wypiła dyżurną walerianę, którą nosiła w torebce, i pomyślała, że ten lek działa już coraz słabiej. I że trzeba będzie pójść do lekarza, by przepisał coś silniejszego na uspokojenie. I bezsenne noce.

Sąd zaproponował ugodę. Serafina nie życzyła sobie skrzynki na bramie, bo jej zdaniem szpeciła misterną metaloplastykę jeszcze sprzed wojny. Po namowach sądu zgodziła się jednak na powieszenie skrzynki obok, na ogrodzeniu, mniej stylowym, bo ze współczesnej drucianej siatki.

- Nie będę przecież codziennie temu listonoszowi otwierać. Tych z góry ciągle nie ma, a do nich różne listy przychodzą, do mnie bardzo rzadko. No, nie będę tak chodzić co chwila, bo mi ciężko - mówiła w sędzie.

- Dobrze, że to się wreszcie skończyło - cieszyła się jak dziecko mama Ruty, zdając jej relację z rozprawy. Córka też się cieszyła, widząc że mama tak dzielnie i spokojnie zniosła to stresujące doświadczenie. Nie wiedziała, że na dnie torebki leży mała fiołka leków uspokajających. Silniejszych niż waleriana...

Kolejne miesiące nie przyniosły nic nowego - a na pewno żadnych zmian na lepsze. Relacje między sąsiadami ograniczały się do wypowiedanego od niechcienia „dzień dobry”, czasem nawet nieartykułowanego, niby przez nieuwagę. Ruta wciąż nie mogła zrozumieć, jak przez takie głupstwo jak skrzynka pocztowa można iść do sądu! Nie znosiła tej kobiety coraz bardziej, choć mama uspokajała ją i dziwaczne reakcje sąsiadki tłumaczyła wiekiem.

Ruta nie potrafiła tego zaakceptować. Z coraz większym wstrętem patrzyła na codzienne wyprawy do kościoła, na majowe, potem na różaniec, na ciągle mruczenie pod nosem modlitw, przerywane co chwila uwagami:

- Proszę nie tupać! Nie hałasować! Dom to nie dyskoteka!

Ruta, choć nie rozumiała zachowania Serafiny, posłuszna swojej mamie, nie wdawała się w kłótnie, unikała komentowania oczywistej hipokryzji. Tłumiony bunt narastał jednak systematycznie.

Czas liceum minął szybko, jak dla Ruty za szybko. W pierwszej klasie odkryła w sobie nieznaną dotąd talent. Właściwie odkrył go jej nauczyciel, pan Piotr, artysta i poeta, brodaty, wiecznie zamyślony mężczyzna, z eleganckim szalem na szyi.

- Ładnie rysujesz. Masz talent - powiedział na lekcji plastyki.

- Naprawdę? - Ruta nie wierzyła. Owszem, lubiła rysować, ale nigdy nie sądziła, że to coś wyjątkowego. Palce po prostu same kierowały ołówkiem. Poprzednia nauczycielka z podstawówki nie zauważyła u niej zdolności w tym kierunku. Może dlatego, że sama miała wykształcenie muzyczne, a lekcje plastyki prowadziła z musu?

- Powinnaś przychodzić do mnie na zajęcia dodatkowe - zachęcił ją pan Piotr. I Ruta w poniedziałki zostawała po lekcjach, by rozwijać swoją nowo odkrytą pasję. Po roku jej postępy były na tyle imponujące, że pan Piotr zaproponował udział w swojej wystawie.

Wystawa odbyła się w miejscowym domu kultury. Uroczyste otwarcie, artystyczne zadęcie niektórych znawców sztuki i radosne zachwyty na widok jej nieco impresjonistycznych obrazów pól, łąk i osnutych mgłami jezior - takie wrażenia zapamiętała z tego spotkania. Pan Piotr namówił ją też do wybrania studiów artystycznych. Mama

początkowo patrzyła na te pomysły nieufnie, ale kiedy Ruta przynosiła do domu prace z zajęć pozaszkolnych, powoli i ona też przekonywała się do tego pomysłu. Oczywiście, przyszła na tę pierwszą wystawę. Mimo że dumna z córki, momentami wydawała się jednak jakaś nieobecna.

- Mamuś, co się dzieje? - zapytała Ruta, korzystając z chwili, gdy matka znalazła się blisko niej.

- Nic, nic, córeńko. Wszystko w porządku.

- Mamo, nie oszukasz mnie. Widzę, że coś się stało, znam cię dobrze - naciskała Ruta.

- Zdaje ci się...

- Nie zdaje. Widzę przecież. Źle się czujesz? Powiedz, martwię się o ciebie.

- No, dobrze... Gdy wychodziłam z domu, „kochana” sąsiadka znów okazała swoją troskę o nas - powiedziała z przekąsem pani Krystyna.

- Przeczuwałam, że ona nie może zbyt długo siedzieć cicho. Co tym razem wymyśliła?!

- E, to co zwykle. Że źle cię wychowuję. Podobno zamknęłaś na klucz drzwi wejściowe, kiedy ona była w garażu!

- To nieprawda! - Serce Ruty zaczęło bić szybciej. Wiedziała na pewno, że nie zamknęła żadnych drzwi. Gdy wróciła ze szkoły, siedziała w domu i ani razu nie zeszła na dół!

- Wierzę ci, pewnie jej mąż zamknął te drzwi niechcący, ale ile musiałam się nasłuchać!

- Co ci powiedziała?

- Że zachowujesz się tak, jakbym ciebie w dzieciństwie obierkami karmiła!

- Niemożliwe? Tak powiedziała?

- Tak. A ja do niej, wiesz, chciałam w żart to obrócić, pytam, jak jej zdaniem zachowują się dzieci karmione obierkami. W czym są gorsze od tych, co jedzą ziemniaki? A na to ona mi mówi, że jestem zwykłą chamką. I walnęła przede mną drzwiami. Na tyle ją tylko stać! Co to za kobieta!

- Spokojnie mamo! Nie denerwuj się. Szkoda nerwów na kogoś takiego.

- Wiesz, córeczko, inaczej sobie wyobrażałam mieszkanie w domu pod lasem. To miał być nasz azyl. Zaczynam się zastanawiać, czy przeprowadzka była dobrym pomysłem. Jak to możliwe, że jakaś kobieta jest w stanie tak mocno ingerować w czyjeś życie? Może to dziwne, co powiem, ale czasami odnoszę wrażenie, że to nie tylko jej sprawka, że sam dom jest jakoś naznaczony... Jakoś dziwnie nieprzyjazny.

- Mamuś, przepraszam cię najmocniej, dokończymy rozmowę w domu. Teraz muszę wracać do obowiązków, pan Piotr macha do mnie. Zażyjesz w domu walerianę, to cię uspokoi. Postaram się, żebyśmy mogli wrócić jak najszybciej.

Ruta nie wiedziała, że jej mama nie zażywa już waleriany. Ta od dawna już na nią nie działała.

Gdy wróciły z wernisażu, drzwi ich mieszkania ubrudzone były błotem. Nie musiały nawet zastanawiać się, kto to zrobił. Nie miały też ochoty kłócić się z sąsiadką. Umyły po prostu drzwi, i tyle. Ale na drugi dzień Ruta, wychodząc do szkoły, nasypała piachu na wycieraczkę Serafiny. Poczula się jak psotne dziecko, które robi głupiego psikusa. Odpłaciła jej za to błoto! I po raz pierwszy w życiu poczuła smak małej zemsty.

Od tej chwili postanowiła, że dosyć już milczenia. Skoro tamta chce walki, będzie ją miała. Również mamie poradziła, by zaczęła się bronić, bo dość już ich sąsiadka błota, dosłownie i w przenośni, na nie wyrzuciła. Mama próbowała ją powstrzymać, mówiąc, by dała spokój, znów podawała te same argumenty o starości i zdziwaczeniu tamtej, jednak Ruta krzyczała wówczas na nią:

- Bo widzisz, że pluje na ciebie, a ty mówisz, że pada! Tak nie można. Zaczynij się wreszcie bronić, bo wykończy nas obie! Ja nie zamierzam jej ustępować, rozumiesz?!

Krystyna jednak tłumiała w sobie całą złość, znosiła ją w milczeniu, bo... taka już była. Patrzyła na swoją córkę, która dorastała i coraz bardziej przypominała jej bardziej zdecydowanego i stanowczego Tunia.

- Nie wyparłby się tatuś córeczki - wzdychała czasem, a po tych słowach Ruta zamykała się w swoim pokoju, zła, że mama nie poszła na dół i nie zrobiła awantury sąsiadce za to nieustanne walenie w sufit. Kiedy jednak Serafina odkryła inne, bardziej dźwięczne i dokuczliwe miejsce do walenia kijem od szczotki, kaloryfer, Ruta nie wytrzymała i zbiegła po schodach, bezskutecznie zatrzymywana przez matkę.

- Słuchaj, stara... babo! - krzyczała pod drzwiami tamtej, drżąc cała, jękając się ze złości i strachu. - Jak nie przestaniesz walić w te... ka...loryfery, to cię podpale, rozumiesz? Ciebie i te twoje... święte obraz...ki! Piekło ci urządzę... tu na ziemi! Modliszko pieprzona!

Ruta samej siebie nie podejrzewała o taki arsenał słów. Nigdy nie była agresywna, zawsze raczej pogodna, zrównoważona, uśmiechnięta. A teraz... Cieszyły ją oto zemsta i słowa-kamienie rzucone pod drzwi tamtej. Zmieniła się, bo zmieniała ją ludzka nienawiść i atmosfera tego domu. Nie mogła patrzeć, jak jej mama kryje się po kątach we własnym ogrodzie, jak bezszelestnie przemyka pod ścianą, idąc do piwnicy, unika wieszania bielizny na wspólnym strychu, wyjaśniając, że lepiej, jak schnie w domu, nie trzeba wtedy biegać po

schodach. Zaczynał ją mierzwić ten ciągły lęk, żeby tylko nie zrobić czegoś niewłaściwego, za co Serafina mogłaby je znów zbesztać. Zwyczajnie - czara się przepełniła. I wtedy, w wieku prawie osiemnastu lat, wypowiedziała sąsiadce otwartą wojnę. Dlatego właśnie pod tymi drzwiami wyrzuciła z siebie całą gorycz, nie spodziewając się, jak bardzo Serafina to wykorzysta!

Ruta zaplanowała, że swoje osiemnaste urodziny wyprawi... właśnie w domu! Na złość wszystkiemu! I że będzie to zabawa do białego rana. Matka chciała ją od tego odwieść, jednak Ruta stanowczo powiedziała:

- Nie mam zamiaru jej ulegać! Za moment będę pełnoletnia. Nie jestem już tą samą nastolatką, która chciała się jej podlizać. Nie i koniec, rozumiesz! - Podniosła głos na matkę.

Ostatnio robiła to coraz częściej. Może to atmosfera tego domu, ten ciągły strach i stres sprawiły, że Ruta traciła już wiarę w normalne życie? Czekala tylko na moment, kiedy wreszcie stąd wyjedzie, na wymarzone studia plastyczne, koniecznie do Torunia, bo tak radził jej pan Piotr, absolwent toruńskiej uczelni. Chciała zostawić ten dom, szkoda jej tylko było matki, która zostanie całkiem sama, na pastwę tej z dołu.

Zaprosiła kilkanaście osób z klasy i znajomych z kółka plastycznego. Mama upiekła ciasta: sernik i metrowiec, a tort z kolorowym kremem przygotowała koleżanka mamy z pracy. Ruta zrobiła swoją popisową sałatkę warzywną, jajka z majonezem, wspólnie z mamą upiekła trzy kurczaki i przygotowała śledzie po sułańsku - marynowane płaty zmieszane ze smażoną słodką cebulą, rodzynkami i koncentratem. Do pochrupania - słone paluszki i krakersy.

Ładnie udekorowany i zastawiony jedzeniem stół, uśmiechnięta Ruta i przychodzący właśnie goście z prezentami - to miły dla oka widok nieuchronnego wchodzenia w dorosłość.

Mama wyjechała do swojej koleżanki z pracy, z zamiarem zostania u niej na noc. Ruta żartowała, że mama „daje jej wolną chatę”. Tak się wtedy mówiło. Dziewczyna była wdzięczna za to, że nie wypadła w oczach swoich znajomych na córeczkę mamuni, która spędza z nią osiemnaste urodziny. Gdy już zostali sami: Ruta i jej goście, jeden z kolegów, Zbyszek, otworzył dobrze wyposażony barek w salonie. Ruta chciała go powstrzymać, ale on śmiał się, że na osiemnastce powinien być jakiś alkohol. Rozlał do kieliszków brązowe brandy dla chłopaków i czerwoną sangrię dla dziewczyn. Atmosfera się rozluźniła, tylko Ruta...wciąż nerwowo zerkala na zegarek i nasłuchiwała, czy ta z dołu nie wali w sufit albo kaloryfer. Zaraz dwudziesta druga, już powinna była stukać od dwóch godzin. A tu nic. Cisza. E, pewnie odpuściła.

- Stara wariatka daje dziś żyć, co? - spytał wesoło Zbyszek, zerkając filuternie na Rutę

i popijając brązowy płyn. Wszyscy znajomi Ruty wiedzieli o jej perypetiach z sąsiadką, ale dziś nie przejmowali się tym zbyt. Bawili się, hałasowali, trzaskali drzwiami i specjalnie głośno szurali krzesłami. Jedna z dziewczyn, Agnieszka, zatupała nawet nogami i krzyknęła:

- Stara purchawko, zapraszamy na górę!

Oto jak jedna nienawiść rodzi kolejną... Tworzy się pętla nienawiści, z której tak trudno umknąć...

Ruta wyszła do swojego pokoju po album ze zdjęciami, bo towarzystwo nagle zapragnęło obejrzeć zdjęcia z początku liceum. Przekładała albumy na półce, tu było dzieciństwo, z Tuniem w roli głównej, tu podstawówka, pierwszy dzień w szkole, tu bal ósmych klas... Była właśnie przy pochodzie pierwszomajowym, kiedy do pokoju wszedł Zbyszek. Obejrzała się, przestraszona czyjąś obecnością.

- Co tu robisz, taka sama, zapomniana? - westchnął jej do ucha. - Zostaw już te albumy, no chodź do mnie, chodź. - Wyciągnął do niej ręce wyraźnie ośmielony alkoholem, z wesołym spojrzeniem, beztroski i pożądlivy.

Ruta odłożyła album i pozwoliła się pocałować. Pierwszy raz całowała się z chłopakiem! Starła się zapamiętać smak jego ust. A on sam, Zbyszek... Starszy o rok, ale nie zdał w pierwszej klasie i zimował, ucząc się już potem gorliwie. Był w klasie z Rutą. Wysoki blondyn, dość przystojny, ale nie na tyle, by Ruta zwracała na niego uwagę przez cztery lata liceum. Dopiero dziś...

- Zawsze mi się podobałaś - wyznawał jej pomiędzy pocałunkami. - Pragnę cię, słyszysz? - mówił jej do ucha, a ona zaczynała odczuwać podniecenie w dole brzucha, pierwszy raz. I wtedy... bezceremonialnie zadzwonił dzwonek u drzwi. Ruta odskoczyła od Zbyszka jak polana zimną wodą. Poprawiła włosy, obciągnęła bluzkę i spódnicę i wybiegła do przedpokoju.

Na progu stali... dwaj policjanci i Serafina! Jeszcze widok policjantów Ruta mogłaby znieść, ale widoku tej wrednej baby - w żadnym razie!

- Dobry wieczór. - Jeden z funkcjonariuszy zaszalutował.

- Dobry wieczór - wyjąkała, patrząc z nienawiścią w pomarszczoną grymasem gniewu i satysfakcji twarz sąsiadki.

- Mamy zgłoszenie, że tu się odbywa huczna impreza. Zakłócanie spokoju i ciszy nocnej - mówił policjant beznamiętnie.

- Ruja i porubstwo! - wrzasnęła za plecami Serafina. - Modlić się nie można! Ot co!

Niespodziewana wizyta przedłużyła się - policjant musiał spisać raport i wysłuchać obu stron. Nie było to miłe! Ruta trzęsa się z nerwów, goście ją uspokajali. Jak dobrze, że

wszyscy byli już pełnoletni! Policjanci od razu zauważyli, że towarzystwo pije alkohol. Legitymowali każdego z gości, sprawdzali wiek. Na szczęście skończyło się na pouczeniu o potrzebie zachowania ciszy. Ruta próbowała wyjaśniać, ile ją kosztuje sąsiedztwo z tą kobietą, jednak policjanci nie dawali jej dojść do słowa, sypiąc paragrafami jak z rękawa. Ruta czuła się upokorzona i przede wszystkim załamana, że taki właśnie finał ma jej osiemnastka. Goście zaczęli pomału się zbierać. Zostali tylko Agnieszka i Zbyszek, a sąsiadka triumfowała! Na koniec, gdy policjanci już wychodzili, syknęła Rucie do ucha:

- A my to się jeszcze spotkamy w sądzie. Ty wiesz za co.

Ruta zatrzasnęła za nimi drzwi, z wielką ulgą osuwając się na podłogę.

- Uff, nareszcie sobie poszli. Zostawcie, nie sprzątajcie - powiedziała do krzątających się po domu przyjaciół.

- Pomożemy ci, już późno - zawołała Agnieszka.

Sprząтали wspólnie, gorliwie, Ruta od czasu do czasu spoglądała na Zbyszka, on na nią, a potem już razem, we dwoje, zerkali na Agnieszkę, czy niczego nie zauważyła. Ta jednak pochłonięta była zmywaniem, powolnym i dokładnym. Z wielkim namaszczeniem myła talerze i szklanki, a potem splukiwała je długo, a Ruta patrzyła na tę ceremonię z podziwem, żartując, że koleżanka jest mistrzynią zmywania. A potem goście wyszli, schodząc już po cichu, wyraźnie utemperowani przez sąsiadkę, z nastrojami zepsutymi przez jej wizytę w towarzystwie stróżów prawa.

Ruta już się nie kąpała, bojąc się nalać wody do wanny, żeby tamtej nie było za głośno. Splukała się słuchawką, marząc, że może kiedyś będzie miała prawdziwy prysznic, taki, jaki widywała w kolorowych pismach. Wytarła się i wyszła do kuchni, bo nagle zgłodniała. Goście zostawili jeszcze trochę jedzenia - sałatka warzywna smakowała znakomicie...

Mama wróciła rano zmęczona i blada.

- Źle spałam - wyjaśniła i położyła się w salonie. Nie spytała nawet, jak minął poprzedni wieczór, jak bawili się goście. Niedzielne, leniwe przedpołudnie kapowało minutami, Ruta leżała w fotelu i czytała książkę, jej myśli wciąż jednak błądziły wokół tego, co się stało minionej nocy. Nagle ciszę zmąciły jakiś krzyk na dole:

- Czego w kółko łążą, nie dadzą się człowiekowi modlić?! Dziś niedziela, dzień boży, do kościoła, a nie do tej meliny!

Ruta wybiegła na schody, mama za nią. Na dole stała Agnieszka z inną koleżanką, Dorotą.

- My do ciebie, może wyjdiesz? - spytały nieśmiało, a Serafina stała przy nich i

krzyczała:

- Odkąd tu mieszkają, spokoju nie ma! Dom publiczny, policję trzeba aż wzywać, mało jednej balangi, to już następną szykują!

- Zamknij się, stare próchno! - wrzasnęła dziewczyna, gotowa rzucić się z pięściami na sąsiadkę, zła, że przyjaciółki stały się nagle świadkami krępującej sytuacji. Agnieszka z Dorotą pośpiesznie wyszły, czując, że nie chcą już dalej uczestniczyć w tym marnym przedstawieniu. Matka, ze ściągniętą twarzą, uspokajała Rutę, która płakała i krzyczała:

- Nienawidzę jej jak psa! Nienawidzę!

Za drzwiami, już bezpieczne, z dala od spojrzeń sąsiadki, obie trzęsły się z nerwów, Krystyna sięgnęła do torebki i z małej szklanej buteleczki wysypała na dłoń dwie tabletki. Jedną podała córce.

- Masz, zaraz się uspokoisz.

Ruta płakała nad własną nienawiścią, nad podłością tamtej, że włąła w jej życie.

- Ruto, co ona mówi? Jaka policja? Coś ty zrobiła? Co tu się działo? Myślałam, że mogę ci zaufać? - odezwała się mama, gdy już się obie uspokoiły. Ruta opowiedziała o wizycie policjantów i pouczeniu. Mama posmutniała, a Rutę przez kilka dni męczyły jeszcze wyrzuty sumienia, że sprawiła jej przykrość. A potem znów powróciła codzienność, przygotowania do matury, odrabianie lekcji i pomoc coraz słabszej mamie w codziennych obowiązkach.

Któregoś dnia, jakieś dwa tygodnie po urodzinach, Ruta znalazła w swojej skrzynce awizo adresowane do niej. Awiza od pewnego czasu napawały ją grozą. Na miękkich nogach poszła na pocztę, mając najgorsze przeczucia. Nie myliła się. Znów wezwanie do sądu. Tym razem Serafina złożyła prywatny akt oskarżenia. Słowa, wypowiedziane wtedy, pod jej drzwiami, że ją podpali, okazały się brzemienne w skutkach. Ruta rozplakała się z bezsilności.

Rozprawa sądowa była dla niej wielkim przeżyciem. Po raz pierwszy w życiu stanęła w bezdusznej sali starego przedwojennego budynku, wpatrzona w pozbawioną emocji twarz sędziego. Nie wiedziała, czy będzie mogła opowiedzieć wystarczająco jasno i w rzeczowy, zrozumiały dla sędziego sposób o swoim koszmarze mieszkania ze swoją przeciwniczką pod jednym dachem. Gdyby tak ten człowiek, skrywający się w czarnej todzie, który ma wydać wyrok, mógł choć na chwilę zamienić się z Rutą życiowymi miejscami? Ciekawe, czy on, przy całej swojej wiedzy prawniczej zdołałby udowodnić przed innymi, że ta z pozoru poczciwie wyglądająca kobieta, której usta wypełniają formułki żywcem wyjęte z Pisma Świętego i kościelnych kazań, za kurtyną codzienności zmienia się w demona zła? I że te

same usta wypełniają się wyzwiskami, groźbami i klątwami, przez które ona i jej matka, dyrektorka miejscowej szkoły, są na granicy załamania nerwowego.

Ruta mówiła o tym wszystkim, przyznając się do tego, że faktycznie zachowywała się głośno wtedy pod drzwiami, ale została do tego sprowokowana i przestała panować nad sobą. Miała wrażenie, że sędzia jej jednak nie dowierzał, że przegrywa tę potyczkę z Serafiną przed obliczem wymiaru sprawiedliwości. No bo jak to wszystko z zewnątrz wyglądało? Ona - rozchwiana emocjonalnie smarkuła, która myśli, że wszystko jej wolno, łącznie z wyzywaniem sąsiadki, i tamta - starsza pani, na sali sądowej wyjątkowo opanowana, która potrzebuje przede wszystkim spokoju!

Rozprawa zakończyła się umorzeniem ze względu na znikomą szkodliwość społeczną. Sędzia nakazał jednak Rucie przeprosić sąsiadkę, a w uzasadnieniu do swojego postanowienia nie omieszkał przestrzec Ruty przed konsekwencjami braku poszanowania starszej osoby. Odwołał się również do metod wychowawczych, które w obecnych czasach idą w zapomnienie, utrwalając w społeczeństwie brak szacunku dla starszych i ich potrzeb. Ruta wiedziała przecież, że ludziom starszym należy się szacunek, i zawsze starała się go okazywać, niestety, do momentu, aż poznała Serafinę i zamieszkała z nią pod jednym dachem. To właśnie wtedy zmieniła swoje postrzeganie niektórych ludzi. Zburzył się jej poukładany świat wartości, uwalniając nowe, nieznane dotąd cechy: nieufność i hardość wobec ludzi. A wyrok sądowy jeszcze bardziej cechy te w niej utrwalił.

Na sali rozpraw bąknęła tylko ciche „przepraszam”, ale po wyjściu na zewnątrz, gdy zostały już całkiem same, nie wytrzymała i z przesadną grzecnością, udając, że kłania się jej w pas, wyrecytowała jednym tchem:

- Bardzo panią przepraszam, że kiedy pani po raz kolejny mnie zdenerwowała i doprowadziła do furii, co jest w pani naturze, powiedziałam, że panią podpalę. Nie miałam jednak prawa tak mówić, bo podpałą panią dopiero wszyscy diabli w piekle, w które pani tak wierzy! I przepraszam również, że ze względu na pani wieczne rozmodlenie i hipokryzję nazwałam panią pieprzoną modliszką. Nie jest pani modliszką. Ubliżyłam modliszce!

Serafina otworzyła usta ze zdziwienia. Nie spodziewała się ataku na progu budynku sądu. Może nie rozumiała słowa „hipokryzja” i dlatego nie zareagowała?

- Wydaje mi się, że trochę przesadziłaś, córeczko. Nie powinnaś jeszcze bardziej zaognić i tak już rozgrzanej sytuacji - powiedziała matka do Ruty, gdy ta zrelacjonowała jej wszystko.

- Mamo, czy ty nie rozumiesz, że najlepszą obroną jest atak? Nie mam zamiaru bać się jej i czekać na to, co jeszcze ta baba wymyśli, by umilić nam życie! Popatrz, kupiłam baterie

do magnetofonu i odtąd będę ją nagrywać - zakończyła Ruta, wyjmując z torebki swój zakup. Przyniosła z pokoju starego grundiga MK 252P i włączyła czerwony przycisk na górze.

- No, powiedz coś, zobaczymy, jak nagrywa - Ruta się zaśmiała.

- Nie wygłupiaj się, daj już spokój, jestem taka zdenerwowana! - mruknęła matka, a Ruta po chwili odtworzyła jej słowa z szumiącej kasyty.

- Że też wcześniej na to nie wpadłam!

Od tej pory grundig stał przygotowany w przedpokoju.

Końcówka liceum była dla Ruty czasem podejmowania ważnych decyzji. Postanowiła po maturze zdawać na studia, na Wydział Sztuk Pięknych do Torunia. Mama zgadzała się na jej plany, chcąc przede wszystkim, aby jej córka wyrwała się z małego miasteczka, z domu, który nie spełnił nadziei, jakie w nim pokładały, i nie stał się ich ostoją i twierdzą. Mama wyglądała coraz gorzej - była blada, miała cienie pod oczami. Od pewnego czasu byłe głupstwo wyprowadzało ją z równowagi. Ciągłe napięcie związane z sąsiadką, która z każdym rokiem stawała się coraz bardziej zrzędliva i napastliwa, do tego jeszcze zbliżająca się matura Ruty i potem egzamin na wymarzone studia - to wszystko sprawiało, że czuła się jak w matni i nie wiedziała, jak uciec od własnego życia. Żeby znaleźć jakiś chwilowy przystanek szczęścia. Choć bardzo chciała, by jej córce się powiodło, na samą myśl o samotnym pozostaniu w wielkim ponurym domu ogarniał ją lęk. Coraz częściej dokuczało jej serce, które przypominało o sobie najpierw słabym, potem coraz silniejszym kluciem, zwłaszcza w chwilach zdenerwowania. A tych chwil było coraz więcej... Do barwnej codzienności, fundowanej przez sąsiadkę, doszły kolejne trzy procesy sądowe i dwie interwencje policji. Zawsze z błahych powodów. Krystyna i Ruta zaczynały się zastanawiać, czy Serafinie nie przydałyby się solidne badania psychiatryczne. Któregoś dnia Krystyna, wracając z pracy, spotkała na drodze wracającego z zakupów męża Serafiny. Spokojny, stłamszony przez żonę człowiek był zupełnie niegroźny i ani razu nie uczestniczył w żadnej z awantur, przyjmując rolę głuchego, niemego i ślepego. Czyli - wzór dyplomaty! Krystyna delikatnie i z prośbą o dyskrecję wyjawiała mu, że, jej zdaniem, zachowanie jego żony nie jest całkiem normalne. Emocje nawet poniosły ją nieco dalej i pożałowała się na swoje zdrowie, a w zasadzie na jego brak, co ma niewątpliwie związek z nerwami i ciągłym stresem, który wywołuje jego żona. Napomknęła delikatnie o wizycie u psychiatry. Starszy człowiek pokiwał głową i popatrzył dobrotliwie swoimi szarymi oczami, co najwyraźniej miało znaczyć, że spróbuje coś zdziałać.

Wieczorem siedziały obie w fotelach, oglądając jakiś film i pijąc wieczorną herbatę, delektując się spokojem i swoją obecnością. Ruta lubiła spędzać czas z mamą. Krystynę to

trochę niepokoiło, choćby dlatego, że dziewczyny w jej wieku zwykły spotykać się z rówieśnikami, bawić, a jej córka była nad wyraz poważna i dojrzała. Walenie do drzwi przerwało domową sielankę.

- Kto tam?! Co się stało?! - krzyknęła, wyrwana z ciszy Krystyna.

Ruta uspokoiła ją gestem i wstała, by otworzyć drzwi. Te napały na nią z nagłym impetem, walnęły o ścianę w przedpokoju, pozbawiając ją tynku na wysokości klamki.

Rozwścieczona jak byk na corridzie sąsiadka wpadła do środka, odpychając Rutę, która uderzyła boleśnie łokciem o ścianę.

- Co wy, parszywe Żydówki, sobie myślicie, że do psychiatryka mnie wyślecie?! - dudniła swoim basem. Ruta, stojąc za nią, zaciskając z bólu zęby, nacisnęła na czerwony przycisk swojego grundiga. To nagranie Ruta wykorzystała już po kilku dniach, a potem jeszcze raz po kilku latach, wtedy jednak wcale tego nie planowała. Kasetę spakowała w szarą kopertę i ukryła w szufladzie komody.

Mam cię, krakająca wrono - pomyślała wtedy z satysfakcją, która spowodowała, że... nawet ból stał się jakby mniejszy...

- Proszę się uspokoić i nie zapominać, że jest pani w moim domu! - krzyknęła mama, kuląc się w fotelu. Wyraźnie bała się sąsiadki. Ruta to zauważyła i postanowiła wkroczyć do akcji.

- Proszę natychmiast opuścić nasze mieszkanie, bo wezwę policję. To jest zwykłe najście, rozumie pani?! - krzyczała na tyle głośno, by każde jej słowo się nagrało.

- Co ty mi tu, gówniaro, będziesz mówić, co ja mam robić! Ty kurwa zwykła jesteś, ladacznica, dziwka, to szacunku do ciebie nie mam i mieć nie będę! - wyrzuciła z siebie z wściekłością Serafina i splunęła na podłogę.

- Ładnych słów nauczyła się pani w tym kościele, nie ma co! - Ruta nie pozostała jej dłużna, zważając jednak na to, że magnetofon rejestruje również jej słowa. Serafina napała na nią i rzuciła się z rękami, krzycząc o niewychowaniu i chamstwie, a Ruta, pamiętając o nagrywaniu, krzyczała:

- Mamo, ratuj, ta kobieta mnie bije!

Krystyna dopadła do tamtej, zatrzymała jej nad wyraz silne ręce w powietrzu, stała przy niej jak krasnoludek przy olbrzymce i krzyknęła:

- Ruta, dzwoń po policję!

To uspokoiło nieco zapędy Serafiny, która nagle zamarła, zastanowiła się chwilę i nieco spokojniejszym już tonem oświadczyła:

- Do psychiatryka to ciebie, głupia babo, oraz twoją córeczkę! Na rozmowy z moim

mężem jej się zebrało! Czy ty nie widzisz, że nikt tu za wami nie będzie płakał? Ten dom nigdy jeszcze nie miał takich lokatorów!

- Nie jesteśmy lokatorami, a współwłaścicielami! I to jest moje mieszkanie!

- Po moim trupie współlokatorami! Trzeba sobie na to zasłużyć. A wy co? Jak te dwie gnidy dworskie, sprzątać po was trzeba, drzwi zamykać, bramę też, to ja policję znowu na was naślę, niech was nauczy porządku!

Wyrzucała z siebie słowa nienawiści jak z automatu, strzelała nimi, a serce Krystyny znosiło jakoś te ciosy, choć broniło się kluciem, ale wiedziało, że jeśli teraz zasłabnie, to okaże słabość wobec złego człowieka, nie mogło na to pozwolić... Nie teraz...

Ruta wyprowadziła wreszcie, z pomocą mamy, wrzeszczącą sąsiadkę za drzwi, po czym zatrzaskała je i zamknęła na zasuwę. Usłyszały jeszcze na dole głos męża Serafiny, który po cichu starał się jej coś wytłumaczyć, uspokoić ją. Ona pokrzykiwała na niego mało uprzejmie, ale solidne drzwi pochłonęły wszelkie dźwięki.

Ruta wyłączyła magnetofon. Miała pierwszy dowód przeciwko Serafinie.

Mama poszła do łazienki i długo z niej nie wychodziła. To zaniepokoiło dziewczynę. Pchnęła lekko drzwi, bo nie było zamknięte na zasuwę. Matka siedziała na zamkniętym sedesie, z głową w dłoniach. Płakała.

- Mamo, no już, dobrze, spokojnie...

- Nikt mnie jeszcze nigdy nie upokorzył tak we własnym domu... Nigdy... - wyszeptała, pozwalając łzom płynąć po drżących palcach. Ruta wiedziała, gdzie w torebce mama miała tabletki, przyniosła jej, wraz z wodą do popicia, i patrzyła, jak lekkim ruchem głowy matka pomaga tabletkę przejść przez przełyk.

To nie może być tak, że my będziemy się jej bały. Przecież ona nie pozwala nam na normalne życie, muszę coś z tym zrobić - pomyślała Ruta. Pomogła mamie wstać i położyła ją do łóżka w kolorowej pościeli. Pamiętała, jaką radość sprawiało im urządzenie sypialni dla mamy - to była pierwsza, tylko jej, Krystyny, sypialnia. Wydawało jej się, że niczego już do szczęścia jej nie brakuje. A jednak jakieś fatum, w osobie obcej zupełnie kobiety, zawisło nad tym jej szczęściem.

Matura Ruty na szczęście okazała się formalnością. Przynajmniej na tyle szczęścia zasłużyły. Na przygotowanie do egzaminów poświęciła mniej czasu, niż to wynikało z narzuconego sobie wcześniej rytmu pracy. Wobec tych wszystkich nieprzewidzianych „podarunków” od sąsiadki postanowiła, że skoncentruje się przede wszystkim na przygotowaniach do egzaminu na wymarzone studia. Starannie przygotowywała teczkę, konsultowała każdą pracę ze swoim nauczycielem. Pan Piotr udostępnił jej nawet własną

pracownię - razem z nią na te domowe zajęcia chodził jeszcze jeden kolega, również przejawiający niewątpliwy talent plastyczny.

Pan Piotr, widząc jej zaangażowanie, nie szczędził dobrych słów. Nie miał też wątpliwości co do wartości teczek. To były naprawdę dobre prace - grafika, malarstwo, rysunek. Pomysły i styl Ruta miała bardzo oryginalne i nauczyciel już widział jej nazwisko na liście przyjętych na Wydział Historii Sztuki.

Ruta całe popołudnia i wieczory wręcz pożerała opasłą *Historię sztuki w zarysie* Karola Estreichera, która stała się jej biblią. Do tego dochodziły albumy i encyklopedie sztuki, wypożyczane w miejscowej bibliotece. Lubiła do niej chodzić, bo obcowanie z książkami wprowadzało w jej życie jakiś magiczny, zbawienny spokój. Budynek biblioteki miejskiej przycupnął u stóp starego, monumentalnego zamku krzyżackiego. Z jej okien można było patrzeć na zarys wyniosłych murów i widok ten był sam w sobie niczym malowniczy obraz. Ruta podawała tytuł poszukiwanej książki, a bibliotekarka, pani Marysia, która znała dziewczynę od dziecka, podawała jej kolejne tomy z życzeniami wytrwałości w nauce. A wytrwałości i uporu można było jej pozazdrościć. Nie brała też po uwagę możliwości niepowodzenia na egzaminach. Nie miała nawet planu awaryjnego - co zrobi, gdy nie zda. Dodatkowo wiarę tę wzmacniał w niej pan Piotr - który na każdym kroku podkreślał, że takiego talentu nie można nie dostrzec.

Rozdanie świadectw maturalnych, pożegnanie ze szkołą - to wszystko było dla Ruty bardzo dużym przeżyciem. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zżyła się ze swoją klasą, z nauczycielami. Ledwo zdążyła się do nich wszystkich przyzwyczaić, z niektórymi zaprzyjaźnić, a tu nieubłagalny czas chce zamknąć ten etap jej życia. Ale mimo to przyszłość jakoś nęciła ją, kusila nieznanym smakiem. Tak, chciała iść ku niej, ufna w powodzenie.

Wracała wolno do domu, wiosna witała ją na każdym rogu. Znow zamek, biblioteka, kolejne książki, a potem sklep spożywczy, w którym kupiła ptasie mleczko, by po południu uczcić wraz z mamą swój sukces, gdy ta już wróci z pracy. Był piękny dzień. Ruta czuła się taka szczęśliwa...

Im bliżej była domu, tym bardziej czuła, jak jej radość gdzieś ulatuje, pojawiał się bolesny skurcz w brzuchu. Zza zakrętu wyłoniła się szara ściana, potem okna i schody. I oto widziała cały dom. Ruta miała niejasne przeczucia - bo Serafina ostatnio dała im trochę spokoju - że coś złego musi się wydarzyć, to było niczym cisza przed burzą.

Nie myliła się. Gdy tylko przekroczyła próg i chciała wejść na schody prowadzące do ich mieszkania, drzwi nagle otworzyły się z hukiem i stanęła w nich Serafina.

- Patrzcie, jak się kokota wystroiła! - przemówiła głośno, opierając dłonie na biodrach.

Ruta zbyła ją milczeniem, nie chciała psuć sobie nastroju, dziś wyjątkowo nie miała ochoty na zaczepki i złośliwe komentarze.

- No, co się nie odzywasz, a obgadywać mnie u siebie na górze to umiecie, myślisz, że nie słyszę, co o mnie mówicie?! Wszystko się niesie po rurach!

Ruta spojrzała się na nią i spokojnie wycodziła:

- Zamknij się, stara purchawo, i uważaj, żeby ci sztuczne zęby nie wyleciały!

Nie rozumiała, skąd bierze się w niej tyle nienawiści. Nigdy taka nie była. Ruta nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale czuła każdym kawałkiem swojego ciała, że winien temu jest dom. Nie myślała, że nienawiść jest tak wyczuwalna. Jak oddech.

Tamtego dnia Serafina chwyciła ją nagle za ramiona i pchnęła z całej siły w rozłożystego fikusa. Ruta poleciała bezwładnie do tyłu. Pudełko z ptasim mleczkiem, świadectwo maturalne oraz zapakowane książki upadły na podłogę. Serafina, nie zważając na nic, deptała je, nacierając z wściekłością na dziewczynę. Ruta zapamiętała twarz tamtej - wykrzywioną grymasem wściekłości. Bała się tego grymasu - powracał potem do niej przez lata w sennych koszmarach. Wtedy była kompletnie zaskoczona, nie potrafiła się bronić, gdy spadły na nią uderzenia kapcia zakończonego ciężkim kauczukowym obcasem.

- Ty kurwo, zabiję cię, zobaczysz!

Czuła, że tamta naprawdę ją zabije i zostawi w tym fikusie na zawsze. Nie zabiła. Listonosz, pan Włodek, z listem poleconym do Serafiny, akurat skręcał w wąską ścieżkę prowadzącą do ich domu. Tego dnia miał mniej pracy - gdyby niósł renty lub emerytury, zesłoby mu dłużej, zwłaszcza u Kopalińskich, którzy częstowali go czasem nalewką domowej roboty. Dziś pojawił się wcześniej. Usłyszała jego zbawienne kroki na żwirze. Pomyślała, że zdarzył się cud. Listonosz usłyszał wrzaski. Biegiem pokonał dystans dzielący go do domu pod lasem i szybko wykręcił rękę uzbrojoną w kapeć. Odepchnął wysoką, postawną kobietę, dziwiąc się, że choć już taka stara, to tyle w niej siły.

Pomógł Rucie wydostać się z donicy z fikusem. Dziewczynie kręciło się w głowie. Z rozciętego łuku brwiowego sączyła się na białą bluzkę krew. Była odświętnie ubrana na rozdanie świadectw. Karminowe krople przez chwilę tylko szklily się na powierzchni białego jak śnieg płótna, chciwie przezeń spijane, zabierane do głębi. Dekolt bluzki nasiąkał niczym bibuła, widać było czerwoną smugę na jasnej skórze. Poczula, że za chwilę zemdleje, zapadnie się w watę własnej świadomości, miękką, nieprzyjazną...

Listonosz, zdecydowanym klapnięciem w twarz przywrócił ją światu. Patrzyła, jak mężczyzna podnosi jej nogi wysoko, nad głowę, i zdenerwowanym głosem pytał:

- Halo, słyszy mnie pani? Może wezwę pogotowie...

Ruta miała już dowody - nagranie sprzed kilku dni, kiedy Serafina naszła je w ich własnym domu (Ruta odtworzyła nagranie policjantowi), ślady pobicia, bo zaraz po policyjnym przesłuchaniu zrobiła obdukcję na pogotowiu, a przede wszystkim świadka, bo zszokowany zachowaniem starszej pani listonosz wezwał policję (Ruta dała mu klucze od mieszkania, by mógł skorzystać z telefonu!) i ten, blady i roztrzęsiony, zeznawał. Nasłuchał się przy tym wyzwisk pod swoim adresem, bo Serafina wpadła we wściekłość, widząc, co się święci.

Artykuł 217 kodeksu karnego, ściganie na wniosek osoby pokrzywdzonej, protokół przesłuchania, odpowiedzialność karna - te obce pojęcia wirowały w głowie Ruty jak gwiazdy, jak rozsypane na schodach ptasie mleczko... Policjant poinstruował ją, jakie ma prawa i jakie kroki musi poczynić, żeby sprawa znalazła swój finał w sądzie, ale Ruta nie była już taka pewna, czy tego naprawdę chce. Miała przecież swoje egzaminy, musiała się uczyć, bo chciała przecież dobrze zdać i... wyprowadzić się nareszcie z tego domu! Mama radziła jej, by dała już temu spokój, jej wrodzona łagodność zawsze bowiem znajdowała jakieś usprawiedliwienie - nawet dla najgorszych uczynków. Te dowody i zeznania radziła mieć w zanadrzu, by trzymać sąsiadkę w szachu. Krystyna obawiała się zapewne, że jeśli sprawa znów trafi do sądu, to tamta gotowa zrobić coś jeszcze znacznie gorszego! A kiedy Ruta wyjedzie na studia, ona zostanie tu całkiem sama, bez szans na podjęcie walki. Tym bardziej że Serafina sprawiała wrażenie coraz bardziej nieobliczalnej.

- Nie walczmy jej bronią - powiedziała Rucie i dziewczyna pozbywała się stopniowo wszelkich wątpliwości. Odstąpi od wniosku o ukaranie tamtej, choć początkowo bardzo chciała i wszyscy wokół jej to doradzali, łącznie z listonoszem panem Władkiem, który teraz przemykał tylko ze swoją torbą na listy obok drzwi Serafiny, kontakt z nią przy wręczaniu listów poleconych lub emerytury ograniczając do minimum. Serafina po tym zdarzeniu wyraźnie się uspokoiła. Być może przestraszyła się konsekwencji swojego szaleństwa, może obawiała się, że teraz ona będzie wezwana do sądu. Nastaly dni, potem tygodnie względnego spokoju - aż do momentu, gdy sąsiadka znów poczuła się bezkarna.

Dla Ruty najważniejsze były wtedy studia. Zawiozła swoje dokumenty na uczelnię. Spacerując korytarzem przestronnego gmachu przy ulicy Sienkiewicza w Toruniu, marzyła, że oto jest już prawdziwą studentką, że spędza tutaj najciekawszy czas swojego życia, twórczy, pełen pasji, zawierając fantastyczne znajomości i przyjaźnie. Teczke złożyła w sekretariacie i pojechała na Stare Miasto - pomogła tam jej trafić nowo poznana Marta, studentka drugiego roku, która pierwsza zagadała do niej na uczelnianym korytarzu, mówiąc

z sympatią i nadzieją, że na pewno zostanie przyjęta!

Toruńska starówka, skąpana w wiosennym, ciepłym słońcu, miała swój niepowtarzalny urok. Atmosfera dużego miasta, gwarne tłumy studentów przesiadujących pod pomnikiem Mickiewicza i barwność afiszy na słupach ogłoszeniowych sprawiły, że dziewczyna od razu pokochała to miasto.

- To jest moje miejsce na ziemi - powiedziała Marcie z przekonaniem. Stąd było bardzo daleko do szarego domu pod lasem...

Kto mówi o zwycięstwie?

Przetrwanie jest wszystkim...

- Nie, to niemożliwe! Niemożliwe, żebym nie zdała! - krzyczała Ruta, patrząc na tablicę w wynikami pierwszej części egzaminu. Przyjechała tu pewna, że się jej powiodło, pan Piotr dawał jej tyle nadziei! Tymczasem to jej kolega, z którym razem chodziła na dodatkowe lekcje, zdał w pierwszym etapie egzaminu - Ruta była wściekła i zawiedziona, że poległa na samym początku! Co teraz ma zrobić? Przecież... musi rozpocząć jakieś studia! Trzeba znaleźć jakieś wyjście awaryjne, bo przecież... tak bardzo chciała studiować, nie chciała wracać do miasteczka, do domu!

Marta obiecała, że pomoże jej w znalezieniu jakiegoś rozwiązania, zaproponowała też nocleg - wynajmowała mieszkanie na ulicy Łąkowej, w bloku z wielkiej płyty. Pojechały tam zaraz po wynikach - załamanie Ruty było tak silne, że pomógł jej tylko mocny drink. Marta po drodze kupiła ćwiartkę wódki, czując, że na pewno się przyda.

- Ruta, tak już czasem jest. Nie zawsze odnosimy tylko sukcesy. Porażki są równie ważnym składnikiem naszej codzienności. Na pewno nie pożądanym, ale w konsekwencji potrzebnym. Bo wszystko, co nam się przydarza, ma jakiś głębszy, czasami nie od razu zauważalny, sens - mówiła do niej Marta, zupełnie nieświadomie stając się pierwszym i największym oparciem dla tej młodej dziewczyny z Mazur, z głową pełną marzeń. Pogładziła ją po włosach potarganych wiosennym wiatrem i podała drugiego drinka. Ruta stopniowo się uspokajała.

- Muszę zadzwonić do mamy - powiedziała już spokojniejszym głosem Ruta. Szczupłymi palcami wykręciła na tarczy telefonu numer, zazgrzytało cicho, przyjemnie.

- Mamo! - odezwała się, gdy usłyszała trzask podniesionej po drugiej stronie słuchawki.

- Tak, kochanie? No nareszcie, już zaczęłam się niepokoić, że tak długo się nie odzywasz. Masz dla mnie dobre wieści? - spytała pogodnie Krystyna.

- Mamo, nie... Nie zdałam... - wyjęczała Ruta i rozplakała się.

Chwila milczenia. Krystyna wreszcie się odezwała:

- Ależ, córeczko, świat się na tym nie kończy! Coś wymyślimy!

- Nic nie wymyślimy, rozumiesz?! Nie dostałam się na studia! Co tutaj jest do wymyślenia? Nie wiem, co mam robić, jestem kompletnie załamana!

- Może coś znajdziemy w Olsztynie! Zobaczysz, wszystko się jakoś ułoży.

- Mamo, jeszcze dziś przenocuję w Toruniu, jutro odbiorę dokumenty z uczelni i spróbuję może coś tutaj załatwić.

- Córeczko, weź się w garść, będzie dobrze!

- Mamo, a jak tam u ciebie? Spokój?

- Taaak - powiedziała Krystyna przeciągle. - Jest spokojnie. Chyba nasza sąsiadka wystraszyła się tego, co zrobiła. I oby nie była to cisza przed burzą. Dziś oboje wyjechali na pielgrzymkę do Lichenia! Jak by to było cudownie, gdyby ich w ogóle nie było!

- Oj, to dobrze, przynajmniej będę o ciebie spokojna. Do jutra, bo chyba jutro wracam. Pa, mamcik, i nie martw się już o mnie; jakoś się pobieram. - Ruta cmoknęła do słuchawki i po chwili odłożyła ją na widelki.

Ruta, za poradą Marty, zdecydowała, że następnego dnia zorientuje się na uczelni, czy są może jeszcze możliwości dostania się na inny wydział.

- Musisz po prostu dostać się na jakikolwiek kierunek. A potem zobaczymy! - zawyrokowała nowa znajoma i beztrąsko zaproponowała wyjście do jednego z klubów, w których o tej porze studenci spędzali nadmiar wolnego czasu.

- Trzeba jechać autobusem, bo to na Bielanach, niedaleko od Wydziału Sztuk Pięknych. Ode mnie to kawałek, ale... warto. Fajne miejsce, naprawdę! Zobaczysz, jeszcze będziesz toruńską studentką, bo marzenia się spełniają, poznasz wtedy więcej ciekawych miejsc - pocieszała ją Marta.

Ruta umyła twarz, lekko jeszcze zaczerwienioną od płaczu, włożyła sweter i wyszła z koleżanką. Poznały się przecież tak niedawno i zupełnie przypadkowo, a już nawiązała się między nimi prawdziwa więź. To się nazywa nadawaniem na tych samych falach. Dobrze, że ta Marta pojawiła się w jej życiu.

Chętnie się gdzieś podzieję - byle z dala od swojego smutku... i domu - pomyślała jeszcze, wsiadając do autobusu.

Rucie udało się dostać na filozofię. Tylko tam zostały wolne miejsca. Wprawdzie filozofia nie leżała wcześniej w sferze jej zainteresowań, jednak gdy przeczytała zadaną przez uczelnię lekturę - *Obronę Sokratesa* - umiała wypowiedzieć się na jej temat. Potrafiła też obronić własne stanowisko, odpowiadając na pytanie, kto jest jej bliższy: stoicy czy epikurejczycy, i opowiedzieć, co nowego wniosła filozofia przyrody. Zagadnienia miała spisane na niewielkiej kartce, przygotowywała się do nich w uczelnianej bibliotece. I...

egzaminę zaliczyła śpiewając, stając się studentką filozofii!

Wróciła do domu, jak potem powiedziała mamie, z tarczą, a nie na tarczy, jak się jej jeszcze niedawno wydawało. Była z siebie... hm, nawet dość dumna i choć nie było to stuprocentowe spełnienie marzeń, a o malarstwie nie przestawała myśleć, planowała już swoje studenckie życie.

Jeszcze kiedyś będę artystką, choćbym najpierw musiała zostać filozofką - składała sobie obietnicę, wierząc w siłę spełnienia każdego swojego słowa. I cieszyła się, że w październiku opuści swój dom. Przeklęty dom. Bo tak go zaczęła w myślach nazywać, obarczając go winą za wszystkie swoje życiowe niepowodzenia. Wtedy jeszcze nie wiedziała, jak słowo „przeklęty” było prawdziwe.

Choć studia filozoficzne nie były tym, o czym od zawsze marzyła, to trwała (tak, to właściwe słowo!) na nich z nadzieją, że kiedyś uda jej się przenieść na kierunek artystyczny. Na razie, jeśli tylko miała czas, pędziła do Sali Tymona na ulicy Sienkiewicza, by jako wolny słuchacz brać udział w wykładach z historii sztuki. Niektórzy studenci traktowali ją jak koleżankę z kierunku, dziwiąc się, że nie widują jej na ćwiczeniach. Pytana, niechętnie wyjaśniała swoją sytuację. Któregoś dnia jeden z kolegów zaproponował jej zajęcia w prywatnej pracowni plastycznej na Starym Mieście. Zgodziła się bez wahania, mimo iż były odpłatne. Mama wciąż ją utrzymywała - opłacała akademik i dawała na bieżące potrzeby. Ruta akceptowała to, choć miała nadzieję, że kiedyś usamodzielni się finansowo.

Zajęcia wciągnęły ją do tego stopnia, że Ruta przestała myśleć o zmianie kierunku studiów. Filozofia okazała się dość łatwą i mało wymagającą dziedziną nauki - przynajmniej dla niej. Całą energię wkładała w zajęcia w pracowni i wykłady z historii sztuki. Obrazy wychodzące spod jej pędzla, najpierw niewielkie, trochę kiczowate mazurskie widoczki, zapamiętane z dzieciństwa, zwyczajowe martwe natury, portrety, potem pejzaże - spodobały się właścicielowi niewielkiego antykwariatu-galerii w starym budynku z czerwonej cegły, zwanym szumnie Collegium Maius. Gdy przechodziła tamtędy po raz pierwszy, budynek zaintrygował ją swoją monumentalnością. Wiedziała już, że jest utrzymany w stylu neogotyckim, studiowanie historii sztuki dawało efekty. Oceniała każdy detal fasady, jednocześnie dostrzegając tajemniczy krąg tworzony z niego i sąsiednich budowli. Po jednej stronie - owo wyniosłe Collegium Maius, dzieło stworzone przez Colleya w latach 1906-1907, po drugiej stronie zaś ulicy - wysoka, dotknięta czasem zabytkowa rotunda, a obecnie toruński areszt, z którego dochodziły czasem nawoływania osadzonych. A kilka kroków dalej - stary kościół otoczony murem... I wszystko to razem, skupione blisko siebie, posadzone na wieki, tworzyło tajemniczy krąg ludzkich przeznaczeń i powinności - wiara,

nauka, kara...

Ruta lubiła to miejsce, mimo iż nie chodziła przecież do kościoła i nie znała kościelnych rytuałów - znała jednak smak nauki, a wyniosły ceglany mur aresztu przywodził jej na myśl to, że każdy kiedyś poniesie karę za swoje czyny. Również Serafina...

Chociaż dzieliło ją od sąsiadki ponad dwieście kilometrów, nie potrafiła o niej zapomnieć. W podświadomości tliła się też wciąż obawa o mamę, zostawioną na pastwę tej kobiety. Ruta pisała listy, mama odpisywała - był to jeszcze cudowny i wolny świat bez telefonów, kiedy swoje uczucia i ważne chwile uwieczniano piórem na papierze.

Uspokoila się po tym pobiciu... - pisała jej mama, a Ruta miała poczucie złożenia samej siebie w ofierze spokoju matki. Dziwne to było uczucie, jakiegoś szczególnego męczeństwa na schodach tamtego domu i ulgi, że mama dzięki niej może jest bezpieczna. Mama, jak się później okazało, tylko nie chciała jej martwić, a tymczasem Serafina znów zaczęła podnosić głowę i z dziką, chorobliwą satysfakcją godzinami tkwiła przy oknie, schowana za firankę, śledząc każdy krok przemykającej pod murem domu Krystyny. A potem nasłuchiwała wspinającej się bezszelestnie po schodach na górę. Kiedy Ruta przyjeżdżała - widziała mamę zmęczoną, zestresowaną, nerwowo reagującą na każdy głośniejszy dźwięk, brzęk pokrywki na garnku, mocno odkręconą wodę...



Po jednej stronie - owa wyniosła Collegium Maius, dzieło stworzone przez Colleya w latach 1906-1907, zaś po drugiej strony ulicy - wysoka, dotknięta czasem zabytkowa rotunda, a obecnie toruński areszt, z którego dochodziły czasem nawoływania osadzonych. A kilka kroków dalej - stary kościół otoczony murem... I wszystko to razem, skupione blisko siebie, posadzone na wieki, tworzyło tajemniczy krąg ludzkich przeznaczeń i powinności - wiara, nauka, kara...

Fot. Agnieszka Mościenica-Kowalska, Toruń

- Mamo, ale mówisz, że już lepiej, tak? - pytała Ruta, patrząc na nerwowe skulenie coraz drobniejszych ramion matki.

- Tak, córeczko, ale wiesz, ona jest coraz starsza, potrzebuje spokoju - odpowiadała matka, a Ruta chciała jej wierzyć. W dodatku nabrała już do dziwactw domu pod lasem pewnego dystansu, żyła w innym świecie.

I wracała po dwóch dniach do Torunia, obładowana słoikami i pakunkami z prowiantem od mamy, a wychodząc po kamiennych schodach z domu, nie patrzyła nawet na jego ponurą elewację, nie przypuszczała, że ten dom kryje w sobie dziwną, pogmatwaną historię...

Jej obrazy, umieszczone w galerii, spodobały się także turystom i to tak, że chcieli je zabierać jako pamiątkę z wizyty w Toruniu. Zaczęła zarabiać! Na początku aż trudno jej było w to uwierzyć, a jednak... Miała oto w portfelu pierwsze samodzielnie zarobione pieniądze i wreszcie sama mogła opłacić swoje lekcje! To dodało jej skrzydeł, malowała z jeszcze większą pasją, mając w efekcie coraz mniej czasu na studiowanie filozofii. W nowym środowisku nie zawarła wielu znajomości, nie mówiąc o przyjaźniach. Jedynie o Marcie, której zawdzięczała wprowadzenie w toruńskie życie, mogła powiedzieć, że jest jej przyjaciółką. Spotkały się czasem na Starym Mieście, by zjeść pizzę - zupełnie wówczas nowe danie! Dopiero tu, w Toruniu, miała okazję po raz pierwszy poznać smak tego niby zwykłego ciasta z równie zwykłymi dodatkami, ale jakże innego w smaku. Może trochę, za sprawą egzotycznych jak na tamte czasy ziół, smakującego... wielkim światem. Światem nieznanym jeszcze w małych miasteczkach początku lat dziewięćdziesiątych. Trochę jej to przypominało tradycyjny polski podplomyk, podzieliła się nawet tą myślą z Martą, ale Marta pokiwała tylko głową, odgryzając wielki kęs ciasta.

Jej kolega z miasteczka, który razem w nią zdawał na „sztuki piękne” - poległ na kolejnym etapie egzaminu i podobnie jak ona dostał się na inny wydział, został studentem... socjologii. Spotykali się czasem, rozpamiętując i analizując swoje porażki. Ruta źródła tychże porażek dopatrywała się w ich pochodzeniu z małego miasteczka.

- My z prowincji przegrywamy w tym wyścigu po indeks, bo nie chodzimy na dodatkowe zajęcia przygotowawcze, nie mamy wysoko postawionych rodziców ani siły przebicia. To i tak dużo, że w ogóle studiujemy.

Tak właśnie wtedy myślała. Uczelnie nie były tak powszechne jak kilkanaście lat później, wyższe wykształcenie to był prestiż, a zdanie egzaminu - duże osiągnięcie. Mówiło się czasem tu i ówdzie, że indeks kosztował - ceną były na przykład kluczyki do auta, czasem jakieś załatwione WAŻNE sprawy. Ruta nie chciała w to wierzyć - głowę miała przepełnioną

ideałami, dopiero po latach... częściowo dała temu wiarę.

W jej pokoju numer 108, w akademiku przy ulicy Gagarina, główne miejsce zajęła sztaluga. Prezent od pana Piotra, z jego pracowni. Współlokatorka Edyta, studiująca filologię polską, początkowo trochę kręciła nosem na ten nietypowy mebel, ale potem zauważyła, że dzięki temu malowaniu w ich pokoju zapanował klimat toruńskiej bohemy i pogodziła się z oryginalnym zajęciem sympatycznej, choć nieco zamkniętej w sobie studentki filozofii.

Nie bywali tu mężczyźni - Ruta unikała nawiązywania bliższych relacji damsko-męskich, a i Edyta - szczególnie pilna studentka, miała w swoim życiu zupełnie inne priorytety. Czas więc płynął im spokojnie, a o pokoju 108 mówiło się, że jest „dziewiczo spokojny”. Rucie to nie przeszkadzało, miała bowiem czas na rozwój swego talentu.

Lubiła malować portrety. Na pierwszym, który uznała za udany, była stara wieśniaczka o rysach jakby wyrzeźbionych, wyrytych przez ból. Ruta spotkała ją na toruńskim dworcu, zniszczona twarz przykuwała uwagę. Ruta powtarzała w myślach, patrząc na nią: Oto dojrzały owoc boleści. Kobieta zgodziła się na zrobienie jej kilku zdjęć, nie rozumiejąc tego nagłego zainteresowania jej zapomnianą przez czas i ludzi osobą. Poddawała się jednak operacji obiektywu aparatu fotograficznego. Ruta nosiła go czasem, by móc uwiecznić ważne momenty z życia świata. Spotkanie z tamtą kobietą było jednym z nich.

A potem nastąpiły kolejne próby uchwycenia ludzkich twarzy - czasem również na żywo, bo Ruta próbowała pracować z modelem. Nie było to jednak łatwe, na przykład Marta nie potrafiła usiedzieć w miejscu, wciąż poruszała się i zmieniała pozycję, mówiąc: „mam przechodzone ADHD i nic na to nie poradzisz”.

Spokój artystyczny Ruta odnajdywała przy malowaniu pejzaży. Piękne pejzaże tak bardzo ją urzekały, że odczuwała pragnienie odtworzenia ich na płótnie wiernie, bez dodawania linii, kolorów, ekspresji. Z kolei malowanie martwej natury dawało jej szansę na większą dowolność interpretatorską. Mogła ją tworzyć według własnej woli, wystarczyło, aby kształty, odpowiednie walory, kolory umieszczać na właściwych miejscach, wyznaczonych przez rzeczywistość, reszta była czystą sztuką...

Niestety, kontakty z matką słabły; listy pisała coraz rzadziej, a czas pomiędzy odwiedzinami w domu wciąż się wydłużał. Była młoda, chciała czerpać z życia pełnymi garściami. Uspokojona słowami mamy nie przejmowała się już tak bardzo, dodając sobie otuchy, że przecież „teraz ma swoje życie i swoje pasje, musi je rozwijać, a nie tylko myśleć o domu pod lasem i o tym, co się tam dzieje”. Tak właśnie powiedziała Marcie, której, jako jedynej, zwierzała się ze swoich trosk. O nieobliczalnej sąsiadce nie mówiła nikomu innemu - czując, że dopóki problem nie jest nazwany, wypowiedziany do końca, to jakby nie istniał lub

był tylko szkicem, esejem życia, lekkim pyłkiem, strząśniętym ze skrzydeł motyla.

Marta wysłuchiwała jej zwierzeń i namawiała do pójścia do sądu, który miałby wydać sprawiedliwy werdykt, czy nienawiść można siać tak bezkarnie i gdzie jest granica ludzkiego wybaczenia. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Ruta i jej matka, mając wtedy, po tamtym pobiciu tak mocne dowody: nagrania, świadka i obdukcję lekarską, nie zdecydowały się na sprawę karną. Ruta tłumaczyła, że niewiele by to dało, że sprawa ciągnęłaby się miesiącami, a ona nie miała na to wszystko czasu. Wybierała się właśnie na studia i przesłuchania, rozprawy oraz związane z tym dojazdy nie były jej w głowie. Poza tym miała nadzieję, że dzięki temu, trochę wymuszonemu sytuacją zaniechaniu, Serafina może zrozumieć, że nienawiść nie jest dobrym doradcą. Marta odpowiadała jej, że jest dziecięco naiwna, jeśli wierzy w taką cudowną przemianę sąsiadki. Ruta chciała jednak wierzyć w swoje nadzieje i zdecydowana była ich bronić. Skoro tamta już się uspokoiła, to widać opłacała się ta ofiara z jej pękniętego łuku brwiowego i poplamionej krwią białej bluzki.

Rutę drażniło, gdy Marta ją krytykowała, wypominając:

- Źle zrobiłaś, powinnaś być bardziej zdecydowana i konsekwentna, w życiu trzeba się przepychać i walczyć o swoje!

I myślała wtedy, że ludziom, którzy popełniają błędy i wyrządzają innym krzywdę, raczej należy pomóc w zrozumieniu istoty zawinienia. Uważała, że nie należy rozpamiętywać tego, co złe, co się rozbiło na tysiące kawałków, tylko pomyśleć, jak teraz tej osobie można wskazać lepsze rozwiązanie. Oczekiwała tego od Marty, jednak bezskutecznie. Mimo to widziała w Marcie bliską osobę.

Chowała głęboko te wszystkie rozmyślania, nie dzieląc się nimi, starając się żyć dniem dzisiejszym, pochłonięta malarską pasją. Tak, chciała przede wszystkim tworzyć, a zaliczanie egzaminów na filozofii było sprawą drugorzędną, choć konieczną.

Owe „kuchenne drzwi”, przez które wchodziła do świata sztuki, mimo iż wciąż jeszcze kłuły nieco jej młodzieńcze ambicje, z czasem stały się źródłem optymizmu, niczym przysłowiowa szklanka do połowy pełna. Bo przecież, porównując jej sytuację do tej, która już się kiedyś w historii sztuki zdarzyła (a ona, Ruta, jest, jako artystka, elementem tejże historii!), to na dobre jej może wyjść właśnie niestudiowanie sztuki! W sztuce obowiązywał kiedyś kierunek - zwany akademizmem, polegający na odwoływaniu się do zasad i ideałów sztuki antycznej oraz renesansowej, co niejednokrotnie było utrapieniem twórców. Mówili nawet o nim, że ogranicza ich wolność wyrazu - byli wszak studentami z głowami pełnymi pomysłów i chcieli malować po swojemu, według innych niż klasyczne pomysłów na przekazywanie rzeczywistości. A już naśladowanie dzieł uznanych za doskonałe i

promowanie tematyki historycznej, religijnej i mitologicznej dla niektórych studentów stało się nie do zniesienia. Bo chciało się im chwycić za sztalugi, wynieść je w pełne słońce i dotknięciami pędzla lekkimi jak oddech malować pejzaże. I bawić się kroplami światła. Rozkładać je na wodzie, kwiatach, fasadach katedr. Ech... Impresjoniści. Ich pierwsza wystawa w atelier Nadara w Paryżu. Wśród nich dzieło Claude'a Moneta *Impresja - wschód słońca*. Cudowny przełom w sztuce końca XIX i początku XX wieku! Ruta czuła, że jest oto kroplą w morzu kolejnego przełomu - zachodzącym w niej samej, w jej dążeniu do tworzenia dzieł, ale nie pod dyktando wykładowców! To właśnie na tym polegała ta jej do połowy pełna szklanka. Bo trzeba widzieć dobrą stronę w każdym życiowym niepowodzeniu. I nie myśleć o tym jako o niepowodzeniu, lecz ważnym momencie, który otwiera drzwi do nowego działania. Bo wszystko można przekuć na dobro.



Przedwojenny Toruń. Widok na Ratusz. Na ulicy widać codzienny rejwach. Dziś to również miejsce wielu spotkań, a robienie zdjęć pod pomnikiem Adama Mickiewicza jest turystyczną tradycją. W głębi kościół pw. Św. Ducha. Na jego schodach Ruta spotkała Marka. To spotkanie odmieniło jej życie. Czasem tak wiele zależy od jednej sekundy, jednego spotkania.

Pocztówka pochodzi ze zbiorów Kujawsko-Pomorskiej Biblioteki Cyfrowej

Ponieważ sztukę swą zdobywał jak rzemieślnik: wtedy, gdy osiągał w swej sztuce ową nieskończenie subtelną niematerialność i prostotę, zdobywał sobie równocześnie najwyższe prawo przeciwstawienia się światu, nie korząc się przed żadną z jego potęg.

Malowała właśnie *Kasztanową Aleję* - uwieczniała w ten sposób jedno z ulubionych miejsc na peryferiach swojego miasteczka. Była to długa, kilkukilometrowa droga, obrysowana kasztanowcami, ponadstuletnimi, zrosłymi na dobre z mazurską ziemią. Zasiedziały na poboczu drogi drzewa wyglądały jak pruscy autochtoni odpoczywający na ławeczkach w podcieniach swoich domów. Chciała, by klimat tego obrazu był nieco impresjonistyczny - bo właśnie w tym stylu się odnalazła, jak tamci artyści porzucający bez żalu akademizm i studia na uczelni. Tyle że oni go tworzyli, a ona - miała zamiar kontynuować. Chciała, by obraz był podobny do dzieła Alfreda Sisleya i jego *Kasztanowej Alei*, innej, odległej, bo w dalekiej Francji, w Celle-Saint-Cloud.

Starła się oddać kolor tego niezwykłego brązu kasztanowców, w których drzemie zamknięte jesienne słońce, widoczne w lekkich przeblaskach, tę ostygłą zieleń, pozłożoną już i uśpioną, gotową na przyjęcie białych czap śniegu. Malowała z pasją, słuchając muzyki i układając w głowie myśli o tym, że w przyszłości będzie niezależnym twórcą, malarką tego cudnego świata. Świata, który ją urzeka coraz bardziej, a jej wrażliwość staje się inna niż wtedy, gdy mieszkała w ponurym domu pod lasem. Miała wrażenie, że dzięki swoim obrazom wyzwala się z oków tego domu i staje się wolna, lekka i szczęśliwa i... nie musi tam często wracać.

Pukanie do drzwi przerwało jej spokój. To była pani Halinka z recepcji.

- Telegram do ciebie przyszedł. - Podała Rucie zwitek papieru. Ruta upoważniła ją do odbioru wszelkich przesyłek. Nie chciała chodzić na pocztę na Starym Mieście, czekać w długich kolejkach. Tak było prościej.

Ruta poczuła się jakby zatrzymana w tańcu. Z pędzlem w dłoni, zupełnie zaskoczona, czuła, jak opuszcza ją ta pasja, która jeszcze przed chwilą wywoływała przyspieszone bicie

serca i galopadę dobrych myśli i marzeń.

- Taaak? A od kogo? - zapytała, ale pani Halinka wzruszyła tylko ramionami i wyszła. Ruta słyszała jeszcze szuranie jej płóciennych butów na korytarzu. Mówiło się na nie: obuwie profilaktyczne. I nosiły je wszystkie sklepowe oraz osoby, które musiały pracować fizycznie, spalając energię i męcząc stopy.

- Telegram. To chyba nic dobrego? - mruzczała Ruta, otwierając drżącymi rękoma zwitek papieru.

Bezdużne drukowane pismo: „Przyjeżdżaj, mama w szpitalu”, w podpisie - ciotka.

Ruta wybiegła z pokoju. Musi zadzwonić do cioci! Pani Halinka początkowo nie dawała się przekonać na użyczenie telefonu, zasłaniając się wysokimi rachunkami za połączenia międzymiastowe, ale w końcu uległa, widząc przerażoną dziewczynę. Jeszcze niedawno trzeba było zamawiać na pocztę rozmowy zamiejscowe, na szczęście wprowadzone niedawno numery kierunkowe dawały dużą swobodę połączeń.

- Halo, ciocia?! Tu Ruta. Dostałam telegram. Co z mamą? Dlaczego jest w szpitalu?

- Przyjeżdżaj jak najszybciej dziecko! Mama ma kłopoty z sercem. Zasłabła w domu, pogotowie zabrało ją do szpitala.

- Jasne, ciociu, już jadę! Mam pociąg o piętnastej. Na wieczór będę! Pa.

Trzask słuchawki. Jeszcze silniejsze drzenie rąk. Bolesny skurcz żołądka. Ciekawe, co się mogło stać, mama wcześniej nie uskarżała się na serce, a tu nagle zasłabła w domu. Nie znoszę tego miejsca! To ten dom jest źródłem naszych nieszczęść! - myślała.

Jeszcze przed chwilą malowała. Tkwiła w cudownym świecie marzeń i pasji, była zjednoczona myślami z Wszechświatem, więc może dlatego dał on jej tę sekundę cudownej jasności myślenia, o której potem mówimy: „to było przecucie”, by choć przez ułamek sekundy skierować jej myśli we właściwym kierunku? Wszechświat dał jej myślom znak... Że powinny sprzedać dom. Ale ona, Ruta, jeszcze nie umiała tego znaku precyzyjnie odczytać.

Spakowała do torby najpotrzebniejsze rzeczy, nie zapominając oczywiście o książce, z którą nie rozstawała się podczas wyjazdów, narzuciła białe płótno na sztalugę, by przykryć niedokończoną aleję kasztanową, i wbiegła z akademika. W myślach liczyła minuty pozostałe do odjazdu pociągu, wiedziała, że musi dotrzeć na czas na dworzec.

Zdażyła. Wieczorem stanęła na progu domu. Na miejscu była ciotka. Czekwała na nią.

- Cześć, ciociu. Co z mamą? Jak ona się czuje? Masz jakieś wieści? - nerwowo zarzuciła ją pytaniami Ruta.

- Uspokój się, Rutko. Mama czuje się już lepiej. To był, niestety... zawał. Na szczęście lekarze mówią, że lekki.

- Neeee - jęknęła głucho, łzy popłynęły same, były już w oczach, tuż pod powiekami, gdy jechała pociągiem, ale zamknęła je na siłę, by nie okazywać obcym ludziom swojego smutku.

- Musisz o nią teraz dbać. Ja też pomogę... Pójdiesz do niej jutro.

Wizyta w szpitalu - mama w jasnej pościeli, blada i jeszcze chudsza niż poprzednio.

- Mamo, moja najkochańsza.

- Już dobrze, córeńko. Niedługo stąd wyjdę, wszystko będzie dobrze, to tylko lekki zawał. Nic mi nie będzie.

- Mamo, ja wiem, dlaczego zachorowałaś, to nerwy, to przez nią. Jeszcze mi za to zapłaci!

- Ciii, już dobrze, przestań. To wszystko takie męczące, praca, odpowiedzialność. Kochanie, to nie tylko jej wina. Kto dzisiaj jest wolny od stresu? Poza tym moja mama też chorowała na serce, to pewnie dziedziczne - uspokajała ją matka, gładząc po głowie. To Ruta powinna ją pocieszać, ale kłębiło się w niej tyle złych uczuć, emocji, których nie mogła uporządkować. Dopiero dłoń mamy ten spokój przywracała, sprawiała, że Ruta patrzyła na to, co się stało, z innej perspektywy.

Ruta została z mamą przez tydzień. Przychodziła do szpitala, przynosiła owoce i domowe rosółki, wciąż miała jednak przeczucia, że coś jest nie tak, że traci kontrolę na swoim życiem.

- Serce twojej mamy już nigdy nie będzie takie samo. Pewien obszar mięśnia sercowego przestał być zaopatrywany przez krew w tlen. Ta część serca nigdy nie będzie zdolna do pracy, bo utraciła zdolność kurczenia się - mówiła do niej lekarka, a Ruta, zbierająca w sobie te słowa, zastanawiała się, jak teraz będzie wyglądało życie jej matki. I jak będzie wyglądało jej życie przy boku kogoś dotkniętego chorobą.

Przeczytała w domowym poradniku medycznym, że zawałowi towarzyszy uczucie lęku - mama już nie będzie od niego wolna... Świat ich obu nagle podzielił się na ten sprzed zawału i ten po zawale, pełen tego lęku...

- Mama będzie musiała nosić przy sobie nitroglicerynę, która zmniejszy niedotlenienie mięśnia sercowego, poprawi krążenie i obniży ciśnienie - powtarzała wskazówki lekarki, chcąc dokładnie je zapamiętać.

Gdy mama wyszła ze szpitala, uzbrojona w medykamenty i dobre rady, Ruta wiedziała już bardzo wiele o jej chorobie. Jedyne lekkie wysiłki, unikanie stresu - to wszystko miało pomóc w powrocie do w miarę normalnego życia, bo przecież lekki zawał to jeszcze nie wyrok.

Gdy wchodziły wolno po schodach, z domu wyszła Serafina. Spojrzała na nie pozbawionym wyrazu wzrokiem. Na twarzy Krystyny od razu pojawił się cień lęku. Ruta poczuła szybsze i mocniejsze tętno pod palcami trzymanymi na przegubie ręki prowadzonej mamy - wystarczył tylko widok tej kobiety.

- Już dobrze, mamó, zaraz się położysz - mówiła spokojnie, prowadząc chorą do sypialni.

A gdy mama uspokoiła się i zasnęła, dziewczyna wymknęła się z mieszkania i zeszła na dół, by zapukać do drzwi Serafiny.

- Chcę, żebyś wiedziała, że moja mama przeszła zawał i że to ty jesteś temu winna! - wyrecytowała od progu, nie witając się nawet, nie mówiąc zwyczajowego dzień dobry.

- Taak? Doprawdy? To teraz trzeba się za nią modlić? - zapytała tamta ironicznie, ale widać było, że wiadomość zrobiła na niej wrażenie.

- Uszanuj to, że moja mama potrzebuje spokoju. Zobacz, do czego ją doprowadziłaś. Dobrze się teraz z tym czujesz? - Wskazała na nią palcem, mocno, kategorycznie, decydując tym samym, kto zawinił i zasłużył na umieszczenie w toruńskim trójkacie bermudzkiemu uniwersytet-kościół-więzienie, na zakręcenie tą toruńską ruletką i zatrzymanie na karze...

Odwróciła się w milczeniu. Jak bardzo nienawidziła wtedy tamtej starej kobiety! Bolało ją, gdy musiała patrzeć w jej zimne, beznamiętne oczy. Uciekała od tego spojrzenia, nie chcąc wchodzić poprzez te oczy do jej duszy, do jej myśli...

Nie przypuszczała, że nienawiść może być prawie namacalna, wręcz... przeżuwalna, poddająca się trawieniu jak kępka trawy, ale ona nie miała przecież krowiego żołądka i tego tysiąca mikroorganizmów, które pomogłyby jej przerobić niestrawną z pozoru nienawiść na składniki odżywcze. Czy nienawiść można w ogóle przetrawić na dobro?

Razem z ciotką ustaliły, że gdy tylko Krystyna jako tako odzyska siły, muszą ją odizolować od Serafiny. Ruta nie wierzyła w cudowną przemianę tamtej.

- Ludzie tacy jak ona nienawiść mają we krwi, tyle tylko że na własny użytek zwykli nazywać ją miłością. Dlatego myślą, że sami postępują dobrze, tylko inni są przeciwko nim. Zdefiniowali zło po swojemu - tłumaczyła ciotce, która dopiero teraz dowiedziała się o sąsiedzkich perypetiach obu bliskich jej kobiet.

- Ale przecież ona jest taka pobożna, taka rozmodlona! - broniła jeszcze przez chwilę sąsiadki. Ruta odpierała jednak jej argumenty.

- Ciociu, ona myśli, że my jesteśmy antychrystami, bo nie chodzimy do kościoła, i takich trzeba zwalczyć w imię jej fałszywej miłości do Boga. Mówi, że jesteśmy opętane przez szatana, odprawia nad nami jakieś swoje egzorcyzmy, jak w *Egzorcystyce*. Robi w

powietrzu jakieś znaki, chyba krzyża, i bełkocze coś, gdy nas widzi. Nie wiem, może myśli sobie, że w ten sposób wygna z nas jakiegoś złego. Dla niej jesteśmy niczym diabły wcielone, rozumiesz? To proste myślenie, które sprowadza się do tego, aby potępić wszelką inność, zakrzyczeć ją i stłamsić w zarodku. To jest jej sposób na życie. Potępić wszystko, co kojarzy się jej z diabłem. Proste myślenie. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym lepiej to rozumiem.

To był czas, kiedy z anteny pewnego katolickiego radia nie sączyły się jeszcze na cały kraj nietolerancja i antysemityzm. Radio dopiero stawiało pierwsze kroki, nadawało dużo lekkiej i spokojnej muzyki, której czasami słuchała również Ruta, poza tym audycje słowne utrzymane w spokojnym, wyciszonym tonie i działające uspokajająco na słuchaczy. Był początek lat dziewięćdziesiątych, Ruta powoli wchodziła w dorosłość, dopiero kształtowała swe przekonania i wartości. I być może dlatego właśnie pewnego razu trafiła do kościoła Jezuitów, na Piekary, o którym usłyszała na antenie. Ona, z żydowskim pochodzeniem, przekroczyła oto bramę katolickiego wtajemniczenia. Poszła tam, by wysłuchać kazania pewnego księdza, uśmiechniętego, o łagodnym wyrazie twarzy, z kręconymi włosami, które tworzyły wokół jego głowy filuterną aureolkę. O księdzu tym jej znajomi studenci mówili, że leczy ich dusze. Postanowiła więc spróbować uleczyć swoją duszę w Kościele katolickim. Zobaczyć, jak to jest, gdy jest się po tej stronie co większość społeczeństwa. Jak Serafina... Czy może w jej kościele znajdzie siłę, by na to wszystko spojrzeć inaczej, spróbować zrozumieć?

A może chciała w tym spotkaniu odnaleźć wewnętrzny spokój? Może dlatego tam poszła? Tymczasem to jedno spotkanie przyniosło kolejne... Jak w łańcuszku szczęścia wysyłanym przez przypadkowych ludzi w kolorowych kopertach.

Tak, to wszystko na pewno nie było przypadkowe...

Weszła do wielkiego kościoła - pierwszy raz uczestniczyła w uroczystości, którą katolicy nazywają mszą. Poczula się zagubiona, nie u siebie, patrzyła uważnie na ludzi wokół, przeważnie młodych, chyba studentów, którzy z wielką uwagą słuchali księdza stojącego przed nimi. Tematem kazania było... przebaczenie. Cóż za zbieg okoliczności! Pomyślała, że może to pozwoli jej uporać się z uczuciami, z nienawiścią do Serafiny, która zaczęła w jej sercu kiełkować jak niechciane drzewo.

- Przebaczać aż siedemdziesiąt siedem razy, czyli w nieskończoność, zawsze, a to dlatego, że tak właśnie postępuje Bóg, zawsze przebaczący tym, którzy go o to proszą. To oczywiste, ale niekoniecznie do końca prawdziwe. W dzisiejszej Ewangelii widzimy jeszcze inny obraz Boga. Najłatwiej jest mówić o przebaczeniu, gdy oczekuje się go od innych, a nie

od siebie. Łatwo też domagać się przebaczenia dla krzywdziciela, gdy samemu stoi się z boku. Natomiast, gdy jest się skrzywdzonym, przebaczać jest niezmiernie trudno. Przykładem może być zawiedziona miłość...³

Mówił jeszcze przez chwilę, a potem zamilkł i milczeli wszyscy. Czuło się w tym wyniosłym starym wnętrzu kościoła wielkie zbiorowe zamyślenie - ci, którzy słuchali, patrzyli na tamtego księdza jak na dalajlamę spotkania. Ruta wyszła. Bała się zostać i brać udział w nabożeństwie. Peszyło ją, że nie wiedziała, jak ma się zachować, w jej myślach pulsowały tylko słowa:

„Najłatwiej jest mówić o przebaczeniu, gdy oczekuje się go od innych, a nie od siebie... Gdy jest się skrzywdzonym, przebaczyć jest niezmiernie trudno...”.

Tak. Przebaczyć. Czy ona, Ruta, mogłaby przebaczyć Serafinie? Chyba nie. Bo to przecież przez nią mama trafiła do w szpitala. I już nic nie będzie takie jak przedtem. Więc... Jak wybaczyć? To, niestety, nie jest możliwe... Ten ksiądz nigdy z pewnością nie był w takiej sytuacji. Łatwo mu mówić... Tak wtedy pomyślała, nie znając go przecież. A jak wybaczyć komuś, kto w tak okrutny sposób je skrzywdził, sprawił, że obie cierpią. Nie! Nigdy jej nie wybaczy! Już lepiej... zemścić się, pokazać swoją pięść temu, kto tobie zadaje ból.

Nagle coś ją wyrwało z zamyślenia.

- Aaaaa! - usłyszała własny głos i poczuła silny ból w kolanach. Wychodząc w kościoła, potknęła się na schodach i runęła jak długa. Teraz leżała, patrząc na zdziwione twarze przechodniów. Zachciało jej się śmiać, nagle i niepowstrzymanie. Bo sytuacja wydała się jednak dość komiczna. Poczula, jak ktoś pomaga jej wstać.

- Powoli, pomogę ci. Ja też się kiedyś tu potknąłem - zaczął od razu na ty, jakby się znali od dawna.

Podniosła głowę i zobaczyła mężczyznę starszego od niej o kilka lat, a jednak z młodzieńczym spojrzeniem i kurzymi łapkami śmiechu wokół oczu. Wyraźnie wchodził do kościoła, jednak teraz zrezygnował ze swojego zamiaru.

- Nic ci się nie stało? Czemu wyszłaś? Nie podoba ci się kazanie księdza Waclawa? - spytał autentycznie zadowolony.

- Nie, zajrzałam tylko na chwilę... Ten ksiądz ma na imię Waclaw? Pięknie mówi o wybaczeniu, ale... O wiele trudniej wybaczyć w prawdziwym życiu - zaczęła. I potem słowa same popłynęły, a mężczyzna nie wszedł już do środka, tylko spacerował z nią po rynku i słuchał z zainteresowaniem. A w tym czasie gołębice spod pomnika Mickiewicza podrywały się w powietrze z głośnym łopotem, jak symbole białego spokoju, który właśnie zagościł w sercu Ruty, gdy po raz pierwszy szczerze wyrzuciła z siebie ten cały ból, lęk o mamę i

wieloletni strach przed terroryzującą je sąsiadką. Mówiła o tym wszystkim osobie zupełnie obcej, mężczyźnie, który patrzył na nią z ciepłem i zrozumieniem w ciemnobrązowych oczach. I tak właśnie poznała mężczyznę swego życia. Marka.

3. Waclaw Oszejca, fragment artykułu na www.blogpowszechny.pl

Miłość to czuwanie nad cudzą samotnością.

Sztuka... Gdyby ktoś zapytał, czym jest dla Ruty sztuka... Nie wiedziałyby, ale czuła intuicyjnie, że dla niej jest po prostu wszystkim. *Sztuka to człowiek, dodany do natury* - napisał kiedyś van Gogh. Ona też starała się swoimi obrazami opowiadać naturę. Czasem może... wyzwalać z siebie, jak tamtą *Kasztanową Aleję*, którą ukończyła dopiero wówczas, gdy mama poczuła się silniejsza i zaczęła żyć od nowa, ale ze świadomością przebytego zawału. I z lękiem, który już miał jej nie opuścić do ostatniej chwili życia... Lęk, dławiący myśli, rodzący się zawsze wtedy, gdy choć na chwilę pojawia się lekki ból, ucisk, choćby to był tylko ból spowodowany zwykłym przewianiem, przez lekarzy nazywany neuralgią, napętniający plecy tępym krzykiem ciała.

Ruta zdawała sobie sprawę, że mama się boi. I ona bała się razem z nią. Wciąż jednak mówiła jej, coraz bledszej i chudszej, że to nic, że musi tylko o siebie dbać, a będzie żyła długo, szczęśliwie i na pewno doczeka wnuków. Krystyna kiwała wówczas głową z aprobatą dla zapewnień córki, z wdzięcznością dla jej wsparcia, lecz... nie wierzyła w ich spełnienie, co przejawiała lekkim uśmiechem w kąciку ust, jakby chciała powiedzieć: „Sama chyba nie wierzysz w to, co mówisz, moja córko”. Krystyna po prostu zwątpiła w swoje wyzdrowienie, nie uwierzyła, że ona również może w sobie odkryć szczególną moc, wielką, nieznaną siłę, która niejednokrotnie cenniejsza jest niż cała wiedza medyczna. Ta wiara potrafi sprawić cuda... Och, gdyby to wszystko wydarzyło się później, kiedy Ruta była już starsza, mądrzejsza, dojrzała, może nie pozwoliłaby swojej matce na to jej letargiczne poddanie się? Ale wtedy wszystko było inne... Inna była i Ruta, która wprawdzie doceniała obecność matki w swoim życiu, jednak nie brała pod uwagę tego, że kiedyś może jej po prostu zabraknąć. Wtedy jeszcze nie miała pojęcia, jak puste i poplątane jest życie sieroty...

Ruta pokochała sztukę, jakby chciała nią wypełnić miejsce w sercu pozostałe po ojcu. Akt tworzenia czegoś nowego był dla niej podróżą w świat poszukiwań. Czuła jednak, że jako artystka nigdy nie osiągnie pełni i że jej przeznaczeniem pozostaną eksperymenty. Wiedziała, że nie dane jej będzie kiedykolwiek poczuć się jak jakiś Bóg, nieważne katolicki czy żydowski, stwarzający na przykład kota. Bóg zapewne musiał usiąść na chwilkę, by przyjrzeć się kotu, i po prostu doszedł do wniosku, że jest doskonały i że nie można go było stworzyć lepiej. A ona... Zawsze będzie chciała coś poprawić... A jednak wiedziała też, że ma dość sił,

by swoje dzieła, choć niedoskonałe, pokazać światu... Poczwała w swoim pędzlu szczególną siłę, w głowie - dziwny szal pomysłów. Gdy malowała światło grające na konarach mazurskich kasztanowców, miała wrażenie, że nie iskrzy się ono na liściach, nie mieni się pomiędzy gałęziami i nie uspokaja na horyzoncie z jeziorem w tle, ale wybucha, dominuje na całym płótnie.

To był jeden z jej najlepszych obrazów. Z wyraźnym ładunkiem emocji, jak u ekspresjonistów. I pomyśleć, że powstał w trudnym dla niej czasie, gdy drżała na każde puknięcie do drzwi jej pokoju w akademiku. Bo może to jakiś złowieszczy telefon... Telegram...

Malowanie stało się... aktem uspokojenia, sposobem na zebranie myśli, na medytację. Ruta doroślała przy sztaludze. Powstawały coraz to kolejne obrazy, a galeria w Collegium Maius stała się ich pierwszą ostoją-poczekalnią.

Filozofia nigdy nie stała się jej pasją. Ale - na szczęście, pięć lat studiowania tej dyscypliny minęło szybko. Dla Ruty były to przede wszystkim lata intensywnego doskonalenia warsztatu malarskiego. Współlokatorka Edyta była niekłopotliwą osobą, rozumiały się wzajemnie i dzięki temu wspólne zamieszkiwanie upłynęło w zgodzie, bez żadnej kłótni. Cztery lata - bo tyle właśnie mieszkały razem. Na piątym roku Ruta zamieszkała już z Markiem. Ale mimo miłości, która przecież absorbuje, każe czekać i być razem, Ruta wciąż miała czas bywać na wernisażach, uczestniczyć w wystawach. Na razie jeszcze w charakterze widza, jednak wierzyła, że kiedyś stanie po tej drugiej stronie, na środku jakiejś galerii, i opowie o swoich obrazach. Jak tamci artyści, dla których przychodziła do ich świątyń sztuki.

Praca magisterska była związana z jej zainteresowaniami. *Twórczość Vincenta van Gogha w filozoficznej interpretacji Martina Heideggera i Karla Jaspersa*. Tak, Van Gogh był dla niej kimś niezmiernie ważnym. To zainteresowanie jego twórczością, ale także życiem, zaczęło się od lektury *Pasji życia* Irvinga Stone'a. Autor pokazał w niej tajemniczy i fascynujący portret malarza zupełnie nieuznawanego za życia, malującego martwą naturę, zafascynowanego winoroślami, czego dał wyraz w obrazach *Czerwona winnica*, *Zielona winnica*, w których usiłował pędzlem pokazać szczególne porozumienie między kolorami, światłem i cieniem. Artysty, który tak pięknie mówił o kolorach, na przykład o żółtym, że jest to: *słońce, które nie znajdując lepszego określenia, nazwę żółtym, koloru bladej siarki, bladocyt-rynowozłotym. Jakim pięknym kolorem jest żółty!*

Ruta czuła jego autonomię koloru i dlatego właśnie wybrała go na mistrza. To, co ważne, było na pierwszym planie, prawdziwe, wydobyte w głębi. Co mniej istotne - oddalone,

nienaturalne. Rwące potoki pociągnąć pędzla. Oto cały Vincent. Zwycięzca. Niedoceniany. Odrzucony. Wyśmiewany. A jednak wygrany, bo po śmierci - o ironio! - okrzyknięty wielkim patronem sztuki nowoczesnej.

Oby moje kroki w sztuce były prostsze - myślała czasem Ruta. Nadzieję na to dawały jej wypłaty w galerii, wprawdzie niewielkie na razie, ale... Ruta całą sobą czuła, że właśnie malowanie, nie filozofia, jest jej przeznaczeniem. Może po prostu czytała znaki, jakie wysyłała jej rzeczywistość? Mimo to chciała skończyć rozpoczęte studia, przede wszystkim dla mamy. Bo niewątpliwie jej światopogląd uległ przez te lata nauki pewnej ewolucji, poszerzyła wiedzę o świecie, a studiowanie filozofii naprawdę czasem pomagało zrozumieć świat. I liczyła, że potem będzie mogła poświęcić się już tylko temu, co kochała naprawdę. Choćby wchodziła do ogrodu sztuk kuchennymi drzwiami.

Tak wiele mogło ją teraz cieszyć: powoli wracająca do zdrowia, choć ze swoimi lękami mama, czwórka z obrony pracy magisterskiej i zakończone (nareszcie!) studia oraz - prawdziwe uczucie do mężczyzny.

Ale na myśl o powrocie do domu pod lasem wszystkie dobre myśli od niej odpływały. Bała się, a jednak czuła, że musi tam wrócić, dla mamy, która jej potrzebuje. Jej wsparcia, obecności, by prostu była z nią, w jej oddaniu córki. Choć nie mówiła o tym wprost, mówiły o tym jej oczy... Ruta, bez zbytniej wiary w realizację projektu, zaproponowała kiedyś Markowi, żeby zamieszkali we trójkę na mazurskiej prowincji... A Toruń zostawili na spontaniczne wypady. Marek - o dziwo - zgodził się. Już i tak diametralnie zmienił dla niej swoje życie, więc... kolejna zmiana nie wydawała się taka trudna. Człowiek z czasem przyzwyczajają się do zmian. Tyle razy mówił jej, że wokół wszystko płynie, zmienia się. Więc również życie. A życie jest wszędzie...

Wrócili razem, po jej obronie; mama pomogła znaleźć Rucie pracę w domu kultury, gdzie miała prowadzić zajęcia plastyczne. Poza tym trzeba było przygotowywać scenografie przedstawień, dyplomy, zaproszenia - to wszystko i wiele innych, nie zawsze twórczych rzeczy, do których na pewno przyda się jej nie tyle talent, ile znajomość rzemiosła. Ruta nie bała się startu w dorosłe życie, bo tak naprawdę już dawno w tym życiu tkwiła. To, co przed nią, miało być kolejnym krokiem rozwoju. Bo przecież... Mogła rozwinąć się również tu, na mazurskiej prowincji⁴. Wierzyła w to mocno.

Marek. Dla niej zmienił zawód, został dziennikarzem. Może latem i tam, na Mazurach, znajdzie sobie miejsce? Odrzucała wszelkie wątpliwości. Do domu pod lasem wróciła w pewien lipcowy piątek; przyjechała golfem Marka, w który zmieściła swój pięcioletni dobytek. Niewiele tego wszystkiego było, bo nigdy tak naprawdę nie zdążyła

przenieść swojego domu w inne miejsce...

Marek był mężczyzną obdarzonym czymś, co zwykle się nazwać życiową mądrością, przy tym nieco melancholijnym i refleksyjnym. Jego ponadprzeciętna inteligencja i ogólna wiedza w wielu dziedzinach życia imponowała Rucie. Swoimi przemyśleniami i obserwacjami potrafił dzielić się, nadając temu niezwykłą formę, przypominającą kazanie. Słuchający go potakiwali z zachwytem, bywało, że pod jego wpływem zmieniali coś w swoim życiu, a nawet całe życie. Niektórzy mówili mu nawet, że powinien być księdzem...

Ruta uśmiechała się wtedy do niego ze zrozumieniem i czułością, dumna, że jej Marek wzbudza taki szacunek, estymę. Starszy od niej o sześć lat, samodzielnie podejmował zawsze ważniejsze decyzje. Ruta wprost ubóstwiała go... Po prostu. Przy nim czuła się szczęśliwa, bezpieczna.

Lubiła patrzeć na to, w jaki sposób parzy kawę z cynamonem lub miętą, jak gotuje zupę owocową zabielaną śmietaną czy jak przekłada strony gazet i książek. Czytał codziennie. Jeszcze w Toruniu pracował w toruńskich „Nowościach”, a ona zachodziła pod byle pretekstem do redakcji, by choć na chwilę się z nim spotkać. Przynosiła mu kanapki albo rumiane jabłko i wsuwała miłosne liściki między książki. A kiedy musiał dłużej zostać w redakcji, a ona wcześniej wróciła do domu (gdy już zamieszkali razem!), z tęsknoty za nim wdychała zapach z jego szlafroka. Zapach był wyraźnie wyczuwalny, Marek pachniał... powietrzem i dobrą wodą toaletową, jego pot nie miał tej silnej woni, tak charakterystycznej dla niektórych mężczyzn. Gdy gdzieś wychodzili, spryskiwał się mało znaną w Polsce wodą, przyslaną mu przez brata z Kanady, która miała dość intrygujący, lekko ziołowy, ciężkawy, ale przyjemny zapach. Rucie zawsze już potem kojarzył się z tą wodą i... z szalikiem, którym szczelnie owijał szyję, a zapach ten wnikał przez materiał tak silnie, że czuła go nawet jesienią, gdy na zimę wyciągała ten szalik z wielkiego kartonu.

Marek miał brązowe, mądre oczy, ciemne włosy i śniadą cerę. Nosił okulary, które - jak sam mówił - dodawały powagi. Był wysoki i męski. Jego niespodziewane wyznanie miłości było dla niej wielkim zaskoczeniem. Stało się to po wielu miesiącach znajomości. W pewien grudniowy wieczór, kiedy wracali od przyjaciół, mieszkających na jednym z toruńskich osiedli, przechodzili pod wiaduktem, a on powiedział po prostu:

- Oczywiście, że cię kocham, Ruto...

Spojrzała do góry, w rozgwieżdżone mroźne niebo i świat wtedy jakby przez chwilę zawirował. Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Pierwszy raz w życiu usłyszała tę deklarację tak po prostu, a jednak skierowaną właśnie do niej. Marek zmienił się wtedy z przyjaciela w kogoś znacznie ważniejszego, a między nimi zawisła jak sopel - niemy

towarzysz tamtego wyznania - nieuchronność oddania się sobie. Oboje tego pragnęli, jednak...
Czekali na właściwy moment, bo nie chcieli, by zdarzyło się to ot tak. Byli kochankami w
myślach, we własnej świadomości, w dojrzewającej miłości... Marek poddał się jej bezwolnie,
choć - jak mówił - nie powinien.



Była zima, styczniowe poranki budziły świat boleśnie jak igły, a po nich zapadał zmrok, opatulający późne popołudnia i zmarznięte gwiazdy na milczącym niebie...

Obraz Moniki Bogdanowicz, utalentowanej artystki z Reszla,

www.monika-bogdanowicz.pl

Najpierw jednak spotykali się jak przyjaciele prawie przez trzy lata. Rozmawiali o życiu, marzeniach, codzienności, a czasem transcendencji i Bogu oraz pojęciu boskości w życiu każdego z nich. Chociaż poglądy Ruty i Marka były bardzo odmienne, mieli dość sił, by różnić się pięknie. Ruta wiedziała, że nie dojdą w tej kwestii do całkowitego porozumienia i kompromisu, szanowała jednak poglądy Marka i tego samego oczekiwała od niego. Chciała być z nim, mimo wszystko...

Tamten styczniowy wyjazd do Krakowa zaplanowali wcześniej, oboje wiedzieli, że jadą tam po to, by połączyła ich ta więź, której byli tak bardzo spragnieni... Był to kolejny piątek w ich wspólnym życiu, dokładnie tydzień po wyznaniu miłości. Planowali znaleźć pokój w jakimś hotelu, koniecznie blisko rynku. Była zima, styczniowe poranki budziły świat boleśnie jak igły, a po nich zapadał zmrok opatulający późne popołudnia i zmarznięte gwiazdy na milczącym niebie...

Z pociągu wysiedli zmęczeni i spragnieni ciepła. Jakiegokolwiek. Herbacianego. Kawowego. Czekoladowego. Ciepła serca. Ciepła w ogóle... Znaleźli ten hotel. Z pokojem, który jakby na nich czekał. Na Starym Mieście, niedaleko głównego rynku.

Ruta nigdy wcześniej nie była w Krakowie, dlatego też zaraz po rozpakowaniu bagaży zapragnęła wyjść na miasto, mimo że tego dnia z nieba sypał śnieg, a wiatr nie oszczędzał nikogo, nawet tych grubo ubranych. Marek wyszedł z nią, mniej chętnie, bo był nieco zmęczony. Podróż, jednostajny bieg pociągu, szum wiatru powodującego zadymkę. Był meteoropata, nie lubił takich dni jak dzisiejszy. Mimo to naciągnął mocniej czapkę na głowę, owinął szczelnie szyję swoim nieodłącznym szalikiem i wyszedł z rozradowaną jak dziecko Rutą.

Stare Miasto powitało ich hejnałem płatków śniegu, migoczących w świetle stylizowanych latarni. Był początek lat dziewięćdziesiątych - miasta nie zdeptali jeszcze tak turyści, jak dziś. Ruta zachłystywała się jego odkrywanym właśnie monumentalnym pięknem, które było tuż przy niej, namacalne. Czas jakby przeniósł ją na uliczki, zawłaszczone przez młodopolską bohemę.

- Patrz, Jama Michalika! - krzyknęła, zachwycona nagłym odkryciem.

- No i...?

- Kiedyś to była cukiernia! Tu spotykali się krakowscy artyści i powstał słynny kabaret „Zielony Balonik”! To przecież niesamowite miejsce! Czuję, jakbym cofnęła się w czasie o prawie sto lat!

Marek patrzył na Rutę w milczeniu, nie podzielał jej dziecięcego zachwytu, wręcz fascynacji miastem. Owszem, podobało mu się, ale patrzył na nie oczyma turysty. Dręczyło

go jednak nieznośne przeczucie, że to miasto na zawsze pozostanie miastem jego Miłości.

Ten miły piątkowy wieczór zakończyli w niewielkiej knajpce. Nie spojrzeli na szyld, po prostu weszli prosto z ulicy, zmarznięci nieco chaotycznym poznawaniem ulic, nie zapamiętując ich nazw, a jedynie klimat. Podeszli do baru, poprosili o coś do picia. Kelner zaproponował czeskie wino korzenne. Może była to frankovka, może tramín - Ruta nie wiedziała, co pije, nie pytała o to, dopiero z wiekiem pojawiła się u niej ciekawość nazw wypijanych trunków. Patrzyła na Marka, jak smakował wino, i cieszyła się, że jest tu z nią, że ich wzajemna obecność jest tak fascynująca, jak obcowanie z dziwnym w smaku czerwonym winem.

Jej myśli były wtedy jakby Kiduszem, modlitwą nad winem, odmawianą na początek szabatu - z czego jeszcze wtedy nie zdawała sobie sprawy. Dopiero po drugim spotkaniu z Sarą, już po śmierci Serafiny, dotarło do niej to, jak bardzo to dziedzictwo tkwi w jej sercu.

Wtedy, w Krakowie, wino było czerwone i słodkie, na pewno najlepsze, czyli takie, jak nakazuje tradycja.. Tylko że jej myśli nie sięgały do czasów powstania świata i elementów tradycji żydowskiej, bo ta dziedzina życia nie leżała w zasięgu jej zainteresowań i zrozumienia. Ale podobnie jak Żyd odmawiający tę część modlitw, przypominała sobie początek swej miłości, która stawała się dla niej całym światem... Myślała wtedy:

Wspaniała jest ta chwila, tu i teraz, kiedy siedzimy blisko siebie, czujemy swoje oddechy, pijemy czerwone wino, które smakuje jak żadne na świecie...

I było tak, jak w modlitwie nad winem:

I był wieczór i był poranek - dzień szósty. Były ukończone niebiosa, ziemia i wszystkie ich zastępy. Bóg ukończył siódmego dnia pracę, którą wykonywał, i odpoczął siódmego dnia od wszelkiej pracy, którą wykonywał⁵.

Dodawała w myślach: Nie ma spotkań przypadkowych. Musieliśmy się spotkać w odmęcie splotów okoliczności, które tak naprawdę są dawanymi nam znakami. Bo przecież... Nic nie dzieje się przypadkiem... Nie wiedząc, że brzmi to jak dalszy ciąg modlitwy:

Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, Król Świata, Stwórca owocu winorośli. Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg (...) Gdyż nas wybrałeś i nas wyróżniłeś ze wszystkich ludów.

Wtedy Ruta nie zdawała sobie sprawy z tego, że ta jej zaduma ma mistyczną wymowę. Dowiedziała się o tym wiele lat później od Sary, która podczas spotkania w synagodze wyjaśniła jej znaczenie niektórych symboli i rytuałów żydowskich. Dziedzictwo zawsze powraca - choć czasem ten, kto dziedziczy, jest nieświadomy swej historii. Tamto

krakowskie zamyślenie zostało przerwane przez wejście do knajpki niepozornie wyglądającego mężczyzny w zielonym kapeluszu. Przeszedł przez całą salę, rozdając uśmiechy i wymieniając pozdrowienia, po czym dosiadł się, nie pytając o pozwolenie, akurat do ich stolika i zamówił wino. Takie samo jak pili oni. Ruta spojrzała na niego najpierw zdziwiona, a potem, poznawszy nagle, kim jest mężczyzna, uśmiechnęła się i... odwróciła głowę w kierunku Marka. Chciała sprawdzić, czy również poznał mężczyznę. Marek uśmiechnął się z dziwną satysfakcją. Zatem - poznał!

Gość wyciągnął serwetkę i zaczął coś na niej pisać. Wiersz? Swoje myśli? Ruta nigdy potem nie darowała sobie, że nie zajrzała mu przez ramię. Nigdy nie dowie się, jakie słowa zamykał wtedy na gładkim kawałku papieru.

Tamtym gościem był Piotr Skrzynecki. Założyciel Piwnicy pod Baranami. A tamta knajpka to Vis à vis. Dziś stoi przed nią pomnik - stolik z nieruchomą postacią Piotra Skrzyneckiego. Można z nim usiąść, pogadać. Zadumać się. Gdy Ruta już zamieszkała w Krakowie - siadała tam czasem, jakby chcąc nadrobić tamten stracony czas; niespojrzenie przez ramię.

Gdy artysta zmarł, często słuchała słów piosenki Zbigniewa Preisnera o nim. Drgały w niej wtedy jakieś dawne nuty tamtego krakowskiego czasu, zaszypane śniegiem przeszłości. Bo Kraków kojarzył się jej odtąd z winem i kolejnym w jej życiu nieprzypadkowym spotkaniem.

Bądź, trwaj - tego nam trzeba

Baw nas w przedsionku do nieba

Spójrz Piotr w tę drogę przed nami

Noc w noc usłaną gwiazdami

A to wszystko przecież miało trwać

Najwyżej pięć lat - a może mniej

Piotrze...

A to wszystko przecież miało trwać

Najwyżej pięć lat

Choć się zmienił cały świat - Jesteśmy!

Zawiruje jeszcze raz - będziemy - Będziemy...



Miłość to dwie samotności, które spotykają się i nawzajem wspierają.
Obraz Moniki Bogdanowicz, utalentowanej artystki z Reszla,
www.monika-bogdanowicz.pl

Wrócili do hotelu. Oboje wiedzieli, że za chwilę między nimi zagości oddanie ciał i dusz, i złączą się w muzyce ciszy, która kołowała nad zaśnieżonym Krakowem, niemal bezszelestnie zasypując go białymi płatkami - świadkami ich miłości.

Marek rozbierał Rutę wolno. Twarz miał poważną, ściągniętą uporczywymi myślami, walką z samym sobą. Trwał w nim odwieczny bój miłości z zasadami, przekonaniami, a może po prostu - z narzuconymi przez człowieka normami? Może to my, ludzie, ustaliśmy jakieś regulaminy i znaczenia, a tak naprawdę nie mają one dla prawdziwego życia większego znaczenia? Kreślimy horoskopy znaczeń, mapy życiowych norm, pokrętne grafy zachowań, a następnie dobrowolnie skazujemy się na trwanie w tych wykresach, wypłukując się z emocji i uczuć, skazując na kierunki strzałek... Dlaczego nie mógł jej kochać? Tu i teraz? Dlaczego nie mogli być ze sobą? Przecież nie krzywdził jej ani siebie. Więc dlaczego? Bo nie była jego żoną? Bo...?

Kiedy się pierwszy raz z nią kochał, miał w oczach łzy. Ruta zerkła na niego z niepokojem, poddając się rytmowi ich ciał, zatracając się w nim, jak w szaleństwie wina i śpiewu.

Kiedy Marek wiele lat temu rysował swój graf życia, nie uwzględnił w nim kilku niewiadomych. Jego katolicka wiara napotkała duży kamień, na którym po prostu się potknęła. A może nigdy tej wiary nie było? A może był to... kamień milowy na jego drodze?



To właśnie, tu, na krakowskim Kazimierzu, Sara opowiedziała Rucie przypowieść o indiańskim chłopcu i jego dziadku. Ruta stała zdziwiona, nie mogąc uwierzyć, że stoi przed nią kobieta, która pomaga jej uwierzyć we własną wewnętrzną siłę i w możliwość wybaczenia.
Fot. Katarzyna Gryc, Kraków

Kasia robiła zdjęcia w chwili, gdy przez Kraków szła fala powodziowa, most Dębnicki został zamknięty, a Wawel był półwyspem na Wiśle.

4. O wyższości prowincji nad wielkimi miastami Autorka pisze również w swoich wcześniejszych powieściach: *Prowincja pełna marzeń* oraz *Prowincja pełna gwiazd*, wydanych przez Wydawnictwo MG w 2009 i 2010 roku.

5. Fragmenty modlitwy nad winem, na podstawie: www.the614thcs.com

*Miłość to dwie samotności,
które spotykają się i nawzajem wspierają.*

O tym, że będą razem, zdecydowali właśnie tej pierwszej, wspólnej nocy.

- Nie mogę już żyć bez ciebie. Zostawiam moje dotychczasowe życie, zmieniam je. To będzie nasza miłość, nasz czas - szeptał, zagarniając jej ciało po raz kolejny. Nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek może być inaczej, że od tej chwili zdołają oddychać bez siebie.

Ruta bezwolnie poddała się temu uczuciu, czując w sobie nieznośny imperatyw. Myślała wtedy, że to najpiękniejsze, co może połączyć kobietę i mężczyznę, i że ich dłonie od tej pory będą sycić się sobą nawzajem. Będą żyć w czułej symbiozie, jak... odważny i okazały drozd paszkoć, mieszkaniec obrzeży mazurskich lasów, z nieśmiałą, choć czujną, obawiającą się intruzów ziębą... Skojarzenie z ptakami przyszło jej do głowy spontanicznie, bo poczuła się nagle w swoim uczuciu i oddaniu Markowi niczym nieskrępowana, zupełnie wolna. Nic nie było w stanie jej go odebrać...

Sprawdziły się przeczucia Marka, że Kraków na zawsze stanie się dla nich miastem miłości. Od tej nocy zawsze powracał myślami do tamtych chwil, nawet już po swoim odejściu od Ruty. Gdy patrzył przez okno swojego pokoju na zaśnieżony słup światła z latarni, gdy słuchał głosu Piotra Skrzyneckiego, gdy oglądał telewizyjne relacje z Krakowa. A Ruta? Ostatecznie podjęła przecież decyzję o przeprowadzce do tego miasta. Może chciała zaczarować swoje marzenia?

Na ostatnim roku studiów Ruty zamieszkali więc razem. To było oczywiste - Ruta nie wyobrażała sobie, że będą ze sobą tylko od czasu do czasu. Bo aby kogoś prawdziwie poznać, trzeba przy nim zasypiać i budzić się, znosić katar i ból w krzyżu, uderzenie młotkiem w palce, jeść razem obiady, wypijać poranną kawę. Tak. Te chwile i całą masę innych chciała z nim dzielić i była pewna, że do tego dojdzie.

Pewność miał również Marek, choć musiał zamknąć wiele własnych spraw, by być z nią. Jego przeszłość wciąż się odzywała, a jednak... Podjął tę ważną decyzję dla siebie, dla niej, dla nich...

Mama Ruty nie od razu zaakceptowała jej związek. Powtarzała córce, by dobrze

przemyślała sprawę. Obawiała się, że Marek może kiedyś żałować swojej decyzji, może jej wyrzucić wpływ na zawrócenie z obranej kiedyś z wielkim przekonaniem drogi życiowej. Nic jednak nie było w stanie powstrzymać młodej dziewczyny, wpatrzonej w ciemne oczy mężczyzny, którego pokochała całym sercem. I tak miało pozostać.

*Umieć milczeć to prawie tyle,
co zachować siebie na własność.*

- Kochałam go, naprawdę. Całym sercem. Nie wiedziałam, dlaczego odszedł, aż do teraz... Ona mi powiedziała. To przez nią... - mówiła Ruta podczas swojego drugiego spotkania z Sarą, w synagodze, na krakowskim Kazimierzu. To było już po śmierci Serafiny, a spotkanie z miedzianowłosą podniosło na duchu załamana Rutę.

- Nie wracaj do tego, wybaczyłaś...

- Tak, ale nie zapomniałam i nigdy nie zapomnę. Nie mogę wymazać z pamięci czegoś, co zmieniło moje życie, przestawiło na inne tory. Postanowiłam, że go odnajdę i wytłumaczę, jak było naprawdę. Jaką straszną i brzemienną w skutkach intrygę knuła wtedy nasza „kochana” sąsiadka. Chcę mu tylko spojrzeć w oczy. Ale... co będzie, jeśli mi nie uwierzy? Jeśli te lata, które minęły, zupełnie niepotrzebnie naznaczone naszą samotnością, odmieniły nieodwracalnie jego życie? Gdy o tym pomyślę, zastanawiam się, czy mam prawo burzyć jego świat? Czuję, jakbym przeżywała rozdwojenie oczekiwań, świadomości, marzeń. I czuję tę nieznośną konieczność zobaczenia go, wyjaśnienia, mimo wszystko...

- Niezależnie od wszystkiego, musisz to zrobić. Jeśli to konieczne, zawróć ze swojej drogi, obejrzyj się za siebie i zobacz, jak wiele mimo wszystko zawdzięczasz Wszechświatowi... i ile jeszcze możesz od niego przyjąć.

Ruta słuchała. Jej mentorka miała piękne, mądre oczy, zamyśloną twarz. I te cudowne miedziane włosy, które Rucie wydawały się wtedy doskonałe. Ale najważniejsze, że czuła do Sary zaufanie. Jak wcześniej do Marka, gdy spacerując toruńskimi uliczkami, wzdłuż zamyślonych kamienic, pochylonych w pokłonie do starego bruku, opowiadała mu swoje życie. Czasem łatwiej jest zwierzyć się przypadkowo napotkanej osobie. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że w życiu nie ma przypadków. W mazurskim miasteczku Marek nie miał szans na realizowanie się jako dziennikarz, a i o jakąkolwiek inną pracę nie było łatwo. Na szczęście znajomości mamy były szerokie i Marka zatrudniono w tutejszym magistracie.

Ich życie pobiegło nagle innym rytmem, spokojniejszym, poddanym innym prawom, wyznaczonym porami roku, klimatem prowincji... We dwoje zaczęli odkrywać piękno Mazur - w wolne od pracy weekendy mieli bowiem czas na przejażdżki i spacer. Byli tacy młodzi,

pełni nadziei i szczęśliwi!

Teraz Ruta wprowadziła swoje życie na inne tory. A rozmowa z Sarą pomogła jej podjąć ważną życiową decyzję...

Serafina po powrocie Ruty do domu, i to w towarzystwie obcego mężczyzny, długo zachowywała milczenie. Rutę bardzo to niepokoiło, ale mama ją uspokajała:

- Wiesz, nasza hetera chyba się starzeje. Do sądu już mnie nie pozywa, nie nasyła na mnie policji. Tyle że nie odpowiada mi na powitania, ale to akurat mnie nie martwi. Czasem tylko złośliwie zamknie drzwi na dole, gdy ja bez klucza wychodzę do ogrodu. No to wtedy dzwonię do niej, bo przecież muszę się jakoś dostać do mieszkania. Gdera wprawdzie pod nosem coś o bezpieczeństwie, złodziejach, jakby wszyscy przestępcy tego świata czyhali na jej nie wiadomo jaki majątek. Chciałabym w tym roku położyć nowy dach, bo stary przecieka, a przecież jesteśmy współwłaścicielami domu. I już zastanawiam się, jak rozpocząć z nią rozmowę...

- Oj, to wielkie zadanie przed tobą. Ja na pewno do niej nie pójde.

- No wiem, na ciebie reaguje bardziej alergicznie. No cóż, będę musiała spróbować...

Ruta odłożyła na bok myśli o dachu, pochłonięta pracą, swoim nowym życiem i wymarzoną obecnością Marka. Zbliżały się wybory samorządowe, był to burzliwy czas reformy, właśnie powstawały powiaty i Marek, jako były dziennikarz, zaangażował się po godzinach pracy w kampanię wyborczą. Pisał lokalnym politykom teksty do ulotek, artykuły do propagandowych pisemek, doradzał, jak zrobić zdjęcie, by wyglądali wiarygodnie. Nauczył się tego w toruńskiej redakcji - teraz jego wiedza przydała się w lokalnej polityce. Swoje materiały podpisywał imieniem i nazwiskiem: Marek Antoni Futerga. Właśnie jedną z takich przedwyborczych, propagandowych ulotek lokalnej kampanii politycznej wziął do swojej ręki gość, który pewnego niedzielnego jesiennego popołudnia przyszedł do Serafiny. Akurat stawiała przed nim szklankę z herbatą, obok spodeczka z lekko wysuszonymi kruchymi ciastkami. Gość przeczytał wolno imię i nazwisko autora ulotki, zaznaczając paznokciem litery.

- Marek Antoni Futerga. Taaaa... Chyba znam tego człowieka...

- Eee, szkoda gadać. Kary na nich nie ma. On tu mieszka, w grzesznym konkubincie z tą młodą lafiryndą, znaczy córką mojej sąsiadki, piętro wyżej.

- Co? On tu mieszka? W tym domu? Z córką sąsiadki?! Nie do wiary! Ale... Nie ma mowy o pomyłce, bo nazwisko nietypowe i te dwa imiona. To na pewno on!

I opowiedział Serafinie o Marku Antonim Futerdze. A Serafina aż zaniemówiła od tych rewelacji, aż dopiero potem, gdy już go żegnała przy drzwiach, odezwała się, ale tak

głośno, by było ją słyhać na korytarzu:

- I kto by pomyślał! Taka sodoma pod moim dachem! Tfu!

- Pani Serafino, spokojnie... - uciszył ją wychodzący, który przez moment pożałował, że jej to wszystko w ogóle opowiedział. Słyszał bowiem od znajomych, że Serafina uprzykrzała życie swoim dwóm sąsiadkom, które, jak mówiła wszem wobec, nie chodziły do kościoła i były, w jej mniemaniu, bezbożne. Jakby bożność i bezbożność były wskaźnikami wartości człowieka. Jakby w tym chodzeniu do wysokiego budynku z krzyżem na dachu ukryty był cały ładunek ich człowieczeństwa, dobroci, potencjał miłości i zakres odpowiednich zachowań.

Gość Serafiny nie dawał wcześniej temu wiary, bo nie wierzył, by taka porządnie wyglądająca kobieta mogła się w taki sposób zachowywać wobec najbliższych sąsiadów. Dopiero teraz, gdy się nagle odezwała z tą dziwną, nieokiełznaną nienawiścią, poczuł obawę, że to, co słyszał od znajomych, było jednak prawdą. Zszedł jednak wolno po schodach, żegnany mamrotaniem starej kobiety, która międlila w ustach jakieś ciche słowa, by za chwilę przeistoczyć je w nieco głośniejsze czyny...

I gdy tylko zniknął za zakrętem, w bramie pojawili się oni - sprawcy rui i porubstwa. Ruta z Markiem. Gdy tylko przekroczyli próg domu, chcąc w milczeniu minąć sąsiadkę, spadł na nich grad wyzwisk i obelg, których nie mogli się spodziewać. Stała przez nimi, niezmiennie rozczochrana, w starej sukience i za dużych kapciach, krzyczała i machała rękami, a Rucie wydawało się, że widzi przed sobą czarownicę ze złej bajki. Nadchodził znów bolesny skurcz gardła, lęk, który przez lata spędzone w Toruniu wyrzuciła z pamięci. A teraz bolesny nerwoból powrócił, i to stężenie mięśni w twarzy, odbierające zupełnie mowę i jasność myślenia.

Marek był również zaskoczony, dopiero po chwili zdobył się na jakąś zgryźliwą i bolesną ripostę, ale ta nie została do końca wysłuchana, bo Serafina, gdy już wyrzuciła z siebie całą nienawiść, odwróciła się na pięcie i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- S...kąd się do...wiedziała? Teraz nie da nam żyć! - Ruta nerwowo wyrzucała z siebie słowa, z trudem opanowując drżenie rąk przy wkładaniu klucza do drzwi.

- Chyba wiem skąd. Pamiętasz tego człowieka, którego mijaliśmy przed domem? To on jej powiedział. Poznałem go od razu...

- Marek, kto to był? Powiedz!

- Opowiem ci później. Przy herbacie. Zaparzysz? No już, spokojnie.

- Nienawidzę jej. Pierwszy raz w życiu mam ochotę kogoś zabić. Wzięłabym siekiere i po prostu ją zarąbała! - wykrzykiwała Ruta przez lzy.

- Nie mów tak, przestań. Tyle razem przeszliśmy, przejdziemy i to - pocieszał ją Marek, przygarniając mocno do siebie.

- Łatwo ci mówić, bo nie doświadczyłeś na własnej skórze piekła, które ta jędza nam tutaj zgotowała przez tyle lat! To przez nią mama zachorowała. Wszystko przez nią! W Toruniu miałam spokój, ale przecież musiałam tu wrócić! Ty nie wiesz, co to znaczy z lękiem wracać do domu i czuć się bezustannie podglądaną zza zasłony. Ja ten jej bazylijszkowy wzrok wciąż czuję na plecach, wwierca mi się w łopatki, boję się, że wbieg-nie taka rozczochrana na korytarz i rozedrze tego swojego parchatego ryja! Rozumiesz, nienawidzę jej! Nie wiem, co mam robić?! Mam jej życzyć śmierci, czekać, aż umrze? Bo dopiero wtedy się uspokoi?!

- Ruta, nie denerwuj się, nie krzycz. Krzykiem nic nie zdasz. Baba jest rzeczywiście wredna. No cóż. Mleko się wylało, to małe środowisko, pewnie zaraz dowiedzą się wszyscy. Trzeba będzie to jakoś unieść, ale damy radę.

- Nie bądź takim optymistą! A co będzie, jak stracisz pracę?

- Przestań, co ty opowiadasz?! Z takiego powodu nie traci się pracy!

Herbata parzyła się w dzbanku. Potem wystygła, niewypita.

To była pierwsza w ich związku głośna wymiana zdań, sprowokowana, jak większość złych zdarzeń w życiu Ruty, przez Serafinę. Ruta czuła, że naprawdę życzy tamtej kobiecie wszystkiego, co najgorsze.



*Krakowski Kazimierz to miejsce magii i spotkań...Fot. Katarzyna Zubkowicz,
Warszawa*

*A kiedy szukam ludzi, nie mogą nic poradzić
i nie rozumieją moich myśli.*

- Nienawiść do niej toczyła moje serce jak zły robak... - opowiadała potem Sarze podczas ich drugiego spotkania, tarmosząc nerwowo skórę przy paznokciu. Oderwała ją wreszcie z cichym syknięciem bólu i patrzyła, jak paznokieć pokrywa się czerwoną plamą krwi.

- Przestań, nie rób tak, widzisz, boli cię teraz. - Sara podała jej chusteczkę.

- Gdy o tym mówię, to jakby wszystko wracało. Wiesz, ja wtedy naprawdę życzyłam jej śmierci... - odpowiedziała niewyraźnie Ruta, zasysając ciepłą krew. Patrzyła na Sarę, która wstała i przespacerowała się chwilę, zaledwie kilka kroków, i już nie wróciła na ławkę, a na stojąco mówiła do Ruty:

- Przekleństwo wypowiedziane w chwili złości to klątwa, która ma ogromną moc i niemal zawsze się spełnia. Pamiętaj, nie życz innym nieszczęścia, bo życzenia takie są jak klątwa i mogą przydarzyć się tobie, ponieważ przekleństwa mogą powrócić, wyrządzając tobie szkodę. Zgodnie z Zasadą Potrójnego Powrotu.

Dlaczego akurat ta synagoga stała się świadkiem tych trudnych zwierzeń Ruty? Tego szczególnego bilansu życia, którego dokonywała po raz drugi, już dojrzała o lata spędzone w szczególnej symbiozie ze sztuką i zmaganiem się z własnymi lękami i... nienawiścią, która odmienia serce. Pierwszy raz tak otworzyła swoje myśli wiele lat temu przed nowo poznanym Markiem, teraz - przed Sarą, którą widziała drugi raz w swoim życiu.

- A twoja mama? Kiedy odeszła? - Sara odwróciła twarz w kierunku Ruty, która już uporała się z wyrwaną skórą i zatamowała lekkie krwawienie, trzymując jednak na wszelki wypadek bolący palec owinięty chusteczką.



Ten miły piątkowy wieczór zakończyli w niewielkiej knajpce. Nie spojrzeli na szyld, po prostu weszli prosto z ulicy, zmarznięci nieco chaotycznym poznawaniem ulic, nie zapamiętując ich nazw, a jedynie klimat.

Podeszli do baru, poprosili o coś do picia. Kelner zaproponował czeskie wino korzenne. Może była to frankovka, może tramín - Ruta nie wiedziała, co pije, nie pytała o to, dopiero z wiekiem pojawiła się u niej ciekawość nazw wypijanych trunków. Patrzyła na Marka, jak smakował wino, i cieszyła się, że jest tu z nią, że ich wzajemna obecność jest tak fascynująca, jak obcowanie z dziwnym w smaku czerwonym winem.

Fot. Norbert Bujanowski, Mrągowo

- To było kilka tygodni po milenijnym sylwestrze. Czyli kilka miesięcy po tym, jak Serafina dowiedziała się prawdy o Marku... - kontynuowała swoją opowieść Ruta.

Ruta bała się 2000 roku. Ten lęk miała w sobie jeszcze z czasów szkolnych, kiedy to zwiastowano ten rok jako czas wielkiego przełomu i podróży w kosmos. A potem mówiło się nawet, że w 2000 roku nastąpi koniec świata. Im bliższy był milenijny sylwester, tym Ruta bała się coraz bardziej. Powiadano, że spłoną komputery, zepsują się bankomaty, nastąpi koniec ludzkiej cywilizacji, bo ta nie została pomyślana na datę zaczynającą się od cyfry „2”. Na wszelki wypadek wypłaciła z banku wszystkie oszczędności i nie zarezerwowała miejsca na żadnym balu, licząc na to, że jeśli czas przełomu dopadnie ją w jej mieszkaniu, będzie to o wiele bezpieczniejsze niż podczas hucznej zabawy lub pod gołym niebem, na głównym placu miasteczka. Marek przystał na jej propozycję, choć wolałby spędzić ten czas inaczej. Siedzenie w domu nie było dużą atrakcją, ale potem zrozumiał, że dobrze się stało, bo dzięki tej decyzji Ruta spędziła ten czas z mamą. Ostatni wspólny sylwester...

Gdy zegary wybiły północ, nic się jednak nie wydarzyło, nie wybuchło, nie zacięło, nie przestało działać. Czas pobiegł naprzód, z tą cyfrą „2” z przodu, i była to jedyna różnica w tym doskonałym świecie wymiany energii i myśli. Nic się nie zmieniło. Mama składała Rucie życzenia. Zdrowia - ono najważniejsze. Jak jest zdrowie, to jest wszystko. Ruta skinęła głową i uściśliła tę drobną istotę, która pod naciskiem jej palców przegięła się jak trzcinka.

- I życzę wam szczęścia, nie dajcie się złym ludziom - wyszeptała jeszcze Krystyna do ucha córki, tak żeby tylko ona słyszała, bo wstydziła się trochę mówić w ten sposób przy Marku.

A potem przyszły ferie zimowe i czas urlopów - bo tak Ruta z Markiem zaplanowali swój odpoczynek od pracy. Chcieli wyjechać do Torunia, pochodzić dawnymi ścieżkami, spotkać się z przyjaciółmi i znajomymi, a zimowy czas wydawał się ku temu doskonały.

- Uważajcie na siebie. - Krystyna machała do nich, nie wiedząc, nie przeczuwając, że żegna ich na zawsze.

Potem to „uważajcie na siebie” było w życiu Ruty najważniejszymi słowami, które Ruta słyszała z ust mamy. I wracał wciąż do niej obraz stojącej na progu drobnej kobiety, opatulonej w długi brązowy płaszcz, o którym mówiła, że jest koloru wielbłądziego.

Gdy zajechali na miejsce, do mieszkania ich toruńskiej koleżanki Marty na ulicy Łąkowej (wciąż tam mieszkała!), Ruta wybrała numer mamy i powiadomiła, że są na miejscu i zaraz idą na Stare Miasto. W słuchawce słyszała podniesiony głos sąsiadki z dołu.

- Mamo, co się tam dzieje?!

- Nic, córeczko, Serafina coś tam krzyczy na schodach, że niby nieodśnieżone, a

przecież odśnieżałam!

- Mamo, nie daj się, pamiętaj! Zamknij się w pokoju i w ogóle jej nie słuchaj.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze, za chwilę w słuchawce Ruta usłyszała dudnienie do drzwi.

- Otwieraj! Czas skończyć z tą sodomą pod moich dachem! Nie życzę sobie, słyszysz?!

To na pewno był głos Serafiny. I wcale nie chodziło jej o odśnieżanie. Po prostu postanowiła powiedzieć swoje zdanie, właśnie teraz, gdy Ruta z Markiem wyjechali, a Krystyna została sama w swoim mało bezpiecznym, jak się okazuje, mieszkaniu.

- Mamo! Nie otwieraj jej!

- Nie mam zamiaru, zaraz wezwę policję. Mam już dość tych wyzwisk! Czego ona znów chce?! - rzuciła Krystyna. W jej głosie słychać było silne zdenerwowanie. Odłożyła na bok słuchawkę i krzyknęła:

- Wynoś się stąd, stara jędzo, bo wezwę policję!

- O, policją mi będzie grozić, patrzcie ją! Ja zaraz księdza przyprowadzę. Jak cię pokropi wodą święconą, to syczeć będziesz! - krzyczała tamta za drzwiami, tak że Ruta słyszała każde jej słowo w słuchawce.

Potem padły jeszcze inne bolesne słowa, a po chwili zapanowała cisza - Serafina najwyraźniej odpuściła.

- Poszła już. Chciałam naprawdę dzwonić na komisariat! - Krystyna mówiła podniesionym głosem.

- Mamo, nie denerwuj się, zażyj leki i prześpij się. Widzę, że nie powinnam zostawiać cię samej. Zadzwońię do cici, niech przyjdzie do ciebie, a my chyba jutro wrócimy.

- Nie, nie śpieszcie się, nic mi nie będzie. Jak zawsze, poradzę sobie z tą babą, a wy wypoczywajcie. Należy się wam.

I Ruta odłożyła słuchawkę, uspokojona słowami matki, nieprzeczuwająca nic złego.

Ranek obudził ich rześki i mroźny. Słońce zagrało w delikatnej szadzi na gałązkach krzewów, które rosły pod oknami.

- Kochani, śniadanieeee!

To Marta. Już wstała. Ruta zamruczała w poduszkę i spojrzała na śpiącego jeszcze Marka. Dotknęła palcem trzydniowego zarostu, który na twarzy jej mężczyzny nie wyglądał niechlujnie jak u niektórych, a wręcz przeciwnie - dodawał mu szczególnej fantazji.

- Wyglądasz jak artysta - szepnęła mu do ucha. Lekko nacisnęła klamkę. I poszła na spotkanie z nowym dniem...

- Wieczorem zadzwonię do mamy - postanowiła przy obiedzie, nieco zmęczona spacerami i spotkaniami z przyjaciółmi. To w Krzywej Wieży na grzonym piwie, to w studenckim klubie i jeszcze w kilku innych miejscach. I wyprawa do akademika, do pokoju 108, a potem na Bielany, by zobaczyć choć z daleka okna ich pierwszego wspólnego z Markiem mieszkania...

- Tyle wrażeń w tym Toruniu! - śmiała się przy naleśnikach z twarogiem, spoglądając na uwijającą się Martę.

Marta pracowała teraz w Domu Muz. Organizowała spotkania autorskie i wystawy. Nigdy nie została artystką, ale wspierała tych, którzy chcieli nimi być. Co za ironia losu - myślała czasem Ruta. Skończyła studia, o jakich ja tylko marzyłam, a nie tworzy, nie wykorzystuje swojego talentu. A ja? Po filozofii, wciąż niespełniona, niedokończona... Gdybyśmy mogli zamienić się miejscami...

Ale nie mogli się zamienić. Każdy ma swoje życie i nie można wskoczyć na czyjeś miejsce. Można natomiast doceniać to, co się już ma. Tylko Ruta jeszcze wtedy nie umiała dziękować Wszechświatowi za wszelkie dobro, którego przecież doświadczała, a jej serce nieustannie powtarzało: nie udało mi się, nie powiodło, mogło być inaczej, boję się, że znów się coś nie uda, że skończy się miłość, nie chcę wracać do domu, bo on jest jakiś zły... I oto jej życie stawało się właśnie takie, jak je sobie w tych myślach planowała, mozolnie, na przekór sobie i swojemu szczęściu.

Na kolację przygotowała sałatkę warzywną i grzanki z serem, postawiła wszystko przed Markiem i Martą, a sama sięgnęła po słuchawkę telefonu

- Teraz zadzwonię do mamy. - Nieodebrany sygnał zaniepokoił ją, ale tylko na chwilę.

- Pewnie wiesz na strychu. Miała robić duże pranie - wyjaśniła sama sobie.

I potem we trójkę pobiegli wspomnienia do tamtych lat, spędzonych w gwarnym Toruniu, mieście ich poznania.

- A pamiętacie to wasze mieszkanie na Bielanych? - zaczęła Marta ze śmiechem.

- No jasne! To były dopiero czasy!

I wśród śmiechu wrócili w minione czasy, odświeżając swe dusze. Tamto mieszkanie wynajęli od mężczyzny szczupłego i kostropatego, przepalonego papierosami i śmierdzącego nieprzetrawionym alkoholem. Poznali go na ryneczku bielańskim. Przyjechali tu pierwszy raz - koleżanki Ruty z roku mówiły, że czasem ładne rzeczy można kupić od „Ruskich”. I rzeczywiście Ruta kupiła od nich lnianą serwetę z granatowym tulipanem na środku. Piękną. Szukali mieszkania do wynajęcia, bo podjęli już wtedy decyzję o wspólnym zamieszkaniu. Czytali ogłoszenia, wieszali swoje i zupełnie przypadkowo natknęli się na tamtego

mężczyznę.

- Ja mogę wam wynająć mieszkanie - powiedział szorstkim i zachrypniętym od papierosów głosem. Rutę zemdził trochę zapach otaczający tego człowieka, ale kwota, jaką wymienił za pół roku, choć płatna z góry, była na tyle atrakcyjna, że dziewczyna przestała się wahać. Poszli w kierunku bloków komunalnych, szarych i nijakich, pomiędzy którymi spacerowały matki z dziećmi, biegały psy i rosły nieprzycinane przez nikogo krzewy, które dawno już przestały być zaplanowaną ozdobą.

Mężczyzna wprowadził ich do jednej klatek schodowych.

- To tutaj. - Pokazał na zniszczone drzwi, z widocznymi śladami cięć, jak po siekierze. Ruta się przestraszyła.

- To chyba jakaś melina... - szepnęła wystraszona do Marka, ale ten ciągnął ją już za sobą, również mamiony dobrą ceną.

W mieszkaniu przywitał ich najpierw długi przedpokój, zupełnie ciemny, bo pomalowany na ciemnobrązowo. Ruta nie rozumiała, jak można było pomalować to miejsce w taki sposób, miała wrażenie, że wchodzi do długiego tunelu, na którego końcu widać światełko - wejście do pokoju. Szła ku temu światłu z nadzieją, że tam będzie jaśniej. Było, ale niewiele, bo ściany były znów brązowe, ale w nieco jaśniejszym odcieniu, pod ścianami stały stare drewniane meble, w kolorze zbliżonym do ścian. Regał, biurko, wersalka, wielka komoda. Wszystko poniszczzone, z odpryskami lakieru, zakurzone i zapomniane.

- Ja tu nie mieszkam. Oglądajcie, zrobię coś do picia - powiedział zachrypnięty mężczyzna. I powędrował do kuchni, równie ciemnej jak przedpokój, by zaparzyć herbatę.

- I co o tym sądzisz? - wyszeptał Marek. - Cena jest dobra i to za pół roku! Tyle kosztuje wynajęcie mieszkania na miesiąc. Ten facet chyba w ogóle nie orientuje się w cenach za wynajem! Skąd on się wziął?

- No właśnie, może gdyby mieszkanie wyremontować... Za takie pieniądze...

Obok był drugi pokój, jaśniejszy i znacznie przyjemniejszy. Stała w nim wielka trzydrzwiowa szafa, pod oknem wersalka, a na środku stół i dwa fotele.

- Tu mogłabyś mieć pracownię. - Marek uśmiechnął się.

Kuchnia. Ślepa. Bez okna. Kolejny medal dla architekta. Stół pod ścianą, brudna cerata i kremowy stary kredens. Kuchenka gazowa. Jak powiedział właściciel - nieczynna. Gaz odcięty, bo zaległości w płaceniu. Ale jest kuchenka elektryczna. Prąd na szczęście był. Jeszcze łazienka. Kremowa olejna lamperia, ubikacja, wanna na metalowych nóżkach i lustro. To wszystko. Aha, i jeszcze goła żarówka pod sufitem. Widok nieco przerażający, ale... Ruta tak chciała spróbować samodzielnego życia we dwoje!

- I jak, decydujecie się? - zapytał mężczyzna, niosąc w rękach dwie szklanki w aluminiowych koszyczkach z lekko brązowym płynem, który miał być herbatą.

- Zaparzyłem z jednej torebki, bo nie było więcej - wyjaśnił.

Herbata miała smak wody z zakamienionego czajnika. Torebka leżała chyba na środku kuchennego stołu, w samotności naciągając zapachami opustoszałego wnętrza. Widać było, że dawno nikt tu nie oddychał, nie przestawiał sprzętów, nie dotykał mebli.

- A gdzie pan w ogóle mieszka? - zapytała po chwili Ruta, mocząc usta w gorącym płynie. Na dworze był mróz, piła więc tę najgorszą w swoim życiu herbatę po to, by rozgrzać się od środka.

- Ja... E, to taka tam historia. Nie tutaj. Przyjechałem tylko na czterdz... Znaczy na dwa dni. Herbaty nie zrobiłem dla siebie, bo tylko dwie szklanki są, ale pijcie, pogadamy, może się zastanowicie? - chętnie zmienił temat.

- No, wie pan, być może. Tylko remont trzeba tu chyba zrobić, pomalować ściany i w ogóle. Nie za dobrze to wygląda... Pieniądze trzeba byłoby odliczyć od zapłaty za wynajem... - wyjaśniał Marek.

- Państwo już porobią, co chcą. Mnie się śpieszy, mieszkanie muszę wynająć i wracać. Zejdę trochę z ceny i dobra, targować się nie będziemy.

Ruta spojrzała porozumiewawczo na Marka. Jeszcze zejdzie z ceny? I tak jest śmiesznie niska. Ale... Niech tam!

- Dobra, to się decydujemy - orzekł Marek i przyjął wyciągniętą w jego kierunku brudną dłoń mężczyzny.

- No to dobilim targu. W ogóle to Ziutek jestem. A kiedy pieniądze? Mnie się śpieszy.

- No, choćby dziś.

- No to dobrze, jeszcze umowę spiszem i już.

- Jasne.

Spisali umowę - mężczyzna, co dziwne, był na to przygotowany. Nie wyglądał na takiego, który nosi przy sobie formularze umów. A jednak miał! Wprawdzie odręcznie napisaną i po amatorsku, ale zawsze. Zrozumiał chyba znaczące spojrzenia, bo wyjaśnił:

- Mój kumpel z celi mi doradził. To znaczy... - Już było za późno.

- Z celi? - Rucie wydawało się, że się przestyszała.

- No... - zająknął się tamten. Niechcący się wysypał przed nimi. Pożałował zaraz, że tak się rozgadał, ale tych dwoje wzbudziło w nim zaufanie.

- Pan siedzi w więzieniu?

- No... Tak... Na czterdzieści osiem przyjechałem. Mieszkanie wynająć - tłumaczył

mętnie.

- Ach tak... A gdzie pan siedzi?

- Eee, niedaleko, w Grudziądzu.

- A za co?

- A co wam będę mówił. Tacy ciekawi jesteście?

- Jak pan chce, to może nie mówić - ucięła Ruta. Ta informacja zwarzyła nieco jej zapał. A już miała pomysły, jak pomalować i udekorować to mieszkanie, by nadać mu przynajmniej namiastkę piękna.

- No dobra, powiem.

I opowiedział historię swojego życia, a właściwie jego fragmentu, kiedy to poznał swoją żonę Jaśkę, która była fryzjerką na Bielanach i dopóki miała klientów, jakoś się to wszystko trzymało. A potem, jak właściciel zamknął zakład, bo ludzie przestali przychodzić, to Jaśka wzięła się i rozpiła, przyprowadzała do domu koleżanki, a potem i kolegów, i wreszcie wzięła się do handlu wódką, sama racząc się nią co chwila.

- Ta komoda pod oknem to dlatego taka wielka, żeby wódki w niej dużo się mieściło. Jaśka mówiła na nią „kolumbryna”. Przychodzili klienci, a ona mówiła do mnie: podaj dwie z kolumbryny - wyjaśniał Ziutek. Tak, wielkość tej komody od razu zwróciła uwagę Ruty. - No i jak się już rozpiła, to zaczęła i mnie w to wciągać. Nie powiem, czasem się dałem namówić, ale czasem to nie, bo ja pracowałem, mechanikiem samochodowym byłem i nie chciałem roboty stracić z powodu wódki. To zaczęła mnie ta Jaśka bić, jak nie chciałem pić, a baba to wielka była, jak dwa razy ja, i wyganiała z domu, co ja z nią tu miałem! A potem zaczęły się tu chłopcy z ulicy schodzić, nie od razu, bo najpierw to żył z nami jej ojciec, teść mój znaczy się. Jak żył, to jeszcze spokojnie było, mieszkał w tym małym pokoiku, ale potem zmarł w ciemną noc, na wersalce, co tam stoi. Ranośmy go znaleźli sztywniusieńkiego. Jaśka potem na dobre poszła w tango, bo już nie miał jej kto pilnować, a ja to u niej poważania nigdy nie miałem, bo taki mały, chudy, mówiła na mnie niedorostek. Konus. To potem, jak się schodzili z ulicy, to tylko wódkę donosiłem, a raz poszli już, czekałem do ostatniego gościa, żeby sprzątnąć po nich, ogórki i śledzie z zagrychy zebrać ze stołu, i poszłem do łazienki, a jak wracam, to ona mnie znów się czepia, i z łapami. Tom ją pchnął, a ta jak długa poleciała na ziemię. I z powrotem się w łazience zamknąłem, a ona tarabani w drzwi jak opętana. Ja w tej łazience, trzeźwy byłem, tylko co jeden kieliszek z nimi wypilem, ale to już wywietrzała. No i się uspokoiło, ale ręce mnie wciąż latały, nerw mnie schwycił straszny, że co to za życie mam, żeby baba chłopca biła. Pewnie, że to zgłaszałem kiedyś na policję, a jak! To tylko ją słuchali i słuchali, ale żeby co więcej, to nie. No i wtedy te ręce mnie tak latały, ale mówię

sobie: Ziutek, uspokój się, zamkniesz się w pokoju i spać pójdziesz, a ona też się wreszcie uwali i spać do rana będzie. Słucham, uciszyło się w domu, tylko mamrotania jakieś, to wychodzę z łazienki, a ona, Jaśka, pijaniutka, chwieje się na nogach, stoi przy palmie takiej, cośmy ją wtenczas mieli, stała tu w rogu u nas, potem uszła. I do tej palmy mówi: Ten chuj Ziutek to życie mnie zniszczył... Jakem to usłyszał, to wrzeszczę: kto komu zniszczył, głupia babo! A ona znów do mnie z łapami, uderzyła mnie poręczą od fotela w czoło, o tu, kolek, co z niej wystawał, wszedł w głowę, dziurę zrobił, a ona dalej do mnie z tą poręczą, myślę, zabije mnie jak psa. No to uciekłem do kuchni, ona za mną, patrzę, nóż na stole, chciałem się tylko obronić, a żem ją w serce niechcący ugodził... Na miejscu się wykrwawiła, tu w przedpokoju... Karetka to przyjechała już tylko pozamiatać. Tak się mówi. Zebrali ją potem do worka i tyle. Ja nawet tego dobrze nie pamiętam, bo w szoku byłem. I dostałem za morderstwo w afekcie pięć lat, wzięli pod uwagę tamte moje skargi, i na policji to wszystko też, sąsiadów przesłuchali, wszyscy murem za mną stanęli. Ale muszę odsiedzieć swoje za głupią babę, to mi dopiero ona życie zniszczyła. I dlatego chcę wynająć to mieszkanie, żeby w więzieniu mieć na papierosy choćby, kumpel z celi mi tak doradził.

- Neeee, to niemożliwe... - jęknęła Ruta. Spojrzała na Marka, który siedział blady i zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Milczeli więc oboje, a Ziutek przypalił papierosa i pomyślał chwilę, po czym powiedział:

- Ja wiem, że może się rozmyślicie teraz, ale ja mówię, żeby nie było, i może tu zostańcie, wymalujcie, gdzie szukać będziecie innego mieszkania, jak to dobre? A ja pisać do was będę mógł, wiecie, korespondować, to może wcześniej mnie wypuszczą, że się niby zresocjalizowałem czy coś takiego. Jakbyście mi pozwolili i czasem coś napisali i pieniądze na papierosy wysłali, toby było dobrze. Bo tak to ja nie piję, tylko wczoraj, jak zaszłem na tym rynku do kolegów, bo żem wczoraj przyjechał, tośmy trochę popili, ale tak, to nie. I czterdzieści osiem już się mi kończy, wracać muszę, żeby potem po mnie glin nie wysłali.

Ruta patrzyła na Marka, a Marek na nią. Nie wiedzieli, co powiedzieć, jak się zachować. Ta historia wstrząsnęła nimi głęboko - najpierw ta wersalka, na której umarł jego teść, potem przedpokój, w którym Ziutek zabił swoją żonę. Nie, tego za wiele! Jak tu mieszkać? A jednak... Żal się im zrobiło Ziutka, bo już musiał wracać za kraty, a tak chciał tę sprawę załatwić, tak mu zależało, żeby mieć na te swoje papierosy. Może rzeczywiście ta Jaśka go sprowokowała? Może mówił prawdę, że nie chciał jej zabić?

- No dobrze, jutro rano przyniesiemy panu pieniądze - wyszeptał Marek, który nie miał siły głośno się odezwać, bo nigdy wcześniej nie rozmawiał z mordercą, a Ziutek był właśnie mordercą. Choćby to było morderstwo w afekcie.

Wprowadzili się już na drugi dzień, odwieźli jeszcze Ziutka do Grudziądza, pociągiem, do samego więzienia, wyposażyli w jakieś jedzenie, ciepły sweter (wtedy powstawały już szmateksy, czyli sklepy z odzieżą używaną i można było kupić ubrania w śmiesznie niskich cenach!) i parę kartonów papierosów od Ruskich z bielańskiego ryneczku. Pozwolili mu też pisać do siebie, on uprzedził, że służba więzienna na pewno wyśle im takie pismo z zapytaniem, kim są dla niego, czy to rodzina, czy krewni, czy znajomi, to powiedział, żeby napisać prawdę, że opiekują się jego mieszkaniem, ale żeby odpisać na pewno, to on będzie mógł z nimi korespondować. Ruta przyobiegała, że odpisze i że czasem wyślą mu na papierosy.

- A jak kupię w kantynie bibułkę i tytoń, to jeszcze lepiej mi wyjdzie, na więcej będę miał... - rozmarzył się Ziutek, przechylając głowę na oparcie. Niewiele mu brakowało do szczęścia. Byle ten tytoń w więziennej kantynie...

Brama zakładu w Grudziądzu była wysoka, szara i pełna różnych zamknięć. Dzwonek obwieścił ich przyjazd, Ziutek wszedł za bramę i pożegnał się, prosząc jeszcze raz, by odpisywali na jego listy. Dopiero gdy brama się zamknęła, Ruta poczuła ulgę:

- Co za przygoda! Takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę...

- Zdarzają, zdarzają, i to jeszcze gorsze. Ale za to mamy mieszkanie, na Bielanych, samodzielne, jutro rano pojedziemy po farby.

Malowanie ścian zajęło im trzy dni. Trzeba było jakoś zwalczyć te ciemne brązy, pamiętające jeszcze Jaśkę-nieboszczkę. Musiała mieć jakieś specyficzne zamiłowanie do tych kolorów, a może po prostu uzewnętrzniała w ten sposób mroczność swojej duszy? Ziutek pozwolił wyrzucić z mieszkania wszystkie jej rzeczy.

- Jak wrócę, to przynajmniej nie będzie po niej śladu - tak powiedział. Więc w czasie, gdy kolejna warstwa białej farby schła, oni wynosili w workach i kartonach ubrania i przedmioty Jaśki, których na szczęście wiele nie miała. Ruta zostawiła sobie po niej kolorową parasolkę z drewnianą rączką. Mimo że wyglądała na całkiem starą, miała w sobie jakiś czar. Ta parasolka spędziła z Rutą resztę swojego „parasolczego” życia, dopóki nie rozleciała się podczas huraganu Emma, który w marcu 2008 roku nawiedził Polskę. Ruta miała wtedy swoją pierwszą wystawę prac, w jednej z łódzkich galerii. To było jednak dużo później, gdy wspomnienia toruńskiego mieszkania i miłości z Markiem pokryły się już patyną czasu.

Wtedy jednak Ruta żyła urządzaniem ich wspólnego gniazdka. Po kilkudniowym remoncie zapuszczone i ciemne mieszkanie nabrało zupełnie innego charakteru. Zrobiło się... nawet przyjemne, meble wyszorowane płynem i wywoskowane pachniały czystością, a nie kurzem, na podłogach spoczęły dywaniki, a w oknach zawisły firanki, zakupione w

szmateksie. I dopiero wówczas poczuli, że są na swoim i mogą zacząć realizować całkiem nowe, wspólne życie.

Niedługo cieszyli się tym spokojem, bo pewnej nocy usłyszeli jakieś chrobotanie w kuchni.

- To chyba myszy - wyszeptała Ruta i bosą pobiegła w kierunku, skąd wydobywały się tajemnicze dźwięki. Zostawiła na podłodze kawałek żółtego sera i poszła spać. Na drugi dzień sera nie było. Zatem - to myszy!

- Ale pewnie są takie malutkie, milutkie, a może to nawet jedna tylko myszka, to będziemy ją dokarmiać, co? - zapytała Marka, który do pomysłu hodowli gryzonia odniósł się raczej bez entuzjazmu.

Ruta zdecydowała jednak, że będzie dokarmiać szarą istotkę i robiła to aż do momentu, kiedy którejś nocy poszła do łazienki, a spomiędzy jej nóg wypadł wielki gryzoń, który na jej widok zręcznie wślizgnął się pod wannę.

- Marek, my tu mamy szczury! - krzyknęła z paniką w głosie. Bo to był szczur najprawdziwszy, nie żadna tam szara myszka, amatorka serka. I od tej chwili rozpoczęło się prawdziwe polowanie, wspierane pułapkami kupowanymi na bielańskim ryneczku. Nie była to walka łatwa, bo zwierzęta wchodziły do mieszkania również przez rurę klozetową, trzeba więc było stale zamykać klapę i stawiać na niej coś ciężkiego. Ale nie zawsze zamykanie było możliwe, choćby w chwilach, gdy korzystało się z ubikacji zgodnie z jej przeznaczeniem. Wtedy... należało śpiewać albo głośno mówić, bo szczury bały się hałasu.

Pułapki z czasem przestały skutkować, gdyż szczury, okazując swoją przyrodzoną inteligencję stadną, szybko się nauczyły, że tego drewnianego przedmiotu, choć wyposażonego w pyszne jedzonko, należy unikać - Marek postanowił więc zamurować ich kryjówkę pod wanną, a do zaprawy, zgodnie z radą starszych mężczyzn, sprzedających na rynku, dodał potłuczonego szkła i tym ostrym lepiszczem zalepił wreszcie dziurę, w której znikwały szczury.

Pomogło. Szczury przestały być już lokatorami tego dziwnego mieszkania na parterze, na jednej z bielańskich ulic.

Zaraz po obronie pracy i zdobyciu tytułu magistra Ruta doszła do wniosku, że musi wracać do siebie, na Mazury, by zająć się mamą.

- Nie mogę jej zostawiać bez opieki. Skończyłam studia, teraz mogę być z nią - tłumaczyła Markowi.

Marek... Chyba rozumiał, zresztą nie czuł się najlepiej w Toruniu, gdzie wciąż jeszcze na ulicach spotykał ludzi, którzy znali jego przeszłość. To chyba właśnie dlatego tak szybko

podjął decyzję o wyjeździe na Mazury, do nowego świata, do nowego domu. I ten świat przyjął go z ufnością, a on zadomowił się w nim nader chętnie. A późniejszy wyjazd do Torunia był już tylko podróżą sentymentalną, pozbawioną jakichkolwiek marzeń o powrocie. Szkoda tylko, że ta ich podróż miała taki smutny finał.

Rozbawieni i najedzeni, włączyli telewizor. Leciał jakiś program informacyjny. Ruta jeszcze raz zadzwoniła do mamy. Głucha cisza w słuchawce przyniosła niepokój.

- Gdyby wieszala pranie, to już by skończyła... Może zatem poszła gdzieś? - mruzczała pod nosem, ale do serca zakradał się podstępnie jakiś lęk, mówiła o nim „zajęczy”. Taki nieuzasadniony, niewytłumaczalny zupełnie pozbawiony namacalnych podstaw. A jednak... Wtedy pojawiła się...

- Marek, mama nie odbiera telefonu, a mówiłam jej, że będę dzwonić. Nie podoba mi się to, zaczęłam się denerwować - powiedziała, wchodząc do pokoju, do siedzących na kanapie Marty i Marka.

- Na pewno wyszła gdzieś, nie martw się na zapas - pocieszył ją.

- Pewnie masz rację, ale mimo wszystko mam jakieś złe przeczucia - tylko nieco uspokojona wróciła do kuchni, by pozmywać po posiłku.

Telefon milczał późnym wieczorem, a potem w nocy. Ruta chciała poprosić ciotkę, by pojechała i sprawdziła, co się dzieje z mamą, ale przypomniała sobie, że tamta jest w sanatorium. Ów zajęczy niepokój przybierał na sile, nie pozwalał na spokojny sen.

- Marek, nie mogę sobie poradzić. To się wcześniej nie zdarzało, żeby mama tak zamilkła, nie dawała znaku życia. To zupełnie nie w jej stylu, ona dotychczas zawsze była taka poukładana, obliczalna. Musimy jak najszybciej wracać do domu - zdecydowała o czwartej nad ranem, zmęczona przewracaniem się z boku na bok, z piekącymi od braku snu powiekami.

Pojechali pierwszym porannym pociągiem, żegnani przez zawiedzioną zbyt krótką wizytą Martę. Ruta jednak na nic już nie zwracała uwagi - wiedziała, że musi wracać, nawet smutna mina przyjaciółki nie zdołała jej powstrzymać.

Pociąg prowadził ich przez zaspane jeszcze nieco miasta i miasteczka. W przedziale siedzieli z nimi wymięci snem ludzie, dojeżdżający o tej porze do pracy z miejscowości do miejscowości. Było zimno i szaro, a Rucie wydawało się, że ta szarość pociągów powstała po to, by docenić świat przemykający za brudnymi szybami, ociążałymi od ludzkich oddechów. Poganiała czas myślami, by płynął szybciej, by szybciej pozwolił jej dotrzeć na miejsce. Dlaczego nie pojechali samochodem?! Byliby już pewnie w domu. Ale golf Marka stał zepsuty u mechanika. Do odbioru w przyszłym tygodniu.

Ruta wielokrotnie próbowała jeszcze zadzwonić do domu, jednak w słuchawce niezmiennie trwała cisza.

Na szczęście już Iława, po niej Ostróda, Olsztyn. Nareszcie. Teraz autobus do domu. Trzeba czekać czterdzieści minut. Marek zgłodniał, kupił sobie zapiekankę na dworcu. Słynne dworcowe zapiekanki... Trudno powiedzieć, kiedy rozpoczął się czas tych olsztyńskich zapiekanek. Ale chyba była to końcówka lat osiemdziesiątych. Tak, bo wtedy Ruta jeździła z mamą do Olsztyna, mama zawoziła tu jakieś dokumenty i podczas jednej z takich wypraw kupiła córce srebrne kolczyki. I pozwoliła jej przekłuć uszy! Więc... Tak, to był na pewno 1987 rok! Zatem ta budka z zapiekankami stoi tu już ponad dwadzieścia lat! Jak ten czas płynie!

Wspomnienie mamy zakłuło w serce. Co z nią, dlaczego nie odbiera telefonu? Tamta awantura z Serafiną... Może mama zasłabla i zabrało ją pogotowie?

Dworzec w rodzinnym miasteczku, taksówka i dom - ponury i szary. Trudno było Rucie stwierdzić, czy naprawdę kochała to miejsce. Czy to był prawdziwie jej dom... Bała się go, że napadnie ją krzykiem Serafiny, czuła się pod jego dachem śledzona, obserwowana, a teraz, gdy sąsiadka poznała przeszłość Marka, Ruta miała prawie pewność, że dotąd stała dopiero w przedsionku piekła.

Klucz zazgrzytał w zmarzniętym zamku, Marek został w tyle, niósł bagaże, a Ruta wbiegła z drżącym sercem po schodach. Z lękiem przekręcała kolejny klucz, już do mieszkania, otwierała ciężkie, drewniane drzwi.

Po czym wolno weszła do środka...

Marek, stojąc na dole schodów, usłyszał nagle cichy, bezradny jęk. Być może tak właśnie jęczy uderzony przez ciężkie auto kot, uwięziony jeszcze w ciele, który musi przejść siedem razy przez śmierć, by odejść całkiem do kociego raju, miauczy więc zniewolony. Jęk Ruty brzmiał jak zniewolenie. Wyrokami życia...

*Kto lepi dziecku śmierć z szarego chleba, który twardnieje,
albo zostawia ją w ustach, jak ziarnko po pięknym jabłku?*

- Pójdę na strych, wyniosę tam te wszystkie rzeczy, które nie pozwalają mi spać. Nie będę robić mauzoleum, bo zwariuję. Nie chcę ich widzieć, pamiętać. Naprawdę, trudno mi z nimi przebywać pod jednym dachem... - oznajmiła któregoś niedzielnego ranka Ruta, porzucając ciepłą pościel, zupełnie nieprzydatną, bo nie kołysała już i nie odbierała złych myśli. A przede wszystkim nie dawała snu.

Życie Ruty podzieliło się teraz na dwie części. Na tę, gdy żyła jej mama, oraz na tę osamotnioną, pojedynczą, skażoną czasem pożegnań...

Kiedy Ruta po ich powrocie z Torunia tak głucho i rozpaczliwie jęknęła, Marek wbiegł po schodach i zobaczył jej pochyloną w progu kuchni postać. Nie widział na razie leżących w przejściu nóg w brązowych rajstopach, rozrzuconych na boki kapci i zastygłej twarzy chorobliwie szczupłej kobiety, która była matką Ruty. Dopiero gdy wszedł dalej, już z innej perspektywy zobaczył zastygłe, szare ciało, nad którym lekko unosił się dziwny zapach nieuchronności. W domu było zimno, brakowało ciepła, bo nikt nie zadbał o nie. Może dlatego ów zapach nie pchał się nachalnie w nozdrza, tylko był jak cień tamtej dawnej kobiety, która odeszła nagle, cicho, bez świadków jej ostatnich słów, myśli, gestów.

Marek nie silił się na współczucie, nie podnosił z klęczek załamanej i zapłakanej Ruty, bo wiedział, że ból musi wyboleć i że teraz, na tych klęczkach, Ruta żegna swoją mamę. Gdyby chciał teraz ją wyprostować, podnieść, byłby to gwałt na jej rozpaczy...

Poszedł do przedpokoju, gdzie stał na stoliku telefon. Wybrał numer pogotowia i policji, zachowywał się jak automat, jego uczucia tętniły tylko w środku, na zewnątrz musiał być dzielny i twardy, bo Ruta stopniowo miękła, znikająca, jak posypana solą bryła śniegu. Ona - posypana była solą łez, zapadała się we własną rozpacz, wyrzuty sumienia, że wyjechała, że zostawiła matkę samą, że pozwoliła na to, by tamta z dołu znów wtargnęła w ich prywatność.

Marek nie reagował, gdy Ruta dzwignęła się wreszcie i zbiegła po schodach z jakimś obłędem w oczach. Słyszał tylko, jak dopadła drzwi tamtej i jak krzyczała, obwiniała Serafinę, przy skrzekliwym akompaniamencie słów tamtej, które jednak milkły stopniowo, gdy docierało do niej, że sąsiadka umarła. Potem nie było już słycać tego skrzeku, tylko

jakiś obcy zupełnie głos Ruty, o brzemieniu, jakiego Marek nie znał nigdy przedtem. A potem płacz i szloch, przeciągły i bolesny, i głosy na dole korytarza, na których powitanie Marek wyszedł z mieszkania, nie wiedząc do końca, jak się zachować. Przyjechała policja, potem pogotowie. Lekarz próbował uspokoić Rutę, odciągając ją od drzwi Serafiny. Na górze zaordynowano jej zastrzyk uspokajający, po którym usiadła na kuchennym krześle i kołyszając się jednostajnie, pozwalała na te wszystkie zabiegi ogałające jej matkę ze spokojności śmierci. Marek przez chwilę wyłapał w zbolonym wzroku Ruty coś w rodzaju wdzięczności za to, że zajął się tym wszystkim, a jej pozwolił rozpacz tę wykrzyczeć i wypłakać.

Zamkniętą w czarny worek najbliższą Rucie kobietę wynosili z ich domu jacyś obcy mężczyźni, którzy przyjechali tu wezwani przez policję. A potem w mieszanii zapanowała dziwna cisza, gęsta i słona od łez. Ruta poszła do łóżka, by z zamkniętymi oczami, w swoim własnym świecie, powoli oswajać to, co się dziś wydarzyło. Wydawało się to wszystko snem albo nieprzemyślanie wykonaną operacją komputerową. Ruta miała ochotę nacisnąć klawisze swego życia „Ctrl”+”z”, co w klawiaturowym skrócie oznaczało „edycja - cofnij”, by przywrócić stan sprzed jej wyjazdu, bezboleśnie i bez żadnych konsekwencji. By mama powróciła do niej z tego worka, zrobiła obiad, opowiedziała, co w pracy, u koleżanek, ciotki...

Nigdy już tego nie zrobi, nie opowie, nie przygotuje, nie uspokoi córki wzburzonej zachowaniem ich sąsiadki.

Czas Ruty zaczął właśnie pękać na dwie części. Nie na dwie połowy, bo wtedy oznaczałoby to drugą część życia tej samej długości co pierwsza, a przecież przyszłość jest zawsze wielką niewiadomą.

Jaka będzie jej przyszłość w świecie bez matki?

Czas zaczął więc pękać na dwie części, z których ta pierwsza była niespodziewanie, niesprawiedliwie krótka, z czego Ruta zaczęła sobie zdawać sprawę, gdy leżała z zamkniętymi oczami, przykryta kołdrą oddzielającą ją od reszty świata. Próbowwała zmierzyć się ze świadomością, że teraz musi nauczyć się żyć inaczej, od nowa. I swoje rany postanowiła lizać w samotności jak pies, dopuszczając jednak do siebie Marka, który była dla niej prawdziwą podporą.

Zwolnienie lekarskie pomagało jej powrócić stopniowo do stanu jako takiej równowagi. Ruta nie mogła teraz pracować w domu kultury, spotykać się z radosnymi, nieskazanymi śmiercią dziećmi. Nie chciała im nieść tego załamania, dramatu, nie chciała pokazywać, jak bardzo ją boli ta przeżywana w sercu żałoba. To Marek pomógł zorganizować pogrzeb, o którym nie powiadomili Serafiny. Na wszelki wypadek Ruta poszła do niej i z całą złością zastrzegła, żeby ta się nawet nie ważyła pojawić nad grobem jej matki, co Serafina

przyjęła milczeniem. Ale było to milczenie przed kolejną burzą. Nienawiść, gdy staje się sensem życia, trudno jest wytepić. Rozrasta się w człowieku jak perz w ogrodzie.

Marek chodził do pracy, a Ruta zostawała sama w domu. Przez pierwsze dni przekładała tylko z miejsca na miejsce rzeczy mamy, jakby w tym przekładaniu szukała ostatniego słowa, ostatniej myśli. Znalazła na stoliku nocnym rozsypaną nitroglicerynę, co wyjaśniało, że przyczyną śmierci był zawał. Potwierdziła to zresztą sekcja zwłok, której nazwa jest brutalna i pozbawiona współczucia. Taką nazwę wymyślił pewnie człowiek, któremu nie odszedł nikt bliski... W przeciwnym razie wiedziałby zapewne, że sekcja zwłok kojarzy się z bezdusznym krojeniem na części, dzieleniem na dobre i złe sektory i szukaniem tego najgorszego, który sprawił, że reszta sektorów umarła. Sam wyraz „zwłoki” kojarzy się z bezkształtnym workiem, takim, w jaki zapakowano mamę Ruty. A przecież to było ciało, które jeszcze niedawno żyło, pulsowało marzeniami i strachem, a przede wszystkim miłością... Nie może być ot, po prostu, zwłokami! Ruta nienawidziła tych słów, które wypowiadali jednak ludzie z jej otoczenia, a przede wszystkim ciotka, opowiadająca całej rodzinie z osobna o tej tragedii...

Ruta nic nie mówiła. Bała się użyć słowa: mama. Nie przechodziło jej przez gardło. Bo nie miało już odzwierciedlenia w rzeczywistości. Nie było już mamy, nie było o kim tak mówić, bo żadna opowieść nie zastąpi spotkania z prawdziwą osobą. Dopiero z czasem Ruta się nauczyła, że wspomnienie jest również formą spotkania, i zaczęła wspominać zmarłą, opowiadać o niej. Ale wtedy... Nie pozwalała swoim myślom biec w tym niebezpiecznym kierunku. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, toczyła bolesność i osamotnienie, o wiele większe niż tamto, gdy umarł jej tata. Bo wtedy była mała, wielu rzeczy nie rozumiała, a teraz tkwiła już w dorosłości i to bolało bardziej.

Takie są smętne, wieczorowe dramaty:

Postaci zrodzone w jasne dni

Szukają gdzieś drogi donikąd...

Ruta całymi dniami malowała obrazy. Naciągała płótno na blejtram, wykladała pędzle i farby i oddawała im swoje emocje, ale wciąż nie mogła znaleźć języka, jakim nazwie swój stan ducha. W kącie lądowały kolejne nieudane próby, które wieczorami zamalowywała białą farbą, by dać im jeszcze jedną szansę. Towarzyszyła jej przy tym myśl: A gdyby tak móc zobrazować nienawiść, to jak by ona wyglądała? A gdyby móc zobrazować smutek, boleść - to co by to było?

Nienawiść? Czy można zobrazować nienawiść w całym jej istnieniu niszczącym ludzkie serce? Ta nienawiść toczyła teraz serce Ruty, bała się wprawdzie do tego przyznać, bo nienawiść jest oznaką słabości, ale czuła, że ma ją już w krwiobiegu. Wiedziała, że łatwo poddać się szaleństwu nienawiści, jak ci z obrazu *Podpory społeczeństwa* Georga Grosza. Mimo iż nieco humorystyczne, to karykaturalne dzieło jest dowodem na wojenne dramaty, jakich doświadczyli ludzie zostawieni sami sobie. Bohaterowie płótna, w tym jeden z nich ze swastyką na krawacie, zarażeni nienawiścią, poddawali się jakiemuś szaleństwu. Tak właśnie może wyglądać nienawiść. Jak szaleństwo, a może jeszcze bardziej mistycznie, jak z obrazów Williama Blake'a, który był nie tylko intrygującym poetą, ale i fascynującym malarzem, szafującym starotestamentowym natchnieniem. A przecież bohaterowie tamtego czasu również brodzili w nienawiści, spotykali się z nią, czasem żebrząc o wybaczenie, z przestraczem w oczach, jak Blake'owski *Nabuchodonozor*...

A boleść? Czy można namalować ją tak dosłownie, jak zrobił to barokowy Rembrandt, który na tajemniczym, zasnutym mgłą płótnie *Powrót syna marnotrawnego* zamknął cały dramat nieprzespanych dni i nocy ojca oraz upokorzoną życiem pychę syna? Widać ogoloną do skóry głowę syna - więźnia, i nikt na płótnie nie cieszy się z jego powrotu. Jest tylko powaga i smutek, ale w geście ojca jakieś przygarnięcie mimo wszystko, bo z jego boleścią wygrywa jednak miłość... Czy tak właśnie wyglądają boleść i wybaczenie, które każe nam sięgać po kolejne krople życia z nadzieją i ufnością, z miłością do życia, które czasem bywa marnotrawnym synem?

A może namalować boleść jak John Everett Millais, preraphaelita, który w swojej *Ofelii* pokazał całą nieszczęśliwą miłość, a jej pływające na powierzchni wody martwe już ciało obsypał kwiatami. Krwiste maki oznaczają śmierć Ofelii, krwawią jak te na Monte Cassino, a białe róże i stokrotki mówią o jej młodości i niewinności. Rozrzucone fioletowe bratki to jej myślenie o kimś w chwili śmierci, połączenie duchowe, myśl ostatnia o nieodwzajemnionej miłości. Czy można symbolami kwiatów ukazać boleść?

A może boleść pokazać kilkoma pociągnięciami pędzla, bez dbałości o detale, takie jak bibułkowe płatki kwiatów, szelest wody, ciszę karminowej szaty, milczenie Rembrandtowskiej mgły? A może tymi właśnie pociągnięciami krzyknąć o niej, jak zrobił to Oskar Kokoschka w *Narzeczonej wiatru*, na której kobieta, czyli fatalna wdowa Alma Mahler, porzucająca swego kochanka, to tylko kilka zaokrąglonych gestów, mocnych i dojrzałych, zaplatających się w krągłość bioder i płynność włosów? A obok leży rozpadająca się postać kochanka, który wie już o niepewności uczuć, którego fatalna miłość sprawia, że boli serce wypełnione żalem. I nic nie można już zrobić, bo odejście Almy jest nieuchronne, w tej zaskakującej męskiej kruchości trzeba mu się z nim pogodzić... Na płótnie mroczność barw, w których przeważa niebieski, pokazuje brak słońca, bo boleść jest przecież ciemniejszą stroną życia, otoczoną niebieskim cieniem, jak pozbawiony światła przedwieczór...

Tak, boleść można wyrazić kolorem! I to niekoniecznie czarnym, żałobnym, a sięgnąć do całej gamy kolorów zsyłanych przez świat, gdy ten odchodzi w ciemność przed burzą, wichurą lub śnieżycą i poddaje się wyrokowi żywiołów! Czyż tak samo nie poddaje się ludzkie życie wyrokowi przeznaczenia?

Ruta wiedziała już, jakie epitafium namaluje teraz swojej mamie, jak oswoi się z jej odejściem...

Malowała, chcąc oswoić swoje uczucia, może je nieco stępić, jak narkozą podawaną poprzez pędzel i farby... Malowanie owo trwało kilka dni, Ruta kładła się do łóżka zmęczona i wstawała rano, podsycana energią swojego dzieła, pragnąc znów zupełnie bezwolnie poddać się tej narkozie. Malowała ten obraz w zapamiętaniu, w drzeniu jakimś, obcym jej od czasów studiów, czując, że obrazem tym oswaja swój bezmierny smutek i walczy z zastygającą w sercu nienawiścią do starej kobiety, która drobnymi krokami niszczyła jej życie. Jak kropla, która draży skałę. Dojrzało w Rucie przekonanie, że jeśli chce ocalić swoje życie, powinna się wyprowadzić, że teraz czas daje jej znak, by sprzedała to wszystko, o co zabiegła jej matka...

Mijały dni i noce, a Ruta powracała do swojego obrazu, kryjąc go pod bezpiecznym płótnem. Schowana w swojej boleści, nie dzieliła codzienności z Markiem tak bardzo, jak on tego oczekiwał. Marek jednak rozumiał jej zamknięcie przed światem zewnętrznym i twórczy

niepokój, bo wiedział, że Ruta tworzy teraz coś szczególnie ważnego w swoim życiu.

I kiedy minęło wiele dni i nocy, Ruta poszła na chwilę do swojego zamkniętego na klucz panińskiego pokoju, przerobionego teraz na pracownię, i po chwili zawołała Marka. Wszedł, czując wyjątkowość tej chwili, jej drzenie i nieuchwytność, patrzył na sztalugę zasłoniętą szarą materią, którą Ruta, podnosząc wolno palce, nie mówiąc przy tym ani słowa, zrywa nagłym i zdecydowanym gestem.

Zobaczył...

To płótno, a na nim... tężejąca w kamiennym grymasie twarz kobiety o rysach zmarłej matki. Kamień odbiera jej oto wszelki ruch, oddech, drzenie, jak na obrazie Luki Giordana, na którym Perseusz odbija Fineusowi Andromedę i zamienia wszystkich w kamienie. Ruta uznała, że właśnie zwykły szary kamień, jakich pełno wokół na okolicznych polach, może być symbolem nienawiści. „Kto pierwszy rzuci kamieniem?” - powracało uparcie to pytanie, gdy myślała o tych, którzy zawinili, których trzeba osądzić. Kamień... Tak, ze wszech miar nadawał się do tego...

Obok postać drugiej kobiety, demonicznej, z szaleństwem w oczach, w długiej szacie, która nasuwała skojarzenie biblijne, jakby usadawiała tę kobietę w kręgu Starego lub Nowego Testamentu, jednak szata jej była brudna i zakrwawiona. Zła kobieta ciężką kamienną ręką dotyka kobiety o twarzy Krystyny. Pod tym dotknięciem ofiara stopniowo zamienia się w kamień, staje się w niego zaklęta, nim zniewolona. A z tyłu, za kobietami, zupełnie jak u Salvadora Dali, wisi zatrzymany zegar, który jest jasnym symbolem - czas oto staje się zaklęty w kamień razem z tą kobietą o twarzy Krystyny. Czas się zatrzymuje. I już nigdy nic nie będzie takie samo...

I zobaczył całą wielkość żalu Ruty, nieme oskarżenie wysłane w kierunku jej życiowej oprawczyni, z ciemnoniebieskich plam na płótnie wyczytał wyrok. Serce Serafiny, skażone nienawiścią, nie było zdolne do niczego innego, jak tylko do zadawania bólu, zarażania tą bolesną chorobą wynikającą z lęku i kompleksów.

Zamilkł. Nigdy wcześniej nie widział u Ruty takiego obrazu. Widoczki, pejzaże, jakieś dolinki i twarze - to wszystko składało się na twórczość dość lekką, mimo zdarzającej się ciężkości barw i faktury. A teraz... Symbolika każdego szczegółu, ból kamieniejącej twarzy i szaleństwo w oczach postaci w brudnych biblijnych szatach. To sprawiło, że czytał ten obraz jak wiersz, jak bolesny list córki do matki. List, który nigdy nie zostanie wysłany...

- Ruto...

- Tak? - zapytała krótko, jakby w gotowości do odpowiedzi na jakieś banalne pytanie.

- Ten obraz... Jest niezwykły...

- Dziękuję - powiedziała krótko, odkładając szare płótno na krzesło.

- A... te brudne szaty biblijne. Jak to odczytać? Dlaczego u niej... Wiem. A może to symbol hipokryzji?

- Umiesz czytać sztukę...

- Tak uważasz?

- Wiem, że to rozumiesz, jesteśmy pokrewnymi duszami. Bo sam nie chciałeś żyć w hipokryzji. Nienawiść bywa dzieckiem hipokryzji. Na tym obrazie nienawiść to kamień, bo to ona zamieniła serce w kamień. Ale nienawiść tamtej jest w niej całej. Czego tylko się dotknie, zamienia to w zło. Jak Midas w złoto. Moje serce też jest szare jak kamień. Boję się tego, a jednak nie potrafię sobie z tym poradzić. Mam jej tyle do wybaczenia, a wciąż drzemie we mnie chęć wielkiej zemsty. Dlatego moje ataki na nią to podjazdowe bitwy, ale nie wiem, która z nas wygra całą wojnę...

*I naraz ciężkie stają się wszelkie nazwy,
Pod ich balastem cierpią łagodne
I obłaskawione rzeczy.*

Już po namalowaniu tego swoistego epitafium Ruta postanowiła wynieść rzeczy po mamie na strych. Nie mogła znieść ich obecności, tego, że one trwają, a jej mama nie.

- Pójdę na strych, wyniosę tam te wszystkie rzeczy, które nie pozwalają mi spać. Nie będę robić mauzoleum, bo zwariuję. Nie chcę ich widzieć, pamiętać. Naprawdę, trudno mi z nimi przebywać pod jednym dachem... - powiedziała pewnej niedzieli, chcąc ów pogrzeb przedmiotów zrobić w obecności Marka.

Popakowała do wielkich kartonów ubrania, książki, biżuterię, winylowe płyty, gromadzone przez lata w przepastnym biurku, jakieś stare zeszyty z przepisami i stare ściągki szkolne przechowywane z wielką pieczołowitością w podłużnym kartonie po galaretkach w czekoladzie. Przekładała przedmioty ubraniami, jakby otulając je na ewentualne chłody panujące na strychu. Robiła to wolno i troskliwie, jakby chodziło o żywe istoty. Zakleiła pudła szarą taśmą i poprosiła Marka, żeby to wszystko pozanosił na strych.

- Ja to potem sama uporządkuję. Tylko mi wnieś na górę. I zostaw mnie z tym wszystkim samą - powiedziała cicho. Marek widział, że miała łzy w oczach, to był przecież kolejny pogrzeb w jej życiu.

Na strychu panował ład i porządek, który zaburzyły nieco te szare pudła, ale Ruta już szukała dla nich dobrego miejsca, by nie dopadł ich czerstwiejący kurz. Otwierała jakieś szafy i komody, zaglądała pod blaty wysłużonych stolików. Pod jednym z nich, przykrytym brudnym obrusem, zobaczyła niewielkie drzwiczki w ścianie. To byłby idealny schowek na pudła! Nie zakurzą się, a dodatkowo przykryje je przecież obrusem! Odsunęła więc stół od ściany i drzwiczki pokazały się w całej okazałości. Chwilę powalczyła z zardzewiałą maleńką kłódką, a kiedy zobaczyła, że jej zmagania są daremne, poszła do piwnicy po nożyce do metalu i, choć z trudem, przecięła w końcu tę kłódeczkę, do której kluczyka nawet nie próbowała szukać.

Wsunęła dłoń w czeluść, chcąc sprawdzić, czy odkryta właśnie komórka jest zupełnie pusta i wystarczająco duża, by wstawić do niej pudła. Ciemność, jaka panowała we wnętrzu

schowka, nie pozwalała jej jednak na dokonanie właściwej oceny. Postanowiła więc przynieść latarkę. Widząc chodzącą tam i z powrotem Rutę, Marek zapytał, czy aby wszystko jest w porządku, i czy nie potrzebuje jego pomocy. Gdy zapewniła go, że nie ma powodu, aby się o nią martwić, wrócił do obiadu, który przygotowywał dla nich dwojga ze szczególnym poczuciem misji, bo gdyby nie on, Ruta pogrążona we własnym świecie i rozmyślaniach w ogóle zapomniałaby o jedzeniu.

Wzięła latarkę z dolnej szuflady w kuchni i wróciła na górę. Jasny snop światła rozjaśnił czeluść ukrytą w ścianie i Ruta zobaczyła wewnątrz maleńkie półeczki, na których stały jakieś stare książki, sądząc po okładkach - religijne. To były jakieś protestanckie książeczki do nabożeństwa. Nic dziwnego, przecież przed wojną były tu Prusy Wschodnie! Ruta wyciągnęła książeczki jedną po drugiej, zimne, zakopcone ciemnością, jakby niewidome od tych lat spędzonych w skrytce. Odłożyła je na bok i wróciła po przytargane przez Marka kartony. Próbowała wstawić pierwszy z nich, ale nie chciał przylegać do ściany, coś wyraźnie przeszkadzało. Wyjęła więc karton z powrotem i dokładniej przyświeciła latarką, by zobaczyć, co też za przeszkoda uniemożliwia jej realizację porządkowych zamierzeń. W rogu na podłodze dostrzegła jakiś niewielki przedmiot. Było to metalowe pudełko po niemieckich słodyczach. Ruta z zaciekawieniem otworzyła je, wieczko puściło prawie od razu, nie było mocno zardzewiałe, a więc pudełko na pewno nie stało tu bardzo długo.

Na dnie leżał stary zeszyt, taki, w jakim przed laty pisała jej matka, gdy była małą dziewczynką. Jednak to nie jej nazwisko widniało na okładce. Ruta przeliterowała wolno: *Zapiski Fridy Kalińskiej, urodzonej w 1926 roku w Warszawie.*



Z zapisków Fridy Kalińskiej: Broniek powiedział, że pojedziemy na ziemie odzyskane, że podobno tam też jest praca i znajdziemy jakieś mieszkanie. Broniek pojechał najpierw, nam to wszystko jakoś zorganizować. Znalazł pracę w zakładzie, w którym produkowane były jakieś konstrukcje stalowe. W miasteczku we wschodniej Polsce, ponad osiemdziesiąt kilometrów od Olsztyna. Miasto leżało nad pięknym jeziorem, a jego głównym punktem był zamek krzyżacki. To był koniec świata, ja nie chciałam na początku jechać, ale on nalegał, bo miał już przydzielone mieszkanie w domu pod lasem.

Widok na jezioro w przedwojennym Rynie (Rhein) niewiele różniło się od tego, jaki zobaczyła Frida po wojnie. W tym miasteczku miała spędzić wiele trudnych lat.

Pocztówka pochodzi z archiwum Ryńskiego Centrum Kultury

Kim była tajemnicza Frida Kalińska?

Ruta przekartkowała zeszyt, po czym włożyła swoje kartony do komórki, zrobiła skobelek z kawałka znalezionej na zakurzonej podłodze drutu i wróciła ze swoim znaleziskiem do domu.

Pamiętnik Fridy

Dla nas, mieszkających od wielu tygodni w piwnicy, dochodzące wciąż jazgoty i hałasy stawały się codziennością. Ale któregoś dnia w tę codzienność wmieszał się okrzyk alle Menner raus, a po nim niepokojące aber schnell, co oznaczać miało dla mężczyzn przebywających z nami szybkie wyjście na zewnątrz. Mój pierwszy mąż, Jan, wyszedł wtedy na mróz i już więcej nie wrócił. Znalazłam potem jego nazwisko na zbiorowej mogile w maleńkiej wsi gdzieś pod Pniewem, koło Pułtuska. Nigdy nie dowiedziałam się, jak tam dotarł, nie poznałam ostatnich jego ścieżek życia...

A potem... Już po wojnie poznałam Bronisława. Przystojny i czarujący, uwiódł mnie wreszcie, choć trwałam przez kilka lat w żałobie. Dopiero po ślubie poznałam jego drugie oblicze, jakże inne od tego, jakie mi wcześniej ukazywał!

Najpierw ograniczył się tylko do przemocy psychicznej, która nie zostawia przecież widocznych śladów, choć nieraz potrafił mi tak ścisnąć rękę, że siniaki zostawały, zdarzało mu się też tak szarpnąć mnie za włosy, że wrywał pęk. Nigdy nie przyznał się do żadnej słabości, błędu, kłamstwa. Zawsze wina była moja. Nawet gdy pokazywałam mu siniaki, śmiał się, że mam zbyt delikatną skórę i od byle czego zostają ślady odcisniętych palców... Nie byliśmy szczęśliwi. ani ja, ani potem moja córeczka, Władzia, która urodziła się w 1950 roku.

Były wtedy trudne lata powojenne. Pracowałam w księgarni, właśnie tam poznałam mojego drugiego męża, Bronka. Robił takie dobre wrażenie, skończył studia i pracował w znanych Zakładach Przemysłu Metalowego im. H. Cegielskiego. Udało się nam wynająć pokój u jakiejś rodziny, jednak wciąż marzyliśmy o własnym mieszkaniu. Któregoś wieczoru wypił za dużo i wtedy po raz pierwszy poturbował mnie. Te siniaki... Jakby go rozjątrzyły, kazał mi nosić sukienki z długim rękawem, choć było lato, upał, nie było czym oddychać. A potem zaprosił mnie na jakąś kolację u swojego kierownika, kazał kupić lepszą sukienkę, dał mi nawet pieniądze. Nie miałam odpowiedniego ubrania, sukienkę ślubną sprzedałam (była dość prosta, błękitna, nadawałby się na tamtą kolację). Pobiegłam do swojej kuzynki, która

pracowała w Teatrze Roma przy ulicy Nowogrodzkiej. Poszłam do niej i wypożyczyłam jakąś sukienkę, brązowo-białą, oraz buty na eleganckich obcasach. Pierwszy raz poczułam się elegancka. Nie, nie pierwszy. Drugi. Bo na naszym ślubie z Bronkiem też się tak czułam. Poszliśmy na to przyjęcie i Broniek wciąż okazywał mi swoją zaborczość, dokuczał, że wyglądam za ładnie i za dobrze, że zwracam uwagę innych mężczyzn. I potarł mi usta w tańcu, ja pisnęłam tylko cicho jak mysz, ale zaraz zasłonił mi dłońmi usta.

- Co robisz, głupia, chcesz, żeby się zbiegli? - wyszeptał ostro, krzyknął tym szeptem, bo można przecież krzyczeć cicho. Wróciliśmy do domu i wtedy wyrwał mi po raz pierwszy pęk włosów. Za wygląd. Do pracy chodziłam potem w koku, żeby nie było widać, na szczęście włosy były długie...

Jak urodziłam Władzię, dostałam trzymiesięczny urlop macierzyński. Wtedy Broniek poszedł w tango, zaczęło się od picia na pępkowe, mówił, że tak trzeba. Nie zajmował się mną i dzieckiem, a kiedy wrócił po kilku dniach, powiedział mi, że ma syna z inną kobietą, jeszcze sprzed wojny, i że on, ten syn, ma teraz dwanaście lat. Świat mi zawirował i nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. A on kazał mi się cieszyć, że mam pasierba i jestem dla kogoś macochą. Tego dnia straciłam zupełnie pokarm. Kupowałam potem mleko w sklepie, ale Władzia jakoś go nie trawiła, bardzo wtedy chorowała, miała bóle i kolki, i dziwną wysypkę. Lekarz przepisał mi na receptę dziesięć dekagramów mleka w proszku. Władzia lepiej zniósła jedzenie, ale cóż, kiedy mleko się skończyło. Nie mogłam już dostać następnej recepty. Wszyscy moi przyjaciele w Warszawie starali się wtedy o recepty na dziesięć dekagramów mleka, bo to były wtedy takie limity. Broniek w niczym mi nie pomagał. O tamtego syna nie pytałam, a on nie chciał mówić, widać uznał, że powiedział już wszystko, co powinnam była wiedzieć. Mnie ta myśl nie dawała spokoju - jaki jest ten jego syn, czy podobny do Bronka, i ta kobieta... Jaka jest? Zazdrosna byłam, źle to znosiłam, a on się ze mnie naśmiewał, mówił, że zawsze może do niej wrócić, jak ja nie będę się starała, żeby mu było ze mną dobrze, i czasem po rozmowie z nim byłam obolała jak po dobrym laniu.

Skończył mi się urlop macierzyński, chciałam wrócić do pracy, ale co zrobić z dzieckiem? Na żłobek Broniek się nie zgodził, więc zrezygnowałam z pracy, zostałam z córką na utrzymaniu męża.

Nasz pokój, w którym się gnieździliśmy, był brudny i zarobaczony. Tylu pluskiew nie widziałam nigdy w życiu, nawet w czasie wojny! Prosiłam Bronka, żeby coś zrobił, ale on mi powiedział, że skoro siedzę w domu, to muszę się nim zajmować, a pluskwy są przecież częścią tego domu. No i musiałam poradzić sobie sama z tym problemem. Lałam na ściany

denaturat i podpalałam. Tak robili ludzie w czasie wojny. Niewiele to pomagało. Patrzyłam bezradnie na nasz pokój, na dziecko, które spało w wiklinowym łóżeczku (łóżeczko było jeszcze moje, to jedyne, co mi zostało z mojego przedwojennego życia) i właśnie wtedy wpadłam na pomysł, jak ochronić Władzię przed pluskwami. Postawiłam łóżeczko na środku pokoju, każdą jego nogę wstawiłam do naczynia z wodą, a nad łóżeczkiem rozwiesiłam pieluchę. Mała wreszcie mogła spać spokojnie.

Po półtora roku dostaliśmy wreszcie przydział na własne mieszkanie. Przeprowadziliśmy się do niego - był to duży pokój i łazienka. Kuchnię zrobiłam za zasłonką. Wszystko ogrzewaliśmy sami, węglem. Świeżo wyprane pieluchy zaraz się robiły szare od sadzy i pyłu węglowego, oddychaliśmy ciemnym powietrzem. Nie podobało mi się to mieszkanie i kiedy Broniek powiedział, że pojedziemy na ziemie odzyskane, bo tam podobno jest praca i łatwo o mieszkanie, od razu się zgodziłam. Broniek pojechał pierwszy, żeby nam to wszystko jakoś zorganizować. Znalazł pracę w zakładzie, w którym produkowano jakieś konstrukcje stalowe. W miasteczku we wschodniej Polsce, ponad osiemdziesiąt kilometrów od Olsztyna. Dla mnie to był koniec świata, na początku trochę się bałam jechać, ale on nalegał, bo miał już przydzielone mieszkanie w jakimś domu na końcu miasta, pod lasem. Pomyślałam, że może Władzia będzie zdrowsza i, co tam, raz kozie śmierć, pojechaliśmy wreszcie, zostawiłam to brudne od sadzy warszawskie mieszkanie, nie było mi żal.

Dom był ładny, duży, nasze mieszkanie na piętrze, a na parterze jakieś młode małżeństwo, mieli trochę ponad dwadzieścia lat, on pracował na poczcie, a ona nawet nie wiem gdzie, właściwie to nawet nigdy z nią nie rozmawiałam. Na mój widok zawsze odwracała się tyłem. Dziwni jacyś byli, patrzyli tylko na mnie podejrzliwie. On może nawet miłszy, ale ona - całkiem „nieodezwiała”. Któregoś dnia nagle Władzia dostała bardzo wysokiej gorączki i zaczęła się dusić. Męża oczywiście nie było. Zostawiłam dziecko, bo musiałam, pod opieką tej dziwnej sąsiadki i pobiegłam po pomoc. Apteka była zamknięta. Co robić? Gdzie szukać ratunku? Pobiegłam na pogotowie, ale tam nie mieli żadnych lekarstw, a lekarz wyjechał gdzieś do wypadku, takie to były dziwne czasy. Wróciłam do domu zapłakana, bałam się, że mała mi umrze. I wtedy ta moja sąsiadka powiedziała mi, że w miasteczku, niedaleko zamku, mieszka jeden lekarz, który prowadzi prywatną praktykę i ma lekarstwa u siebie. Jej znajomej córka też chorowała i on jej pomógł. Pobiegłam tam natychmiast, miasteczko nie było duże, więc szybko dotarłam na miejsce. Lekarz zgodził się zobaczyć dziecko, ale zażądał ogromnych pieniędzy za wizytę i lekarstwa. Musiałam mu oddać wszystko, co miałam. Zapłaciłam z bólem serca, prawie płakałam, ale po podaniu leku Władzia po jakimś czasie zaczęła normalnie oddychać.

Bronek, gdy wrócił do domu i zobaczył, że nie ma naszych pieniędzy na życie, uderzył mnie w złości, a potem wyżywał się na mnie fizycznie i psychicznie, nie rozumiał, że dzięki temu dziecko przeżyło. Mówił, że teraz będziemy ten antybiotyk jeść na obiad i kolację, skoro tak zarządziłam.

Córka miała wtedy trzy i pół roku, dużo rozumiała, wiedziała też, że nie na wiele nas stać. Słuchała, jak on krzyczał, i płakała. Ja razem z nią. Jak mógł przy dziecku tak mówić? Któregoś dnia poszłam do piwnicy, pogrzebałam w starych rzeczach, stało tam dużo żelastwa jakiegoś i stary rower. Sprzedałam to wszystko w skupie złomu, a potem wyniosłam wszystkie książki do antykwariatu i z tych pieniędzy żyliśmy przez jakiś czas, jakoś więc odpracowałam ten antybiotyk dla Władzi. Żał mi był zwłaszcza jednej - Pana Wołodyjowskiego, bo dostałam ją od mego pierwszego męża, ale trzeba było... Dobrze, że w antykwariacie mi przyjęli.

A potem przejrzałam nasze szafy. Kiedyś na prezent ślubny dostaliśmy komplet kryształowych talerzyków do ciasta i kieliszków do nalewki - sprzedałam je. Miałam dzięki temu na jedzenie na święta i prezent dla Władzi i Bronka. Bronkowi kupiłam krawat, a Władzi kręcącego się bączka. Taką zabawkę. Bronek przyszedł już nietrzeźwy, potem wypił jeszcze całą wódkę z kredensu i zasnął. Po tych smutnych świętach nadszedł Nowy Rok, a zaraz po nim pojawił się w naszym domu ten syn Bronka, Stasiek, już prawie szesnastoletni. Przyjechał, bo podobno zmarła jego matka i babka wysłała go do ojca na ziemie odzyskane, a skoro знаła jego adres, to znaczy, że Bronek cały czas utrzymywał kontakt z tamtą rodziną, choć w tajemnicy przede mną. Przyjęłam Staśka jak swego, ale on dziwny był jakiś, zerkał spode łba na mnie i ojca, mówiłam sobie: że pewnie dlatego, że zmarła jego matka. Bronek w ogóle nie okazał mu uczucia, tylko przyjął jak tego psa bezdomnego. Urządziłam Staśkowi pokoik, kupiłam tanio stary tapczan, stała tam już niewielka szafa, dwa krzesła, dywanik na podłodze. Miał czysto i schludnie, na ile można było, ale Bronek wściekał się, że ma jeszcze jednego darmozjada i bardzo bił Staśka, takim pasem harcerskim, aż na nogach widać było odcisniętą sprzączkę. Stasiek był jeszcze taki chudy, chucherkowaty, a przy nim Bronek to okaz zdrowia. Znosił w milczeniu te baty, ale widziałam w jego oczach jakiś bunt.

Lekarz w przychodni dowiedział się jakoś, że byłam sanitariuszką w czasie wojny, i zaproponował mi domowe zajęcia. Miałam dawać pacjentom zastrzyki, stawiać bańki, a niektórzy nawet prosili, żeby przystawić pijawki, co też umiałam, bo babcia miała nadciśnienie i te pijawki sobie często stawiała, i mnie nauczyła. Zgodziłam się na taką domową robotę, a że przychodnia była niedaleko, to miałam sporo pacjentów i trochę nam tych pieniędzy przybyło. Bronek krzyczał na mnie, że obcy się po domu kręcą, ale ja mu tłumaczyłam, że tak musi być, bo mamy teraz dwoje dzieci. A on, że Staśka to odda do domu

dziecka, bo tyle je i kosztuje go za dużo. Broniłam tego chłopaka jak swego, patrzyłam w te jego zbuntowane oczy i myślałam, że to po nim, po Bronku, ma to spojrzenie, że tacy podobni, tylko Broniek nie chce się przyznać, że są tacy sami, i krzyczy na niego. Na mnie też krzyczał, popychał mnie i niby niechcący zawsze gdzieś szturchnął i uderzył. Czasem miałam wrażenie, że go nienawidzę, po prostu.

Bronisław był dla mnie już obcym człowiekiem, mieszkał w oddzielnym pokoju, niewiele rozmawialiśmy. Było mi przykro, gdy dobrze mówił o innych kobietach, że chodzą ładne i zadbane, w eleganckich strojach, lubił też wysokie, jak moja sąsiadka, na którą zerkał z wyraźnym zainteresowaniem. Ja wciąż milczałam, ale życie mi całkiem obrzydło, było ciężko i biednie. Władzia poszła do szkoły, była końcówka lat pięćdziesiątych, a Stasiek już dorósł i poszedł do pracy, do zakładu mechaniki pojazdowej, miał smykalkę do tego i przecież się kształcił w tym kierunku. Z ojcem się nienawidzili. Raz jeden, raz drugi skakał z łapami, Stasiek też zaczął popijać i ja nie mogłam go przed tym powstrzymać. Wdał się w ojca, choć go nienawidził. Broniek też pił, już teraz bił mnie, nie kryjąc się z tym, raz podarł na mnie halkę, jak chciał się do mnie dobrać po pijaku, odgoniłam go takim kosturem, co stał w przedpokoju, kiedyś Władzia go z dworu przyniosła i tak został. Dobrze, że był ten kostur. Walnęłam, że mało Bronkowi oko nie wypłynęło, wszedł na to Stasiek i lał ojca tym kosturem jeszcze mocniej, aż pijany zwałił się na ziemię i leżał do rana. Nie zaglądaliśmy do niego, bo złego diabli nie biorą. Rano wstał i poszedł do roboty, tylko się trochę w łazience ochlapał. Podziękowałam Staśkowi, że stanął w mojej obronie, a on powiedział, że jak ten pijak jeszcze raz do mnie z łapami skoczy, to go zabije.

Uspokoiliam Staśka, żeby nawet tak nie mówił, bo co sobie sąsiedzi pomyślą, ale on krzyczał, że go ci sąsiedzi wcale nie obchodzą i niech zajmą się swoimi sprawami.

Dziwni byli ci nasi sąsiedzi, Broniek to czasem zagadywał do nich, ale oni do mnie nigdy, ja też milczałam, bo się wstydziałam za męża. Ta sąsiadka miała takie dziwne imię, Serafina, jak anioł jakiś, ale wcale nie była aniołem, młoda, a taka jak stara, wysoka, gruba można powiedzieć, postawna. On, jej mąż, był przy niej jak chłopczyk. Nie była miła, tylko raz, co mi popilnowała Władzi, wtedy, co zachorowała, a tak to raczej nie mieliśmy żadnych innych kontaktów. Oni wciąż chodzili do kościoła, ja też, ale tyle, co w niedzielę, a oni to czasem codziennie. Znaczący, wierzący jacyś byli, ale to się chyba Bronkowi nie podobało. On był wynaturzony, tyle że kiedyś przystojny, a potem tu już bardziej zniszczony, od wódy i papierosów, bo palić zaczął jak smok.

Stasiek był już na swoim, wyprowadził się nawet z domu, bo nie chciał mieszkać z

ojcem pod jednym dachem. I zostałyśmy z Władzią same, córka nie považała nigdy ojca, tylko się go bała, ja też bałam się o córkę, żeby nie zapamiętała takiego pijaka i nie związała się z żadnym do niego podobnym.

Raz pojechałam do Olsztyna, służbowo, bo już pracowałam w przychodni, w administracji. No i Władzia została w domu, ferie były. Stasiak miał przyjść i jej doglądać, żeby ojciec czasem jej nie zbił po pijaku. O tym, co się wydarzyło, opowiedział mi potem Stasiak i Władzia, bo przecież mnie nie było. Broniek nie wiedział, że Stasiak ma przyjść, wrócił z pracy i chciał, żeby mu Władzia podała obiad. Córka posłuchała, bardzo się bała ojca, a potem on wypił szklankę wódki z kredensu. I zaczął do niej ręce wyciągać, bo mu się coś po pijaku pokręciło w głowie. Władzia podobno krzyczała, ale ta z dołu, Serafina, nie przysłała na ratunek. Nie ruszyła się nawet z domu. Na szczęście przyszedł wtenczas Stasiak, jak go o to poprosiłam. Już na schodach słyszał płacz Władzi. Dobiegł do domu, schwycił ojca za klapy i zaprowadził do piwnicy. Tam go pobił dotkliwie, a on, ten Broniek, krzyczał jeszcze do własnego syna, że jest ścierwem, skurwysynem i żeby go piekło pochłonęło i cały ten dom i tych, którzy tu będą mieszkać, i nas i takie złe słowa wypowiadał, że aż nie wiem, skąd w nim tyle było do nas nienawiści. Stasiak też krzyczał, lał go wciąż, to krzesłem, to jakimś żelastwem z kąta, Władzia płakała w domu, ale nie zeszła na dół. A potem podobno, jak Broniek zaczął charczeć, to Stasiak go zostawił w kącie i powiedział, żeby zdychał teraz jak pies, bo ma już dosyć jego i tych lat zmarnowanych. I że mi też życie zmarnował i Władzi.

Broniek zmarł, lekarz mówił, że kilkanaście minut po pobiciu. Nie miał żadnych szans. Nawet jakby pogotowie przyjechało od razu.

Szybko Staśka aresztowali i był proces, Stasiak trafił do więzienia na długo, szkoda mi było chłopaka, bo przecież dla mnie to zrobił, dla Władzi. Jej ten pijak nie zdążył na szczęście nic zrobić, to Stasiak ją uratował. Fakt, że w obronie siostry przyrodniej wystąpił, było okolicznością łagodzącą i może niedługo Stasiak opuści więzienie.

Po jakimś czasie wyszłam ponownie za mąż. Dzisiaj i ten mąż już nie żyje, zmarł szybko, po dwóch latach, na serce. Teraz postanowiłam wyprowadzić się z tego domu, bo samo zło mnie tu spotkało... Myślę sobie, że ta sąsiadka, Serafina (co za imię?!), po prostu kochała się w moim Bronku! On chodził może nawet do niej, bo skoro nie kładł się koło mnie jak mąż, we własnym łóżku, a za nią wypatrywał oczy, to coś musiało w tym być. Może i dlatego wtedy nie zareagowała, nie przybiegła, gdy Broniek, wiedziony na pokuszenie, chciał

Władzi zrobić krzywdę? Może nie chciała zła dla niego? Tak to czasem jest, za złodziejem też najbliższa rodzina obstaje i nie da go ukrzywdzić.

Władzia już prawie dorosła, mało ojca pamięta, bo złe wspomnienia szybko się wyrzuca z pamięci. Słowa moje napisałam ku przestrodze, po to, by opowiedzieć wszystkim o klątwie, którą rzucił na ten dom umierający w gniewie Broniek, zabity przez mojego pasierba, Staśka. Jestem kobietą prostą, niewykształconą, ale wiem, że klątwa to złe słowo, które wchodzi jak cierń w ludzkie serca - tak mi powiedziała pani doktor, z którą pracowałam w przychodni. Tylko wybaczenie może pomóc tym, których zniszczyła nienawiść.

Odchodzę z tego domu szczęśliwa i niech ten przekaz będzie pamiątką po tych, którzy tu mieszkali.

Ruta zamknęła z trzaskiem zeszyt. Klątwa... To o niej mówiła potem Sara, napotkana kilka lat później na kazimierskim rynku. Wtedy jednak te słowa zastanowiły ją, bo niosły odpowiedź na wiele pytań. Słowa wypowiedziane w gniewie, w chwili śmierci... To niemożliwe... Czy to dlatego mieszkanie pod dachem tego domu jest dla niej tak bolesną szkołą życia? I jeszcze ta niespełniona miłość... To by tłumaczyło zachowanie Serafiny, która swoje frustracje leczyła, uprzykrzając życie innym...

*I sprzysięga się wszystko, by nas przemilczeć,
może na wpół jak hańbę, na wpół jak niewyraźną nadzieję.*

Rucie nigdy wcześniej nie przyszło do głowy, że to, co niewyjaśnione, niezbadane, istnieje, i jest tak samo namacalne, jak kwiaty, gazeta, filiżanka herbaty. Że klątwa może się przenosić z człowieka na człowieka jak zwykły katar...

W zapiskach Fridy pojawia się Serafina. Paradoksalnie - jako rywalka autorki zapisków. To dziwne - czy Serafina, z jej wyglądem i zachowaniem, mogła być przedmiotem czyichś uczuć? To Rucie wydawało się niemożliwe, ale... Serafina już wtedy tu mieszkała. Nie pobiegła na pomoc, choć słyszała krzyk dziecka na piętrze. Wiedziała, musiała wiedzieć, że na piętrze mieszka porywczy sąsiad, na dodatek lubiący sobie wypić. Najwyraźniej jednak miała do tego sąsiada słabość. To wyjaśniało jej zachowanie, choć go nie usprawiedliwiało!

Frida była prostą kobietą, może nie pisała zbyt składnie, nie umiała nazwać swoich uczuć, ale w swoich zapiskach zamykała niewątpliwie wszystkie obawy i przeczucia, a Ruta potrafiła je analizować!

Może gdyby Serafina zdecydowała się wtedy pójść na górę, nie doszłoby do tragedii? Ten rozwścieczony Stasiak nie zabiłby swojego ojca, a życie całej rodziny potoczyłoby się zupełnie inaczej? Dlaczego milczała, udawała, że nie widzi, nie słyszy, nie rozumie? W ilu domach rozgrywa się taki dramat za zamkniętymi drzwiami? W ilu trwa milcząca na niego zgoda?

Czy to właśnie wtedy, pod wpływem beznadziejnych i niespełnionych uczuć, w jej sercu zakiełkowała nienawiść do innych ludzi? Niczym nieuzasadniona, która rozpleniała się jak chwast? Czy to właśnie tym milczeniem pokazała swoim dawnym sąsiadom, jak bardzo są jej niepotrzebni? Co było lepsze - tamto jej milczenie czy późniejsze awantury i sądowe rozprawy, które zafundowała Rucie i jej matce? A potem... Choroba Krystyny i śmierć... Kolejna śmierć, za którą Serafina jest współodpowiedzialna... Kim naprawdę jest ta kobieta? Dlaczego tak brutalnie obchodziła się z tymi, którzy żyli wokół niej?

- Jeśli piekło istnieje... - wyszeptwała Ruta, pochylając się nad zapiskami Fridy. Szary, zniszczony zeszyt przyniósł wyjaśnienie tajemnicy tego domu. Gdyby nie umarła mama, nigdy nie zaniósłaby tamtego kartonu na strych, nigdy nie znalazłaby tego zeszytu, bo czegoś

miała szukać w skrytce? Jak wiele zależy od jednego zdarzenia! Potem te zdarzenia zazębiają się, splatają, wzmacniają, popędzają i popychają do przodu, żeby tylko urzeczywistnić pewien plan. Bolesne, że czasem, aby mogło coś takiego się zdarzyć, ktoś musi odejść...

Ciekawe, co potem stało się z Fridą, może jeszcze żyje, co robi jej córka Władzia i kiedy wyszedł z więzienia jej pasierb Stanisław? Ruta zdawała sobie sprawę, iż tylko jakiś niezwykle zbieg okoliczności mógłby sprawić, że kiedyś rozwiąże tę zagadkę i podziękuję za odnalezione zapiski. Bo może dzięki nim zmieni swoje życie. Wtedy właśnie zaczęła poważnie zastanawiać się nad sprzedażą swojej części domu.

- Przestań mówić o jakiejś klątwie, to bzdura - burknął poirytowany Marek, kiedy, skulona w fotelu, przeczytała mu zapiski Fridy. Nie wierzył w to, że klątwa może mieć inne znaczenie niż symboliczne. I że to ona ukształtowała nienawistną osobowość Serafiny.

- Kochanie, to nie jest możliwe, to jest takie... irracjonalne. Przestań w ten sposób ją tłumaczyć. Milczała, gdy na górze rozgrywał się dramat. Nie interesował jej los tamtej dziewczynki ani kobiety nękaney przez męża. To jest po prostu zła kobieta - wyjaśniał szybko, żeby nie dopuścić Ruty do słowa, żeby nie pozwolić jej na żadne zamyślenie, wyciąganie dziwnych wniosków. Ale ona kręciła tylko głową i uparcie powtarzała:

- Nie znalazłam tych zapisków przypadkiem. Rozumiesz? To musi coś oznaczać. A co będzie, jeśli ja z czasem stanę się taka jak Serafina?

- Nigdy się tak się nie stanie. Ty jesteś inna. Dobra.

Przytulił ją do siebie. Kochali się tej nocy, zupełnie spontanicznie, chciwie. Marek - bo tęsknił za nią zwyczajnie, po męsku i od dawna nie czuł jej kobiecej gościnności. Ruta natomiast nie z pożądania, ale po to, by zapomnieć o swoim smutku, który stał się codziennym gościem w jej życiu, i nawet niezwykłość miłości do Marka nie potrafiła go rozpędzić.

Żadne z nich nie wiedziało, że w organizmie Ruty rozpoczęła się właśnie ważna, comiesięczna wędrówka maleńkiej komórki, o której mówi się, że jest największą ludzką komórką, widoczną gołym okiem. Na spotkanie tej wielkiej komórki wypłynęły inne, znacznie mniejsze i ruchliwsze, po to, by stał się oto po raz kolejny cud, o którym marzą bezpłodne pary, zastanawiając się, jak to możliwe, by tak zwyczajnie, bez żadnych przeszkód, komórki te mogły się po prostu połączyć. Niczym dzieci, które chwytają się w kółku graniastym za ręce.

I za chwilę stanie się kolejny cud, bo oto obie różne komórki połączą się, a to, co z nich powstanie, ulegnie podziałowi mejotycznemu, a potem przekazany zostanie materiał genetyczny matki i ojca, i ta zamknięta w nieregularnym kształcie natura będzie już

wiedziała, kim okaże się urodzony za dwieście osiemdziesiąt dni człowiek. Na razie będzie małą zygota, ale już będzie się dobrze zapowiadać. Jako przyszły człowiek.

Była to prawdziwa noc cudów...

A potem Ruta dowiedziała się w gabinecie swojej ginekolog, że jest w ciąży, i ta wiadomość była dla niej ogromnym zaskoczeniem.

- Nie byłam na to przygotowana - powtarzała w kółko jak mantrę, bo napawało ją przerażeniem to nieplanowane macierzyństwo, w tak trudnym dla niej czasie. A Marek tłumaczył jej, że ludzie przecież odchodzą i przychodzą, i że właśnie na miejsce jej mamy przyjdzie ktoś, kto będzie dla Ruty równie ważny i potrzebny.

Od kiedy Ruta przeczytała zapiski Fridy, z większą ciekawością zaczęła obserwować Serafinę. Jakby chciała poprzez tę obserwację wytłumaczyć samej sobie, dlaczego ta starsza już kobieta, po siedemdziesiątce, ma w sobie tyle zgorzknienia, które nie daje jej cieszyć się życiem, może jego ostatnimi przebłyskami. A przecież... Było wiele powodów, dla których można kochać życie. Ruta cieszyła się teraz tym, że będzie matką. Wkładała niedawno zakupioną, za luźną jeszcze sukienkę, w delikatną kratkę i cieszyła się, że niedługo jej sfalowany na brzuchu materiał wypełni się początkowo lekko wypukłą, a potem coraz większą kulka brzucha.

Rozpoczął się czwarty miesiąc jej cichej współobecności z Dzieckiem. Nie miało jeszcze imienia, płci, ale miało zakochanych w nim rodziców. Analizując smutne statystyki dotyczące liczby niechcianych, porzucanych lub zaniedbanych dzieci, to Dziecko miało już na swoim prenatalnym starcie wiele powodów, dla których powinno czuć się „szczęśliwe”.

Marek zaczął mówić o ślubie, ale dla Ruty wciąż było to za szybko po odejściu mamy. Jej brak, zwłaszcza teraz, stawał się dla niej coraz bardziej dotkliwy. Nie miała z kim podzielić się swoją samotnością, bo chociaż był przy niej Marek, wciąż miała poczucie, że on jest przy niej tylko na chwilę, a kobieta, która była dla niej czymś stałym i niezmiennym, już odeszła.

Od śmierci Krystyny Serafina w zasadzie nie rozpętywała awantur, jakby przycichła, ale Ruta nie wierzyła już w jej przemianę. Trudno było powiedzieć, skąd Serafina dowiedziała się, że Ruta oczekuje dziecka. Może grzebała w śmietniku, w którym lądowały puste opakowania po witaminach dla kobiet w ciąży? To jedyne sensowne wytłumaczenie, bo trudno było posądzać tę kobietę o nadprzyrodzone zdolności przenikania ludzkich dusz i... ciał. Dość, że pewnego dnia zaczepiła Rutę na schodach:

- Boga się nie boicie. Pewnie urodzi się wam mały diabełek...

Powiedziała to tak zwyczajnie, swobodnie, jakby mówiła o postawionym na ogniu

garnku z ziemniakami. Ruta zadrżała. Teraz wszystko kojarzyło się jej z ostrzeżeniem Fridy o klątwie. Postanowiła uciąć jej słowa:

- A ty? Boisz się go?! Bo jeśli jest, to na pewno rozliczy cię za twoje milczenie, gdy córka Fridy Kalińskiej była maltretowana przez pijanego ojca!

I pędem pobiegła na górę, widząc jednak kątem oka, jak Serafinę te słowa dotknęły do żywego, wręcz zamurowały.

- Sk...ąd... o tyym wiesz?! - usłyszała jeszcze jej syk. Zatrzasnęła drzwi, przeczuwała jednak, że wspomnieniem o Fridzie i jej córce wsadziła kij w mrowisko. Wyraźnie nie był to ulubiony rozdział z życia Serafiny. Słyszała, jak tamta miota się na dole, jak rzuca garnkami i pokrzykuje na męża. Szkoda, że nie szanowała tego człowieka przez całe jego życie. Szacunek zaczęła dopiero okazywać jego nagrobkowi... Wtedy doceniła jego cichą obecność w jej życiu. Tamtego dnia, jak zwykle, padł ofiarą jej ataku złości, wywołanej przez słowa Ruty. Bo był najbliżej...

Ruta nie wychodziła już tego dnia z domu, obawiając się furii, w jaką wpadła Serafina. Zrezygnowała nawet z wieczornego spaceru z Markiem, którego praca przy komputerze wyraźnie męczyła i który chętnie zgadzał się na piesze wędrówki po miasteczku. Lubił patrzeć na zielone - tak mówił, bo pogorszył mu się wzrok i musiał wymienić okulary na silniejsze. Nazajutrz miał je odebrać od optyka, więc umówili się z Rutą w mieście, zaraz po jego pracy.

Ruta zbiegła po schodach szczęśliwa, że słońce łaskawe i że na pewno wspólne zakupy się udadzą. Że ma przy sobie Marka, z którym było jej po prostu dobrze. Że jest z nią Dziecko, które wprawdzie nie miało jeszcze imienia, jednak tętniło już jej życiem. I tylko myśl o mamie, która odeszła, mąciła ten jej popołudniowy słoneczny nastrój.

Przy bramie przypomniała sobie, że nie wzięła portfela. Został na komódce. Woląa mieć przy sobie pieniądze, zawsze miała swoje, nie lubiła tego męskiego łaskawego odliczania, masz na dziś tyle i tyle, kup coś na obiad i coś dla siebie. Może gdyby nie była taka niezależna, może gdyby tego dnia zrobiła jeden, jedyny wyjątek... Ale nie, wróciła jednak. Otworzyła drzwi na klatkę schodową, poszła na górę, wzięła portfel, potem schodziła po schodach, a tamta już na nią czaiła się niczym rozwścieczony pies, z tym znajomym grymasem na twarzy. Podniosła na Rutę rękę po raz kolejny, uzbrojoną w kij od szczotki, uderzając ją zniecierpliwioną i boleśnie w łydkę, gdy szła schodami na dół. Noga odruchowo uniosła się i zaplątała w poszerzoną lekko na brzuchu sukienkę. Poczula nagle, jak jej ciało bezwładnie opada na stopnie schodów, a następnie turla się po nich, niezatrzymywane przez nic i przez nikogo. A potem ten ból w dole brzucha, początkowo tylko lekko ćmiący, potem

zaś coraz silniejszy, jak skurcz. I ciepło krwi na udach.

Szpitalna cisza, w której od kilkunastu godzin gromadziły się jej oddechy i coraz bardziej przerażone myśli, docierała do niej wolno, jak zamglona postać, która z każdym krokiem pojawiała się coraz wyraźniej, aż stawała się wyrysowana bardzo dokładnie w całej rzeczywistości. Ta cisza nie zwiastowała nic dobrego. Ruta, zmęczona narkozą, po której powinna jednak wypocząć, bo dawała przecież sen, łączyła w całość skrawki tego dnia i powoli docierały do niej obrazy, które nigdy nie powinny się pojawić.

Upadek, twardość schodów i podłogi, jakieś głosy, pogotowie, wezwane, jak się okazało, litościwie przez męża Serafiny. Tak. Wychylił się zza drzwi, z krzyżówką w rękach, Ruta pamięta te czarno-białe kratki na kartkach niewielkiego formatu, trzymane razem z ołówkiem w jednej dłoni, bo opadły potem na ziemię, osierocone przez wstrząśniętego widokiem właściciela. A potem ta karetka, lekarze, Ruta chciała, by powiadomili Marka; w telefonie był jego numer pod pierwszym przyciskiem. Odebrał, powiedzieli, żeby przyjechał, że jadą do szpitala. Zjawił się zdyszany, załamany, blady na twarzy, a ona nie miała wtedy sił, żeby mu opowiedzieć, co się stało, dopiero potem...

Lekarz, pielęgniarki, jakieś odgłosy z sali, strzykawki i ona, przepełniona tylko lękiem o Dziecko, z przecuciami, że oto następuje z nim pożegnanie... Narkoza na chwilę tylko znieczuliła te myśli, które wkrótce pojawiły się na nowo.

A potem to zdanie, że to był chłopiec. Mógł mieć ciemne włosy, brązowe oczy, wpatrzone ciekawie w świat i ludzi, w mamę, tatę, mógł mieć kolorowe spodni, samochodziki na resorach, ulubioną bajkę w telewizji, książeczkę pełną marzeń. Mógł... zaplatać jej na szyi wianek z dziecięcych rączek, w drobnych pocałunkach przekazując całą swoją radość ze świata i istnienia. Mógł... pobiec za uciekającym ślimakiem, sprawdzić, czy żubr ma miękki jak poduszka nos, bać się małych szczeniaków, bo są tak samo nieokiełznane jak małe dzieci. Mógł... kiedyś, nie teraz, bo oto jego życie, zanim się rozpoczęło, zostało przecięte i jego drobne paluszki już nie urosną, a jego fasolkowaty kształt już nigdy się nie wyprostuje narodzinami.

Nie pochowała go w ziemi, jego grób jest tylko symboliczny, zapala jednak znicz swojemu synkowi, którego w myślach nazwała Eugeniuszem, i patrzy, jak ogień chybocze się lekko obok ognia przyniesionego dla mamy.

Policja, zeznania, proces sądowy, bo to było pobicie, nie ukrywała już tego, ale najbardziej bolesne skutki i tak musiała dźwigać ona. Serafina dostała wyrok w zawieszeniu, Ruta nie pamiętała już nawet jaki, bo to wszystko przetoczyło się przez jej życie jak walec drogowy. Marek trwał przy niej, wspierał i doradzał, przeszli razem ten najtrudniejszy czas i

ten wyrok lekarzy - nie będzie miała już dzieci.

Te słowa odarty ją z wszelkich złudzeń, z kobiecych marzeń o ruchach motyla pod sercem, o tym lekkim pukaniu, którym dziecko nawiązuje pierwszy kontakt ze światem. Nic już nie było ważne - ani wyrok sądu, ani kara, jaką jej sprawczyni miała ponieść za koszmar, który zgotowała rodzinie Ruty. W konsekwencji i tak największą karę poniosła ofiara, czyli Ruta, która z każdym dniem coraz bardziej zapadała się w sobie, a codzienne czynności wykonywała automatycznie, bez jakiegokolwiek emocjonalnego zaangażowania. Jak zraniony kurczak, oddaliła się od Marka, i schowana przed nim, postanowiła samodzielnie, bez niczyjej pomocy oprzeć się okrucieństwem losu i stanąć na nogi. Marek nie potrafił się w tym odnaleźć - jego relacje z Rutą znacznie ostygły, straciły tak potrzebny w relacjach kobiety z mężczyzną koloryt. Być może męczyły go również jakieś wyrzuty sumienia, że coś zaniedbał, czemuś na czas nie przeciwdziałał. Dokuczala mu samotność i dziwna bezcelowość, która wdarła się w jego codzienność. Nie chciał za wszystko winić Ruty, bo wiele w ostatnim czasie przeszła, ale... nie potrafił również zdobyć się na surowy rozrachunek z własnymi ułomnościami. Co sprawiło, że wreszcie poddał się, a poddanie to przypieczętował wyprowadzką z mieszkania Ruty, z tego ponurego domu pod lasem, w którym dane mu było spędzić również wiele wspaniałych chwil? To odejście po raz kolejny było dla Ruty dowodem na prawdziwość słów Fridy, zamkniętych w zakurzonych zapiskach. Nikt, kto tu mieszka, nie będzie szczęśliwy. Ruta nie rozumiała, dlaczego jej mężczyzna, tak zwyczajnie, bez wyraźnego dla niej powodu, pewnego dnia po prostu odszedł. Analizowała każdy ich wspólny dzień, każdą rozmowę, jednak nie potrafiła znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia. Podejrzewała, że postanowił wrócić do swojego poprzedniego życia, uznając, że taką rolę przeznaczyła mu opatrność, Bóg. Ruta, mimo że kochała miłością prawdziwą, nie poczuła w sobie nawet krzty sił, by próbować zatrzymać go przy sobie.

Tak po cichu, trochę bezsensownie i niewytłumaczalnie, zakończył się ich związek. Związek, który przetrwał tyle prób czasu, nagle, z jakiegoś nieznanego jej powodu złamał się jak sucha trawa, z kruchym pęknięciem na pożółkłym kolanku.

I wtedy, w przypływie silnej samotności, gdy uświadomiła sobie, że nie da rady funkcjonować w tej rzeczywistości, myśl o sprzedaży części domu powróciła do Ruty kolejny raz. Czowała, że musi to zrobić, że tylko w ten sposób może naprawdę zmienić swoje życie. Jednak jeszcze dwa lata żyła tam, samotna i pogrążona we własnych myślach. Wybrała samotność zupełnie świadomie, w przekonaniu, że jest ona jedynym słusznym w tej sytuacji rozwiązaniem. Każdy dzień godził ją z tym wszystkim, co spotkało ją w ostatnim czasie. Nie spotykała się z nikim, w jej codzienności były tylko dom i praca, w wolnych chwilach książki

i jakieś filmy oglądane na komputerze. Wzajemne kontakty z Serafiną nie istniały już w żadnej formie: ani grzecznościowego dzień dobry, ani głośnych wyzwisk na schodach. Sąsiadka całkiem ucichła, być może wpływ na to miał wyrok, jaki otrzymała, a może po prostu zaczęła dotykać ją starość? Wciąż była jednak twarda i harda, co Ruta zauważała, łowiąc czasem znienacka jej złowrogie spojrzenie. Jednak od dnia rozprawy za pobicie, od słów wyroku skazującego Serafinę, wypowiedzianych na sali sądowej, nie zamieniły ze sobą ani jednego słowa. Aż do dnia wyprowadzki, kiedy to, zamykając za sobą drzwi domu i zostawiając za sobą kilkanaście lat życia, wypowiedziała słowa, o których nie wiedziała, że będą brzemiennie w skutki.

Serafina stała wtedy na progu swojego mieszkania, patrząc na wyprowadzającą się Rutę. Może chciała pożegnać ją niemym spojrzeniem, może przez tą jedną jedyną chwilę dotarło do niej, jaki koszmar zgotowała swoim sąsiadkom przez te wszystkie lata, kiedy tu mieszkały, a potem, gdy mieszkała już tylko sama Ruta. Może to był właśnie ten moment, w którym Serafina przed samą sobą przyznała się do wszystkich win, bo niby dlaczego wyszła wtedy na próg? Jednak Ruta obecność sąsiadki w chwili pożegnania z domem odebrała jako jej ostatni, niemy atak na swoją prywatność, na jej życie, niszczone kropla po kropli. Kula gniewu podeszła jej do gardła i kazała wypowiedzieć słowa, których potem wielokrotnie żałowała, gdy już zszedł z niej cały gniew, a pozostało pogodzenie się z życiem:

- Pamiętaj, że wszystko, co złego wyrządziłaś innym ludziom, do ciebie powróci. Będziesz cierpieć i dopiero to cierpienie pokaże ci całą krzywdę, jaką wyrządziłaś innym. Będziesz umierać w samotności. Zobaczysz!

Na te słowa Serafina, zaskoczona niespodziewaną agresją młodej kobiety, pobladła i zamknęła z hukiem drzwi, w ustach międląc jeszcze przekleństwa. Ruta wyszła z domu, ale jeszcze na schodach odwróciła się, by ogarnąć ostatnim spojrzeniem szarą bryłę domu...

Dwa tygodnie później zmarł mąż Serafiny. Na zawał. Człowiek, który nigdy nie skarżył się na serce, który całe swoje życie przepracował w spokoju, stawiając pieczętki na kopertach. Serafina płakała po nim, zaskoczona jego śmiercią, krzyczała, że zostawił ją tak nagle, bezmyślnie. A potem przypomniała sobie słowa opuszczającej na zawsze swój dom Ruty: „Wszystko, co złego wyrządziłaś innym ludziom, do ciebie powróci. Będziesz cierpieć i dopiero to cierpienie pokaże ci całą krzywdę, jaką wyrządziłaś innym”.

Ruta nie sprzedała domu od razu. Skoncentrowała się przede wszystkim na szukaniu pracy i jakiegoś miejsca do zamieszkania. Postanowiła wyjechać do innego miasta, najlepiej w innej części Polski. Znalazła pracę w Krakowie, co było dodatkową atrakcją, bo z miastem tym łączyły ją wyłącznie miłe wspomnienia. Szybko znalazł się kupiec na mieszkanie,

zakochany w Mazurach i starych domach z przeszłością bogaty warszawiak, który za nic miał ostrzeżenia Ruty o przykrym sąsiedztwie. Był to typ człowieka nieznoszącego kompromisów i Ruta intuicyjnie przeczuwała, że on może poradzić sobie z Serafiną. Być może był podobny do Bronka z zapisków Fridy - podobnie jak on silny i zdecydowany na wszystko. Może Serafina po prostu musi się kogoś bać, bo inaczej to czyjś lęk przed nią wyzwala u niej agresję i wrogość? Miał żonę, spokojną i sympatyczną brunetkę o oczach w kształcie migdałów. Podczas podpisywania umowy raczej milczała, z radością patrząc na ściany i podłogi. W tym miejscu kiedyś urodzi się ich dziecko...

Żwirowa ścieżka po raz ostatni poniosła Rutę w kierunku żółtej ciężarówki, wynajętej z innego miasta, by Serafina nie mogła ustalić jej miejsca pobytu. W ten sposób odcinała pępowinę łączącą ją z domem. Wynosiła stąd wiele trudnych wspomnień oraz zakurzony szary zeszyt Fridy Kalińskiej. Jechała na spotkanie z nowym życiem.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że za kilka lat znów przyjdzie jej spotkać się z Serafiną, oglądać ją już z innej perspektywy. Nie sądziła, że kiedykolwiek doczeka się takiej konfrontacji.

Poznanie? Naprawdę poznanie tylko? - Przebaczenie.

Przebaczenie czego? Miłość. Mój Boże: miłość.

- Teraz, jak pani wreszcie się tu pojawiła, to pewnie starsza pani odejdzie. Pani będzie dla niej dobra, zrobi wszystko, o co poprosi. - Pielęgniarka westchnęła, opuszczając pokój w domu opieki na Mazurach.

Dlaczego mam teraz zrobić wszystko, o co ona poprosi? Mam jej po prostu wybaczyć śmierć mojej mamy, lata psychicznego terroru, pobicie, po którym zmarło moje dziecko?! I te wszystkie rozprawy sądowe, donosy, przekleństwa rzucone na schodach. Mam jej to wszystko wybaczyć? Jak? - myśli zmieniały się jak w kalejdoskopie. Raz myślała, że to nie problem powiedzieć: wybaczam, innym razem nie znajdowała na to dość siły.

Pielęgniarka delikatnie zamknęła drzwi. Znów zostały same. Ona - Ruta, trzydziestopięcioletnia kobieta, poraniona życiem i układająca je z tą samą co kiedyś determinacją, i tamta, Serafina, kobieta stara, na łożu śmierci, która dopiero teraz dostrzegła, ile zła wyrządziła innym. I żebrała swoimi woskowymi palcami o wybaczenie...

Ruta wróciła do niej, na skraj łóżka, delektując się ciszą. Serafina trochę się ożywiła, zastrzyk uśmierzył jej ból i ośpienie wynikające z niego dało jej szansę na w miarę normalną rozmowę.

- Ruto. Czekałam na ciebie. Oni do mnie nie przyjdą, wiem o tym... - szeptała. Ruta wiedziała, że mówi o swoich synach, Janie i Zygmuncie.

- Zygmunt mi mówił o testamencie...

- Tak, nie mogą... pogodzić się... - Głos wciąż się rwał, ale rzadziej.

- Więc może...

- W szufladzie jest nowy. Ale nic im nie mów. Dopiero jak... umrę. To niedługo...

- Jednak... może teraz do nich zadzwonić, mam numer do Zygmunta.

- Nie, nie trzeba... Już niedługo... Ja przemyślałam wszystko... Tyle zła, tyle... przez całe życie wyrządziłam... Proszę... Wybaczysz?

- Nie mam siły, naprawdę. Proszę dać mi trochę czasu.

- Ruta, ja... wtedy... Oni mieszkali tam, gdzie wy. Zakochałam się w nim. W Bronku.

- Wiem. Jego żona, Frida, o wszystkim napisała. Znalazłam jej zapiski.

- Ach tak... Pisała?

- Tak, ja wszystko wiem, niech pani się nie denerwuje, to już minęło, proszę się uspokoić.

- Nigdy go nie mogłam mieć. Nigdy! On był... taki silny... Inny niż mój mąż.

- Niech już pani nic nie mówi - wyszeptała Ruta, wycierając łzy chusteczką. Pojawiły się nagle, niechciane.

- Zazdrość, złość...gniew. Przepraszam. Ruto...

- Pani... Serafino - wyszeptała. Nie pamięta, czy kiedykolwiek się do niej tak zwróciła. Może, jak się wprowadzały do tamtego domu?

- To jeszcze nie wszystko...

Ruta spojrzała na nią, bladą jak poduszka, na której leżała.

- Co jeszcze? - zapytała drżącym głosem. Miała złe przeczucia. To była spowiedź Serafiny, wiedziała o tym, że musi jej wysłuchać i po katolicku dać rozgrzeszenie. Choć - nie była przecież katoliczką!

- Jest... jeszcze coś... o czym powinnaś wiedzieć. Tamten k... - zająknęła się i zamilkła. I dodała po chwili: - Tamten mężczyzna, twój Marek...

Na dźwięk tego imienia Ruta drgnęła. Marek. Jej Marek. Miała urodzić jego dziecko. Ileż razy przyjeżdżała na grób swojej mamy i patrzyła na napis na tablicy: „Krystyna, żyła lat 56. Eugeniusz - 2000 rok - wnuk Krystyny”?! Nic więcej. Nie miał lat. Miał zaledwie pięć miesięcy życia prenatalnego. To zupełnie co innego niż pięć miesięcy na tej ziemi. Życie na ziemi ma specjalne przywileje. Jej syn nie ma grobu. To jego mogiła - symbol... Nigdy nie ukołysze swojego dziecka w zaciśniętym ramieniu, a potem nie nakarmi piersią pełną matczynej pokarmu. Nigdy nie spojrzy w dziecięcą twarzyczkę, by zobaczyć, czy oczy ma po mamie, czy po tacie... Nigdy. Słowo-wyrok. Bezlitosne, odarte ze złudzeń.

- Tak? - spytała, patrząc w twarz Serafiny. Tak bardzo chciała, by ta kobieta nie miała nic wspólnego z odejściem Marka!

- To przeze mnie... Powiedziałam mu, że... masz wyrzuty sumienia i jeśli chce ocalić ciebie, powinien odejść. Jeśli... chce ocalić twoją i swoją duszę...

- Nieee - jęknęła głucho Ruta. Przypomniała sobie to nagłe zniknięcie i brak jakiegokolwiek znaku życia. Jakby zapadł się pod ziemię. A ona, głupia, myślała, że to przez to, że nie będzie mogła mieć dzieci! Że stchórzył po prostu, nie mając siły dalej jej wspierać!

Przebaczenie Serafinie, do którego z takim trudem chciała jednak w końcu dojść, teraz oddalało się od niej w zastraszającym tempie. Jak bowiem wybaczyć kobiecie, która poczyniła spustoszenie w jej życiu i na koniec odebrała miłość do tamtego mężczyzny,

uczucie, które jako jedyne dawało jej siły po tym wszystkim, co przeszła? Poczła się jak w wirze, wciągającym ją bezlitośnie, wszystko nagle traciło sens, czuła, że ucieka z niej powietrze jak z przekłutego balonika. I zostawało... tylko to łóżko z leżącą na nim kobietą. Woskową kukłą proszącą o wybaczenie.

- Ale to nieprawda!

-...i żeby cię zostawił... Bo nie jest uczciwy przed Bogiem...

- Nie wierzę...

- To prawda...

- Więc dlatego zniknął z mojego życia, nie wyjaśniając niczego?

- Tak.

Krótkie, lakoniczne „tak”, a dla Ruty cały jej świat, wszystko, w czym pokładała nadzieję.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytała tylko, bezradna, jak mrówka z rozwalonego mrowiska. Znow mówiła do niej „na ty”, mimo różnicy wieku, jak wtedy, gdy walczyły ze sobą. Znow w gardle poczuła kulę gniewu, jak dawniej.

- Z nienawiści...

Owo „z nienawiści” podsumowało teraz całe życie tamtej kobiety, która wisiała nad jej przeszłością jak fatum. Tak oto spełniały się słowa Fridy wyczytane w starym brulionie: *Kłątwa rzucona przez tego, kto ginie w gniewie, działa w miejscu, w którym człowiek ten żył.* On, tamten nieznany jej mężczyzna, ginąc w piwnicy swego domu, rzucił klątwę. Teraz ona, Ruta, przez jakiś potworny przypadek odziedziczyła ją, wraz z ogromem trudnych do przewidzenia nieszczęść. I tylko jej wybaczenie zdoła powstrzymać ciąg następnych zdarzeń, które zniszczą życie kolejnym ludziom, na przykład tamtej kobiecie, co zamieszkała w domu pod lasem. I chce tam urodzić dziecko!

Ruta milczała. Czuła kompletny zamęt w głowie. Pustka w sercu sprawiła, że nie była gotowa na przyjęcie następnych słów Serafiny. A przecież... Tylko takie właśnie puste serce można napęlić nowymi myślami. Jak dzban.

- Ruto... Musisz go odnaleźć, gdziekolwiek jest... Powiedz mu to wszystko... Że to przeze mnie... Musisz... - Serafina chrypiała coraz bardziej, z trudem cedziła kolejne słowa, będące dla niej męką i zmartwychwstaniem.

- Odnajdę go... - obiecała sucho. Nie wierzyła w to, co mówiła, to było takie mówienie dla świętego spokoju, żeby tamta mogła zamilknąć, żeby o nic już nie prosiła.

- Dziękuję. - Serafina westchnęła, opadając na poduszkę. Zamknęła oczy.

Jeszcze nie odejdziesz, nie teraz, nie ma mojego wybaczenia - przemknęło Rucie przez

myśl. Poprawiła kołdrę, spojrzała w okno. Na parkingu stało już niewiele samochodów; prawdopodobnie rodziny już nacieszyły się swoimi bliskimi i wracały na domowe obiady do swoich bloków, w których nie było miejsca na dodatkowe pokoje dla starych matek i ojców.

Wspomnienia o Marku wróciły do niej w naturalny sposób, przywołane tamtym wyznaniem. Kiedy po paru wspólnych latach, po latach oddychania tym samym powietrzem pod tym samym dachem, wyniósł swoje walizki z jej domu pod lasem i odszedł z jej życia, nie zostawiając po sobie nawet listu, nie potrafiła tamtej miłości wykreślić ze swego serca. Ale teraz dowiedziała się, że to Serafina złym, podstępny i bezlitosnym słowem zabrała jej tę miłość jak wszystko inne, co liczyło się w jej życiu. I nagle rwący ból w okolicy serca przypomniał jej, jak blisko jej myśli były przy nim, mimo iż była to trudna miłość. Dla niego, bo nie dla niej...

*(...) Lecz ja odtąd już w nią nie wierzyłem więcej.
Byłem jak oślepiiony, byłem zgorzkniały, bezsilny, pełen
nienawistnych myśli, dzień po dniu dręczony lękiem (...).*

Odwróciła wolno twarz od okna. Mucha brzęczała dokuczliwie - jedyny w pokoju przejaw siły życia. To brzęczenie dawało nadzieję na jutro - mucha nie słabła, a wręcz przeciwnie, jej wigor był z każdym uderzeniem o szybę większy i bardziej desperacki. Ruta otworzyła okno i obserwowała, jak mucha wydostaje się na zewnątrz.

Czasem opłaca się głośno krzyknąć, bo ktoś może cię zauważyć. A ja? Chyba niepotrzebnie milczę i nie robię nic ze swoim życiem - pomyślała.

- Wybacz mi... Wiesz... już wszystko... - odezwała się znów chora z wysiłkiem.

Ruta pochyliła się nad nią. Myślała o tym, czym teraz nakarmi swoją duszę. Czym napelni pusty dzban swego życia? I nagle poczuła ciepło rozlewające się wokół jej serca, które na chwilę przejęło funkcje mózgu i zaczęło sterować jej ciałem i myślami. Błogość, która ją ogarnęła, pojawiła się w jej wnętrzu jak wielobarwny motyl, rusalka pokrzywnik, który każdego sierpnia nawiedzał jej dom. Motyl przysiadł zamyślony na ścianach lub zasłonach, a ona ściągała go litościwie i zwracała mu wolność. Wiedziała już, co powie Serafinie.

Wolno podeszła do chorej, patrzyła na cichość jej oddechu, zamknięte oczy. Nie była już groźna dla nikogo, może tylko dla siebie.

- Wybaczam... - wyszeptwała cicho, nie mając pewności, czy Serafina w ogóle to usłyszy. I nagle wraz z tym słowem spadły z niej wszystkie czarne, złe myśli, poczuła się jak po majowym deszczu, splukana ze zła, które zalegało niczym kurz pod szafą. Wyrzekła się tym słowem swojej dumy, pogrzebała to, co za nią, co najtrudniejsze i najbardziej pokrętne, była jak ten pusty dzban czekający na napelnienie i wiedziała, że oto jej siłą stał się tamten ból doświadczany przez lata.

Serafina otworzyła oczy, chciała się podnieść, wstać i podziękować, ale bezwolnie opadła na poduszkę. Jej oblicze zbladło jeszcze bardziej, zaciśnięte na pościeli palce nie drgały już. Zapadła w letarg milczenia. Ruta widziała tylko strużkę łez płynącą z jej oka.

Pogłaskała Serafinę po włosach i nagle jej serce przepelniła czułość do tej pory

nieznana, jakby opiekowała się bezbronnym pisklęciem.

- Już dobrze, dobrze - szeptała. Serafina zasnęła, twarz miała wreszcie spokojną, wygładzoną, wyglądała, jakby w ogóle nie była chora, i gdyby nie to, że Ruta pamiętała ją jako postawną i wysoką kobietę, można byłoby pomyśleć, że w białej pościeli leży śpiąca, drobna osoba, która zaraz się obudzi i pobiegnie do swoich spraw.

Ruta bezszelestnie wyszła z pokoju.

- Muszę odnaleźć Marka - powiedziała wtedy sama do siebie, po raz pierwszy to postanawiając, choć nie wiedziała jeszcze, jak ma się do tego zabrać. Minęło już... zaraz... Marek odszedł od niej w dwa tysiące drugim roku, a więc... to już siedem lat... Jak ten czas szybko mija! Gdzie go odnajdzie, przecież nie wie, dokąd pojechał, co się z nim działo! Gdy ją zostawił, dwa lata spędziła jeszcze samotnie. A potem...

Ruta opuszczała dom opieki z ulgą. Na korytarzu minęła pielęgniarkę.

- Załatwiła pani wszystko? - spytała tamta z zaciekawieniem.

- Tak. Chyba tak - odpowiedziała trochę od niechcienia.

- Co teraz robi pani Serafina?

- Wydaje mi się, że zasnęła. A czy... jej synowie... może należałoby ich powiadomić, w jakim stanie jest ich matka? Wydaje mi się, że nie wróży on nic dobrego.

- O tak, próbowałam już się do nich dzwonić. Powiedzieli, że może przyjadą, ale ja się obawiam, że to tylko obietnice. Nie wiem, o co tam poszło, czemu unikają spotkania z matką. Może pani ich zna, poprosi?

- Dobrze, spróbuję - odparła Ruta, wyciągając telefon. Wybrała numer Zygmunta i odeszła w kąt korytarza.

- Dzień dobry, tu Ruta, jestem właśnie u pańskiej matki...

Ucieszył się. Jak powiedział - odetchnął z ulgą. Zapytany, czy może jednak on wybierze się do chorej, odpowiedział, że być może, ale ma tyle spraw na głowie.

- Wszystko może poczekać. Proszę, niech pan przyjedzie, może po raz ostatni zobaczy pan matkę. - Ruta nie odpuszczała, czuła bowiem, że to ostatnie godziny życia tamtej poźółkłej i wysuszonej kobiety.

- Nie wiem, naprawdę. Dla mnie to już właściwie obca kobieta.

- Dlaczego zatem tak usilnie przekonywał mnie pan do wyświadczenia jej przysługi i spotkania się z nią? Zupełnie nie potrafię tego zrozumieć. Zresztą zrobi pan, jak zechce...

Ruta rozłączyła się lekko zdenerwowana. Najpierw namawiał ją do wybaczenia, a teraz sam nie może sobie z tym poradzić. Ona straciła więcej - matkę, dziecko, miłość, dom i spokojną młodość, a on - tylko pieniądze.

Ten kto więcej stracił, bardziej w swoim życiu docenia to, co mu jeszcze zostało... - pomyślała, chowając telefon do torebki. Wyszła na rozgadaną, szumiącą ulicę małego miasta północno-wschodniej Polski, odszukała swój samochód i ruszyła przed siebie. Było jej lekko - tam, za murami domu opieki, zostawiła ciężkie jarzmo, które przez tyle lat nosiła na swych plecach. Była wolnym człowiekiem!

Jeszcze przez dwa dni przychodziła do Serafiny. Ta patrzyła na nią z wdzięcznością i milczała, coraz bardziej zapadając się w siebie. Jej wzrok błędził po suficie, morfina uśmierzała ból skutecznie, otępiając przy tym chorą. Kiedy trzeciego dnia Ruta pojawiła się w pokoju numer trzynastym, zastała puste łóżko, bez pościeli. Przez otwarte okno wpadało słońce i lekki wiatr.

- Gdzie jest pani Serafina? Czy?... - zapytała przechodzącego obok rehabilitanta.

- Tak. Zmarła godzinę temu - poinformował sucho, jakby mówił o spadku cen ślimaków. Ruta stała z opuszczonymi rękami, patrzyła, jak wiatr wydyma zielony obrus na stole, wpada do pokoju nieproszony i wynosi ze sobą resztki duszy Serafiny, która umarła w samotności, jak jej to kiedyś Ruta przepowiedziała. Powiedziała to w ogromnej złości, nie zdając sobie sprawy z siły wypowiedzianych słów, chcąc je z siebie wyrzucić, a tymczasem - rzucone w gniewie miały moc sprawczą!

Nieoczekiwana łza popłynęła po policzku. Ruta otarła ją wierzchem dłoni. Nigdy nie myślała, że kiedykolwiek będzie płakała po tej kobiecie. A jednak... Niczego w życiu nie można być pewnym...

Wybrała telefon do Zygmunta.

- Godzinę temu umarła pana matka - poinformowała sucho, trochę z żalem, że ten mężczyzna nie interesował się losem starej kobiety, że zostawił ją samą na pastwę choroby.

- Ach, tak... Trzeba zająć się pogrzebem. Ja wszystko zorganizuję. W domu opieki wiedzą zresztą, co trzeba zrobić - powiedział spokojnie, jakby był przygotowany na tę rozmowę od wielu miesięcy.

- Zostawiła testament... - brnęła dalej Ruta, chcąc za wszelką cenę udowodnić temu mężczyźnie, że nie ma prawa tak się zachowywać, skoro sam niedawno nakłaniał ją do wybaczenia.

- Wiem przecież, że zostawiła. Znam nawet jego treść. - Ostatnie zdanie zabrzmiało ironicznie.

- Ale to nie... - Chciała jeszcze powiedzieć, że matka zmieniła swoją wolę, zrozumiała swój błąd, ale trzask odkładanej słuchawki uświadomił jej, że nie powinna wtrącać się w jego tak specyficznym przeżywaną żałobę.

Otworzyła szufladę w szafce przy łóżku. W środku leżała czarna książeczka, taki stary, powojenny modlitewnik, oprawiony w sztywne płótno. Wystawała z niej biała kartka, złożona na czworo. Sięgnęła po nią. Otworzyła. Przeczytała słowa, pisane zapewne ręką pielęgniarki, podpisane tylko znękaną cierpieniem ręką Serafiny.

„Ja, Serafina Woźniak, chcę, by cały mój majątek został podzielony po równo między moich dwóch synów, Jana i Zygmunta...”.

Czytała dalej o jakiejś biżuterii i pieniądzach, o ogrodzie i części domu. Ruta wiedziała, że Serafina chciała na tyle uprzykrzyć życie Rucie, by ta wreszcie sprzedała jej swój udział w domu za jakieś marne grosze. A teraz w ręku miała całe jej życie, spisane na białej kartce, słowo po słowie. Odczytywała je jak jadłospis w marnej restauracji. Schowała testament do torebki. Musi go jakoś przekazać Zygmuntowi. Wychodząc, ściągnęła ze ściany obraz z latarnią morską. To ona, Ruta, dała jej go kiedyś. Na sąsiedzką przyjaźń. To był prezent - obraz namalowano w 1943 roku i Ruta kupiła go na targu staroci. Serafina lubiła stare rzeczy - otaczała się nimi, bo, jak mówiła, przypominały jej dawne czasy na Wileńszczyźnie.

Obraz nie pomógł - już po pierwszym miesiącu pod wspólnym dachem Ruta straciła wszelkie złudzenia na sąsiedzki mir.

Może podaruję go komuś innemu - pomyślała. I wcale nie czuła, że coś ukradła! Po prostu odebrała rzecz ofiarowaną daremnie. Nie chciała, by został tu, na sterylnym korytarzu domu opieki. Ani Zygmunt, ani Jan zapewne by się nim nie zainteresowali.

Postanowiła pojechać na pogrzeb Serafiny. Do miasta, w którym się urodziła i spędziła młodość, do którego jednak wracała niechętnie. Zygmunt i Jan również przyjechali. Z wystrojonymi w klasyczną czern i szarość żonami i dorastającymi dziećmi, które prawie nie znały babci, bo i sama Serafina nie dała im się poznać. Była jeszcze jakaś dalsza rodzina, wszyscy-cy rozgadani i chętni do wspomnień, traktując tę smutną okoliczność jako okazję do rodzinnego spotkania. Ruta podeszła do braci jeszcze na cmentarzu, tuż po pogrzebie.

- Musimy porozmawiać. Tam, w tym ośrodku, rozmawiałam z nią o was... - zaczęła.

Zygmunt miał już mniej zaciekleści na twarzy, chyba uświadomił sobie, że matka nieodwracalnie odeszła, może to ten pogrzeb, atmosfera, choć nie padła ani jedna łza.

To musi być smutne, gdy ktoś odchodzi i nikt po nim nie płacze. Widać, nie zasłużył na łzy... - myślała Ruta, patrząc na kilkusobowy zaledwie orszak żałobników.

Jan trwał w swoim uporze chyba bardziej niż Zygmunt:

- I co też pani nasza mamusia powiedziała? - wycedził z ironią w głosie.

- Mam jej testament... - Wyciągnęła dłoń z białą kartką, złożoną na cztery.

- Nie jest nam potrzebny. Znamy jej wolę. - Głos Jana był suchy, beznamiętny.

- Ale... to nie jest tamten testament. Zmieniła go - powiedziała szybko, bo bała się, że Jan, w którego dłoni znalazła się już kartka, zniszczy ją, podrze i rozrzuci na cmentarną alejkę, grzebiąc tym samym ostatnie słowa Serafiny.

Jan wolno rozłożył papier. Zygmunt patrzył zza jego pleców. Im dłużej wpatrywali się w kartkę tym bardziej zmieniały się ich twarze, grymas żalu i uporu znikał, oczy łagodniały. Ruta patrzyła na tę metamorfozę, w pewnej chwili omal się nie roześmiała, bo przypomniawszy się jej mimika bohaterów dziecięcych kreskówek. Nagle z oczu Zygmunta popłynęła pierwsza łza.

- Mama... więc jednak...

Teraz płakali obaj, tuląc się do siebie - dopiero teraz, gdy mieli potwierdzenie materialnej korzyści, przeżywali swoją żalobę, sieroctwo, któremu ulegli dopiero trzy dni po śmierci matki. Ruta patrzyła na nich i poczuła się... szczęśliwa. Tak, szczęśliwa! Że może już na zawsze odciąć się od tej rodziny, złych wspomnień, że dar wybaczenia uczynił jej serce lżejszym, że dała tym braciom coś dobrego - ona, najbardziej skrzywdzona przez ich matkę. I choć to dobro było wyłącznie materialne, dotyczyło tylko pieniędzy, domu, biżuterii i nie było mowy o miłości, bo ani ona, Serafina nie umiała o niej mówić i jej okazywać, ani jej synowie, to jednak... Cieszyła się tym, że mają to, czego chcieli, co zmanifestowali kilka lat temu! Tylko teraz... Czy nie będą dręczyły ich wyrzuty sumienia? Czy nagle nie dotrze do nich to, że przez swój upór i nienawiść pozwolili matce umierać w samotności?

Ale to już nie było zmartwienie Ruty. Jej misja właśnie się zakończyła. Ona zrobiła dla tej sprawy wszystko, co mogła. Teraz zaczyna od nowa, pusta jak dzban, oczyszczona tamtym cierpieniem i ofiarowanym na łożu śmierci wybaczeniem. Wszystko dobre, co dała innym, powinno przecież do niej powrócić, w myśl Prawa Potrójnego Powrotu. Zatem... Musi!... I wiedziała już, jaki będzie jej pierwszy krok...

Czuła się ogromnie zmęczona wyjazdem na Mazury. Z jednej strony organizacja imprezy kabaretowej: załatwianie noclegów dla artystów, koordynowanie działań promocyjnych, spotkania z dziennikarzami, próby w amfiteatrze, a nawet sprzedaż biletów, bo jedna ze współpracownic zwichnęła nogę, z drugiej strony zaś: wyczerpujące emocjonalnie pobyty w domu opieki. Nawet nie wiedziała, kiedy minął miesiąc, potem jeszcze tydzień na rozliczenie imprezy i można już było wyjechać z zielonych i słonecznych Mazur do Krakowa, który stał się jej drugim domem.

Moja kochana mama... - Ruta westchnęła, gładząc czarno-białą fotografię otoczoną białymi ząbkami. Zdjęcie stało na komodzie w przedpokoju; obok niego Ruta zawsze kładła

klucze. Nareszcie na spokojnie, już bez obowiązków, mogła wrócić myślami do spotkania z Serafiną, do pogrzebu i tego testamentu przekazanego synom w cmentarnej alejce. Jednak wybaczyła jej... A przecież gdyby nie ona, może mama by żyła... Na zdjęciu trzydziestoparoletnia Krystyna, uśmiechnięta i beztroska. To samo zdjęcie wisiało na cmentarnym pomniku. Ruta była teraz niewiele od niej starsza.

Pamięć o mamie wciąż w niej tkwiła, tylko obraz oczu powoli się zacierał w pamięci. Minęło przecież tyle lat! „Co by mama powiedziała?”, „Czy mamie by się podobało?” - te słowa, jak pomniki pamięci, wciąż tkwiły w niej i czasem myślała, że to są właśnie prawdziwe nagrobki. Że swojej miłości do matki nie można zastąpić cmentarnymi odwiedzinami „od-do”, uwielbieniem dla szarego kamienia z jej fotografią oraz imieniem i nazwiskiem, ciągłym zmiataniem, myciem, polerowaniem, zapalaniem zniczy i stawianiem kwiatów. Wydawało się jej to bałwochwalstwem, na które jej mama nie zasłużyła. Bo nie można być dobrym dla kamienia! Pamięć o mamie nosiła w sercu, nie musiała jej wystawiać na światło dzienne i polerować woskiem...

Rozejrzała się wokół. W jej krakowskim służbowym mieszkaniu próbowała stworzyć namiastkę domu, którego jej nagle zabrakło. Wciąż jednak wierzyła, że kiedyś będzie miała ten swój dom prawdziwy, wymarzony, że nie będzie już ptakiem bez gniazda. Za pieniądze ze sprzedaży domu kupiła pięć lat temu działkę na Mazurach, w pięknej wsi o ponurej nazwie Zgon nad Jeziorem Mokrym, znanej z pięknych zachodów słońca i interesującej historii⁶. Wiedziała, że dziś ta działka ma dużą wartość, i cieszyła się, że tak dobrze ulokowała pieniądze. Nie wiedziała, czy chciałaby kiedykolwiek tam, blisko rodzinnego miasta, zamieszkać, bo bała się wspomnień, ale w swoją przyszłość patrzyła raczej z ufnością.

Przytulnie urządzone wewnątrz dwupokojowego mieszkanka z niewielką kuchnią było teraz jej miejscem na ziemi. Wciąż jednak nie opuszczało jej przecucie, że jest tu na chwilę, że jeszcze wiele ją w życiu czeka. A pierwszy krok już знаła, wiedziała, że musi to zrobić. Choćby dla samej siebie. By ten ktoś nie myślał o niej źle.

6. Wystarczy choćby wspomnieć książkę Karola Małłka i Andrzeja Jareckiego *Jest dąb nad Mukrem* czyli Jeziorem Mokrym, oraz twórczą obecność Igora Newerly, mieszkańca tej wsi. Tu powstało między innymi Wzgórze Błękitnego Snu.

Czujesz, jak trudno odnaleźć drogę Od jednego istnienia do drugiego?

Wieczorem wpisała w Google imię i nazwisko Marka. Nigdy wcześniej tego nie robiła - a przecież internet daje ogromne możliwości w odnajdywaniu ludzi! Ale... może bała się prawdy o jego obecnym życiu? Może podświadomie czuła, że wrócił do tego wszystkiego, co dla niej zostawił, i przeprosił się z przeszłością. To była dla niego najprostsza droga. Przyznać się do własnej słabości, zbłądzenia. Posypać głowę popiołem i czekać, aż ktoś otworzy przed nim zamknięte drzwi. Enter. Jest. Jego imię, nazwisko, zdjęcie. Nawet adres. Już wie, gdzie go szukać! W zumi wyszukała niewielką miejscowość niedaleko Działdowa. Nigdy o niej wcześniej nie słyszała. Gdzie to, u licha, jest? Tam właśnie mieszka jej Marek...

Na drugi dzień poszła do szefa i poprosiła o zaległy urlop. Miała jeszcze trzy tygodnie.

- Muszę coś ważnego załatwić - tłumaczyła.

Szef zgodził się dość niechętnie, ale wiedział, ile pracy włożyła w organizację imprezy na Mazurach. Należało jej się.

- Dobrze, odpocznij - zgodził się wreszcie.- Ale jakby co, to bądź pod służbowym telefonem - zastrzegł jeszcze.

- Jasne... - powiedziała Ruta. Ale już za drzwiami wyłączyła służbową nokię i wrzuciła na dno torebki.

Zanim jednak wyjechała, jeszcze raz postanowiła pójść na krakowski Kazimierz. Wspomnienia trudnego życia poniosły jej myśli daleko, za daleko. Bolały. Teraz jednak musiała sprostać rzeczywistości. Naprawić, co się da.

Kazimierz. Od pierwszego spotkania z Sarą często tu wracała w nadziei, że spotka ją jeszcze kiedyś - tę blisko czterdziestoletnią kobietę, w której oczach zobaczyła mądrość minionego już świata. Tamto spotkanie nie dawało jej spokoju. To dzięki niezwyklej intuicji tej kobiety nauczyła się przebaczenia. Zrzucała z serca wielki ciężar, który bolał, zalegał jak rozmokły śnieg.

„Bóg, stwarzając nasz świat, wyzwolił potężne światło, które miało wypełnić przygotowane wcześniej sefiry, służące Mu za naczynia...” - mówiła wtedy Sara. Ruta

zapamiętała jej słowa. A potem szukała w przestronnej uniwersyteckiej bibliotece książek na ten temat. Znalazła. Przebiła się przez tomy. *Szewirat ha kelim* to była odpowiedź szesnastowiecznego kabalisty Izaaka Lurii na wygnanie Żydów z Hiszpanii w 1492 roku. Jedność i wzajemne przenikanie się bytów, etapy procesu powstawania świata... To wszystko brzmiało kosmicznie, obco, nigdy wcześniej nie zajmowała się kabałą, mistycyzmem żydowskim. Mimo swego żydowskiego pochodzenia jej dusza nie wędrowała nigdy tymi ścieżkami.

Tak... To rozbicie naczyń, o którym mówiła Sara, musiało być czymś rozstrzygającym w dziejach kosmosu. Czy to zatem dlatego prześladuje ją nieznośne przekonanie, że świat jest pełen porównań, że wystarczy tylko spojrzeć na jedną przemianę, by zrozumieć drugą? Bo skoro tak, to... wszystkie rzeczy poniekąd noszą w sobie takie pęknięcia. I dlatego na świecie jest wszelka niedoskonałość, która z kolei wywołuje dążność do doskonałości. To pęknięcie... musi kiedyś zostać naprawione! Bo w przeciwnym razie wszystko, co istnieje, będzie nosić w sobie jakiś wewnętrzny niedostatek! To pęknięcie znajdowało się również w jej sercu.

Czuła, że jej życie było takim niedostatkiem. Dopiero słowo „wybaczam” pomogło jej pozbyć skorupy losu. Czy naprawdę wystarczy chcieć, a niemożliwe staje się możliwe?... Czy to jakiś nadludzki czyn? Tak, zapewne... ale przecież wszystko, co istnieje, nosi ślady boskości w życiu na ziemi. Jakkolwiek ta boskość jest pojmowana... Jakkolwiek nazywany jest Bóg. Jahwe? Jehowa? Budda? Wszechświat? Obojętnie. Ważne, że ta niezrozumiała moc nieustannie przejawia się w świecie, że wszystko jest hierofanią, objawieniem się świętości, że nie ma rzeczy opuszczonej przez boskość, energię... *Sacrum - profanum*, Yin i Yang... Świat jest pełen elementów wzajemnie się uzupełniających.

I nieprzypadkowych spotkań. Bo oto przy Starej Bóżnicy na Szerokiej, nakrytej żebrowym sklepieniem wspartym na smukłych kolumnach, z gotycką bryłą zwieńczoną renesansową attyką Matteo Gucciego, znów była ona. Sara.

Ruta podeszła do niej cicho, na palcach, by nie spłoszyć tego lekkiego drżenia otwartych warg, szepczących jakieś słowa.

- Saro...

- Tak, Ruto? - powiedziała tamta, nie odwracając głowy.

- Wiedziałaś, że to ja? - zdziwiła się Ruta, patrząc na miedziane loki, dziś związane niedbale niebieską chustą. Sara była taka piękna.

- Tak, wiedziałam. Zauważyłam cię już wcześniej.

- Dziękuję.

- Uspokoiłś już nieco swoje myśli i serce, mam nadzieję. Przebaczyłaś?

- Tak...

- To teraz czas posklejać swoje życie. Chodź, zaprowadzę cię do synagogi.

Wzięła ją lekko za rękę, miała drobne i długie palce. Pchnęła lekko drzwi, ustąpiły i zaprosiły do środka przepelnionego miłym chłodem i szczególną ciszą. Tu było zupełnie inaczej niż w kościele, ale... Rucie i tak przypomniał się tamten moment sprzed wielu lat, kazanie księdza Wacława, jezuita, który dziś był sławnym poetą, teologiem, dziennikarzem. Widziała go przecież wiele razy w telewizji, pamiętała, jak ciepło i z głośnym uwielbieniem dla jego słów i wierszy mówił o nim Marek. To dzięki Markowi знаła fragmenty utworów tego pogodnego człowieka. Jak ten o późnej jesieni:

szaro

lepk

czarnymi oczodołami

po jaskółczych gniazdach

ślepo łypie

wysoki brzeg rzeki⁷.

Fakt, że ten poeta był księdzem, nie miał dla niej większego znaczenia - bo też nie odczuwała potrzeby, by wierzyć w śluby kapłańskie złożone przez niego. Nie była przecież katoliczką. Tak samo nie wierzyła w całkowite i posłuszne poddanie się woli Allacha czy muzułmański kodeks postępowania oraz w cudowną, zwłaszcza dla małżonków, moc jadzny, ofiary odprawianej podczas ślubu hinduskiego. Wszystko to były religijne rytuały, których nie rozumiała i nie respektowała. Pamiętała jednak wciąż tamto kazanie o wybaczeniu, któremu wtedy nie uwierzyła, wiele lat temu, na kilka minut przed poznaniem Marka, a przecież... Zrobiła dokładnie tak, jak nauczał tamten człowiek. Wybaczyła. Zaraz, jak on wtedy mówił? „Łatwo też domagać się przebaczenia dla krzywdziciela, gdy samemu stoi się z boku. Natomiast, gdy jest się skrzywdzonym, przebaczać jest niezmiernie trudno. Przykładem może być zawiedziona miłość⁸...”.

Wtedy, gdy słuchała tych słów po raz pierwszy, nie miała za sobą zawiedzionej miłości. A teraz? Czas zatoczył wielkie koło i przywiódł ją do kolejnego miejsca spotkania z boskością, tym razem żydowską, by być może po raz kolejny przygotować ją do spotkania z Markiem. Miłością jej życia.

Sara prowadziła ją, rozglądając się i tym samym zapraszając również i do wędrówki wzrokiem. Pośrodku sali modlitewnej za piękną żelazną balustradą stała bima, czyli podium do czytania Pisma, z boku *aron ha-kodesz* - szafa do przechowywania zwojów Tory. Sara

objaśniała wolno:

- Podczas drugiej wojny światowej ta synagoga służyła Niemcom jako magazyn. Szafa na zwoje Tory stoi zawsze na osi ściany skierowanej w stronę Jerozolimy, czyli u nas, w Europie, na ścianie wschodniej. Wiesz, Ruto, aby zrozumieć, czym jest synagoga, musisz przede wszystkim odrzucić tradycyjne, szczególnie dla chrześcijan, znaczenie świątyni czy kościoła. Synagoga zawsze była miejscem spotkań, modlitw, nauki i w ogóle miejscem, w którym kwitło życie społeczności żydowskiej...

- Po co mi to wszystko mówisz?

- Żebyś знаła swoje dziedzictwo.

- Skąd wiesz?...

- Po prostu widzę. Wiem...

- Jesteś... wiedźmą? Czarownicą? Wróżką?

- Może... Nazwij mnie, jak chcesz. To nie ma żadnego znaczenia. Jestem żydowską kobietą, mieszkam tu, w pobliżu. Z okna mojej kamienicy oglądam Szalom na Szerokiej⁹.

- Wspaniale. Wiesz, wtedy, tamte twoje słowa o wybaczeniu... pomogły mi.

- Opowiedz mi wszystko.

- Była na łożu śmierci. Teraz już odeszła. Moja dręczycielka, prześladowczymi. Przez nią tyle złego zdarzyło się w moim życiu.

- Nie mów tak. Nie mów o wszystkim, co było złe, bo powróci do ciebie. Zostaw już to, co było. Nie rozważaj tego, co minione, ale myśl o tym, jak sobie pomóc. Myśl o przyszłości.

- To nie jest łatwe...

- Nie myśl, że niełatwe, bo takie właśnie będzie. Myśl inaczej. To bardzo łatwe! I koniec! I takie się stanie! Musisz walczyć o swoje życie, szczęście, marzenia! Przecież masz jakieś, prawda?

- Mam...

- Zatem pozwól Wszechświatowi sobie pomóc, pomyśl o nich jak o czymś, co zdarzy się na pewno. Co już jest, tylko trochę dalej. W przyszłości. Nie oszczędzaj swych marzeń na później. Opowiem ci pewną historię. Czy wiesz, że w tej synagodze Tadeusz Kościuszko zachęcał zgromadzonych w niej Żydów do walki o niepodległość Polski? Wiesz, co wówczas powiedział? *Żydzi dowiedli świata, iż tam, gdzie ludzkość zyskać może, życia swojego oszczędzać nie umieją.* Nie pozwól, by tak się stało również z twoimi marzeniami. Nie powtarzaj błędów przodków.

Sara opowiadała jej jeszcze długo o żydowskim dziedzictwie, symbolach i

modlitwach. Ruta słuchała jakby z niedowierzaniem, a serce jej było już w drodze do Marka...

Ktoś, kto wynalazł pociągi Intercity... był wielkim człowiekiem! Ruta nie miała co do tego wątpliwości. Jak szybko można pokonać drogę między Krakowem i Warszawą! Ruta zamknęła oczy, jednostajny rytm uspokajał ją, pozwolił pobiec myślom.

Miała w perspektywie trzy tygodnie urlopu. Wystarczająco dużo, by odreagować trudny czas pożegnania z Serafiną. Wierzyła też, że uda jej się odnaleźć Marka. Musiała to zrobić, choć coś jej mówiło, że teraz, po raz drugi, nie może zmieniać jego życia. Miał jednak prawo poznać prawdę o ich rozstaniu...

Czekało ją jeszcze wiele godzin podróży. Przesiadka na pociąg do Działdowa. Potem jakiś pociąg do wsi, w której mieszka Marek. Im bardziej zbliżała się do celu, tym bardziej bała się tego spotkania. Po tylu latach! Czy się zmienił? Co myślał o ich rozstaniu, co pamięta z razem przeżytych lat? Jakim człowiekiem jest teraz? Przez ten czas wydarzyło się na pewno w jego życiu bardzo wiele, Ruta też była już inną kobietą. Kraków, w którym zamieszkała, dawał jej wprawdzie więcej możliwości rozwoju, ale nie odebrał samotności. Wciąż stawiała na stole tylko jeden talerz i jedną filiżankę do kawy, tęskniąc, by było ich więcej. Przygodne znajomości nie zapełniały tej luki - Ruta prawdziwie kochała tylko Marka.

Jedyną przyjaciółką była teraz... sztuka. Uprawiała ją niczym lipcowy ogród, troskliwie i z pasją, choć jej praca zawodowa była bardzo absorbująca. Jednak samotność pozwala czasem na to, na co brakuje czasu w związku - to była zdecydowanie największa zaleta tego stanu. Ruta mogła realizować się w malarstwie, tworzyła prace coraz piękniejsze i coraz bardziej... w swoim stylu. Nie była wprawdzie znaną w środowisku artystką, ale ludzie coraz częściej kupowali jej prace, które wisiały w jednej z niewielkich krakowskich galerii. A to znaczyło, że się podobają.

We wrześniu miała zaplanowany kolejny poważniejszy wernisaż, znów w Łodzi, zorganizowany przez dawno niewidzianą koleżankę, Alicję, która ukończyła wprawdzie razem z nią filozofię, ale pracowała w jednym z łódzkich dzienników. I była z tego faktu zupełnie zadowolona. To właśnie z Alicją i z Martą Ruta żyła się przez te lata najbardziej, wciąż utrzymywały ze sobą kontakt, ostatnio poprzez jeden z portali społecznościowych. Trudno jednak mówić o jakiejś wielkiej przyjaźni - ot, sentymentalna znajomość, której fundamentem były studia i toruńskie wędrówki. A jednak to ten fundament okazał się najtrwalszy, bardziej nawet trwały od miłości, bez której podobno jesteśmy niczym cymbał brzmiający.

Ruta obserwowała zmieniający się za oknem krajobraz, na świecie robiło się coraz ciaśniej i gwarniej, widomy znak coraz zbliżania się stolicy. Zebrała swoje rzeczy - termos z

kawą (woziła go zawsze na wszelki wypadek), książkę i gazety, i czekała na koniec podróży.

A potem przesiadka, pociąg do Działdowa, znów mozolne godziny odmierzane stukotem kół, wyraźnym, bo to już nie był nowoczesny skład Intercity, lecz stary pociąg, do którego widoku Ruta przywykła od dzieciństwa. Z brązowymi zasłonkami w oknach i lusterkami przytwierdzonymi do ściany.

Lepsze od wpatrywania się w okno okazało się spotkanie z książką, która miała zapelnąć czas, pozwolić odpocząć myślom. Ruta czuła wyraźny nerw, gdzieś w dole brzucha i na przegubach rąk, o którym mówiła, że jest efektem nerwicy. Ale to wydawało się całkiem nieważne w obliczu faktu, że wkrótce zobaczy Marka. Właściwie... miała nadzieję, że go zobaczy, znała bowiem wprawdzie jego adres, ale skąd mogła wiedzieć, czy jest w domu, czy jej otworzy, a jeśli nawet - to jak zareaguje na jej nagłe pojawienie się na progu?

7. Późna jesień, wiersz Waława Oszejcy.

8. Waław Oszejca, www.blogpowszechny.pl

9. Zwieńczenie festiwalu Festiwal Kultury Żydowskiej, odbywającego się co roku na krakowskim Kazimierzu. Na jedną noc w roku ulica Szeroka na krakowskim Kazimierzu zamienia się w największą scenę muzyki żydowskiej na świecie.

Podczas tej niezapomnianej zimy rozmawialiśmy raz o tym, czy stwórca istotnie różni się od innych ludzi. Pamiętasz? Dopiero dzisiaj znam odpowiedź. Twórca to człowiek o dalekim widzeniu, przed którym szeroko odstania się przyszłość. Artysta nigdy nie będzie mógł żyć życiem ludzi przeciętnych. Gdy on staje się z biegiem lat ruchliwszy, głębszy, dojrzałszy, bardziej twórczy, gdy żyje, nadając kształt swym marzeniom, zwykły człowiek ubożeje duchem i powoli, powoli zamiera. Artysta jest jak wieczność, co przenika w głąb dni...

- Może nie wkładaj tej sukienki... Jest taka... awangardowa - odradzał jej kiedyś Marek. Ruta pamiętała to wyjątkowo dobrze. Właśnie wybierali się na wernisaż. Jej własny wernisaż, pierwszy w tym mieście! Dotarli do Łodzi wieczorem poprzedniego dnia. Nocowali u Alicji, w jej pięknej kamienicy na ulicy Tuwima.

- Ta sukienka jest dla mnie bardzo ważna. Dostałam ją od mamy - powiedziała, odwracając wolno twarz ku niemu.

- Ale... Ten dekolt... Czy nie jest zbyt wyzywający?

Sukienka była zielona. Dopasowana dosłownie wszędzie i kobieta w nią ubrana musiała mieć idealną figurę, bo butelkowa zieleń zdradzała na delikatnych załamaniach materiału każdą niepotrzebną fałdkę. Ruta tych fałdek nie miała, dlatego bezpiecznie czuła się w delikatnej materii, która eksponowała jej ramiona, tkwiące bezpiecznie w wąskich rękawach, z jednej strony ozdobionych fantazyjną bufką (kto wtedy nosił bufki!), z drugiej zaś - delikatną, ręcznie robioną szydełkową koronką. Koronkę dorobiła koleżanka mamy, nauczycielka. Suknia miała dziewięć lat - przez te lata figura Ruty niewiele się zmieniła, ku jej radości, bo wciąż mogła nosić to zielone cudo na wszelkie ważne okazje. Marek nie lubił

tej sukienki. Może dlatego, że Ruta wyglądała w niej kobieco, może nawet nazbyt kobieco, czyli, jak on to określił, wyzywająco. Ale tak naprawdę nie było w niej nic wyzywającego. Tak mówią czasem mężczyźni, którzy nie potrafią znaleźć w swoim słowniku innego słowa. Owo „wyzywająco” brzmi dostatecznie mocno, by kobieta lekko zrezygnowała z ubioru, obawiając się, że będzie przez otoczenie nazwana mniej lub bardziej dosadnie. Jakimś powszechnie używanym określeniem. Dla wyglądu Ruty znacznie lepsze byłoby w tej sytuacji określenie: „zjawiskowo”, „niewypowiedzianie pięknie”, „zniewalająco”, lecz to pociągało za sobą myśl, że inni mężczyźni też tak o Rucie pomyślą, a tego Marek by nie zniósł.

Dlatego właśnie powiedział „wyzywająco”, co z kolei Rucie nie bardzo się spodobało. Ale była z nim już na tyle długo, by zakręcić się zabawnie na pięcie i powiedzieć:

- I tak w niej pójdę. Jest w sam raz na dzisiejszą okazję.

Marek wzruszył ramionami. Niech idzie. Był przyzwyczajony, że Ruta w kwestii ubioru prawie zawsze podejmowała decyzje sama. Były też inne kwestie, w które nie wtajemniczała go zupełnie. Na przykład - przestrzeń życiowa. Ruta zawsze mu mówiła, że w miłości musi być miejsce na oddech, samotność. Jak w napełnianej herbatą filiżance. Nie powinno się wypełniać filiżanki do końca nie tylko dlatego, by nie wylać płynu. Powinna zostać przestrzeń pomiędzy powierzchnią herbaty i krawędzią filiżanki - na przyjaźń i dobrą energię. Na oddech wolności.

- W życiu jest tak samo - wyjaśniała Ruta, gdy zagarniał ją za bardzo dla siebie, chciał anektować jej myśli, spostrzeżenia, każdą chwilę, na przykład tę, kiedy malowała w swojej pracowni. - Niech łączy nas miłość, ale nie twórzmy zbyt mocnych więzów. Bo te czasem trzeba przerwać jednym cięciem. Żyjmy obok siebie, ale niech każde z nas pozostanie sobą. Swoją herbatę pijmy razem, ale z dwóch filiżanek, nigdy z jednej, rozumiesz?

Marek zastanawiał się wtedy, dlaczego ta kobieta tak uparcie dąży do tego, by zachować między nimi przestrzeń. Jak mówiła czasem: by wiatry niebieskie tańczyły wokół nas. Brzmiało to pięknie, ale i... niepokojąco? Może już go nie kochała jak na początku? Może chciała po prostu być sama, bo... myślała o kimś innym?

- Daruj mi chwilę samotności - mówiła czasem, zamykając za sobą drzwi od pracowni.

Co ona tam robi? - zastanawiał się Marek, tak samo rozmyślają codziennie tysiące ludzi, zostawianych przed drzwiami pracowni, gabinetów, sypialni. Pomieszczeń, w których trwa kontemplacja samotności.

Ruta rzeczywiście lubiła samotność. Być może miało na to wpływ jej wychowanie, to

mieszkanie w domu pod lasem, brak w jej życiu opiekuna, kogoś, kto o nią nieustannie dbał. Był on, Marek, ale pojawił się w jej życiu, gdy była już całkiem ukształtowana, dorosła, pozostałe lata Ruta spędziła tylko z mamą, w codziennej trosce o byt i tym szczególnym zamknięciu na świat, by nie opowiadać temu światu o swojej uporczywej walce z nienawiścią panoszącą się pod dachem tego domu.

Ruta również wiedziała, że samotność jest dla niej stanem koniecznym do życia, choć chwile spędzane z Markiem były takie cudowne. Rozumiał jej myśli, lubił to samo jedzenie, ten sam rodzaj wina. W taki sam sposób patrzył na rozkołysane latem gałęzie drzew w miejskim parku. Tylko dlaczego nie rozumiał jej naturalnego dążenia do chwil samotności? Zwłaszcza gdy była to twórcza samotność...

Ruta wspominała to wszystko, siedząc w skajowym fotelu autobusu lokalnych linii. Docierała do kresu swojej podróży, niewielkiej miejscowości pod Działdowem, za chwilę miał ją przywitać zabytkowy budynek stacji kolejowej, wybudowany na długo przed wojną, tego samego roku, w którym wybitny malarz, autor ekspresjonistycznego *Krzyku*, Edward Munch, został zwolniony ze szpitala psychiatrycznego po drastycznym leczeniu elektrowstrząsami. Taką cenę zapłacił za romans z Tullą Larsen, a do tych przeżyć doszedł alkohol. Psychoza może dopaść każdego... Dwadzieścia jeden lat później Munch zapadł na ciężką chorobę oczu i prawie oślepl, co dla malarza jest końcem jego życia. Twórca to wszak człowiek o dalekim widzeniu. Widzenie Muncha od tamtego momentu już nigdy nie było ani dalekie, ani bliskie...

Pałacyk, folwark, dom dla pracowników kolei, nastawnia... Ruta zwiedzała nieznaną jej wcześniej niewielką miejscowość na Warmii, jakby chcąc tym samym odwlec spotkanie z Markiem. Tyle lat go nie widziała, a teraz chciała, by owo niewidzenie trwało jeszcze kolejne chwile, które wprawdzie nijak się miały do tych minionych lat, to jednak były decydujące, były jakby esencją oczekiwania na spotkanie. Tak samo jest w wypijanej gorącej czekoladzie - która ma wprawdzie swój gęsty smak, jednak dopiero na jej dnie pojawia się osad i on jest kwintesencją prawdziwego smaku.

Ruta, patrząc z uśmiechem na przecinającego jej drogę rudego kota, poczuła, że właśnie te ostatnie minuty, dzielące ją od spotkania z Markiem, to sedno jej wieloletniej samotności - która nie zawsze była z wyboru...

I przypomniały się jej te wszystkie chwile, kiedy była z nim i szukała samotności, a potem te, kiedy już była sama i marzyła o tym, by powrócił czas dzielony we dwoje. Gdy splatała swoje palce z palcami Marka i myślała, by zatrzymać czas, przypiąć go niczym szpilką do siebie, by nie poruszył się, nie drgnął, by te palce były już zawsze razem... A

potem to bezsensowne rozstanie... I lata bez niego... Gdyby tylko był w ich rozstaniu jakiś sens: inna miłość lub koniec ich miłości, byłoby może łatwiej pogodzić się z czasem spędzonym bez niego. Ale w tej sytuacji - Ruta miała poczucie niepotrzebności, choć podobno nic nie dzieje się przypadkiem. A kiedy już Serafina przyznała się, że i to w jej życiu zniszczyła - złym słowem, zawiścią, to rozstanie zabolowało tak mocno, że Ruta chciała cofnąć czas, dogonić Marka wychodzącego z domu pod jej nieobecność, by wyjaśnić, że nie powinien mieć wyrzutów, bo ona też ich nie ma, że szczęście jest na wyciągnięcie ręki, trzeba tylko po nie sięgnąć i odrzucić wszystko to, co przeszkadza w jego zdobyciu.

Budynek był stary, mógł mieć ponad dwieście lat. Z dachem jak pruski hełm, kilkoma oknami od frontu, wejściem otoczonym wyrosniętymi ponad zaniedbany ogród żółtymi dziewannami i malwami. Poczula się swojsko, jak u rodziny na wsi, i tylko te nerwowe skurcze w dole brzucha i nadgarstków mówiły, że nie przyjechała tu na wakacje.

Podniosła dłoń, by zadzwonić. Przycisk dzwonka był równie stary jak cały dom, wyslizgany przez tysiące dotyków ludzi, którzy przychodzili ze swoimi sprawami do dawnych i obecnych gospodarzy. Wystarczyło nacisnąć wystający ze ściany czarny guzik, by wewnątrz domu rozbrzmiało burczącym dźwiękiem, mało przyjemnym dla ucha.

Ruta usłyszała kroki z wnętrza domu, wyraźnie nie było to męskie stąpanie. Mężczyźni chodzą ciężiej i powolniej, w ich krokach czuć zdziwienie, że ktoś dzwoni. Kto ośmiela się przerwać błogą drzemkę lub oglądanie meczu? W ich krokach czuć też zniechęcenie, że muszą sami otwierać drzwi, już lepiej, by zrobiła to za nich kobieta. Tak najczęściej stąpają mężczyźni samotni. Ruta nasłuchiwała przy polakierowanych na praktyczny brązowy kolor, przed wojną pewnie pięknych, rzeźbionych dwuskrzydłowych drzwiach.

Tak, to były kroki kobiece, ale kobiety starszej, zmęczonej codziennym chodzeniem, dreptaniem między zlewem a kuchenką. Usłyszała zgrzyt zamka i zobaczyła uważne spojrzenie w przestrzeni między drzwiami a resztą domu. Spojrzenie należało do starszej, niewysokiej siwej pani z włosami związanymi z tyłu. Ruta nie wiedziała, czy kobieta ma babciny koczek, czy nowoczesną kitkę, na pewno miała przedziałek pośrodku głowy, równo odmierzony grzebieniem. Cała sprawiała wrażenie granatowej, a to wszystko przez ubiór. Ruta najpierw zauważyła chude nogi w granatowych pończochach i filcowych kapciach na twardej podeszwie, potem zobaczyła, że cała postać ubrana była w granatową sukienkę, równie praktyczną, jak brązowa farba na drzwiach, okrytą dodatkowo kwiecistym fartuchem i ta jego kwiecistość była jedynym wesołym elementem tej monochromatycznej postaci.

- Szczęść Boże, co potrzeba? - zaczęła granatowa postać, mimo iż to Ruta powinna się

przywitać najpierw. To „szczęść Boże” jest powitaniem starszych ludzi, również ogorzałych słońcem rolników, idących do żniw; tak mówią do siebie mijający się górnicy. Ich twarze są mokre od potu, który miesza się z wszechobecnym pyłem.

- Szukam Marka Futergi. Czy może go zastałam?... - wyrecytowała jednym tchem. Idąc, wyobrażała sobie, jak będzie wyglądało to spotkanie, liczyła w duchu na to, że drzwi otworzy jej Marek, a nie żadna kobieta, choćby stara i w praktycznej granatowej sukience.

Tamta spojrzała na Rutę przenikliwie, może lekko pytająco, jakby chciała dowiedzieć się z jej słów czegoś więcej, kim jest dla niej Marek. Czy kolegą z klasy, dalekim kuzynem, a może nawet dawnym narzeczonym? Jednak twarz Ruty była nieprzenikniona, najwyżej lekko zaskoczona, ale to jeszcze nie był powód, by wydawać fałszywy osąd o przybyszce. I odpowiedziała:

- Księżdz Marka nie ma w tej chwili. Wyjechał do miasta. Wróci za pół godziny. Czy coś przekazać?

*I nie ma nikogo i nic, i jeździ się po świecie z walizką
i z pudłem książek i właściwie bez ciekawości.*

*Co to właściwie za życie: bez domu, bez odziedziczonych
rzeczy, bez psów. Gdyby się miało przynajmniej
wspomnienia...*

Ruta od chwili, gdy wyznali sobie miłość, wiedziała, że ich związek będzie miał trudną przyszłość. Póki łączyła ich tylko zwykła przyjaźń, zadzierzgnięta niespodziewanie na schodach kościoła i podsyciona zwierzeniami na toruńskim rynku, dziewczyna nie obawiała się niczego. On był księdzem, wiedziała o tym od razu, bo zauważyła białą koloratkę opasującą jego szyję, nie dość dokładnie zakrytą kurtką. Nie robiło to na niej szczególnego wrażenia, równie dobrze mogła spotkać na swojej drodze pastora zielonoświątkowego lub hinduskiego bramina.

Dla niej Marek był przede wszystkim mężczyzną, który może kiedyś złożył jakieś śluby, ale to już była jego prywatna sprawa. Przyjaźnili się, spotykali, mieli paczkę znajomych. Marek, jako świeżo upieczony ksiądz, nie stracił jeszcze tego młodzieńczego entuzjazmu, który karze mu nawiązywać radosne, czasem może wręcz zbyt spontaniczne relacje z parafianami. Ruta wpadała niekiedy do kościoła, w którym pracował, by po prostu pogadać. Jego parafia znajdowała się na obrzeżach miasta, a to, że wtedy spotkali się na schodach kościoła na toruńskim rynku, to był niesłychany zbieg okoliczności. Marek, podobnie jak studenci, lubił po prostu słuchać kazań księdza Waława...

Dopiero potem, gdy niespodziewanie dla samych siebie przekonali się, jak bardzo są w sobie zakochani, do Ruty dotarło, że można tak dosadnie i pospolicie nazwać ich miłość: romans Żydówki z księdzem...



Ruta, patrząc z uśmiechem na przecinającego jej drogę rudego kota, poczuła, że właśnie te ostatnie minuty, dzielące ją od spotkania z Markiem, to sedno jej wieloletniej samotności. Fot. Maciej Pogorzelski, Radosze - Mrągowo

Marek wybrał ją. Potocznie mówi się, że powiesił sutannę na haku, ale tylko podejmujący taką decyzję mężczyzna wie, jak wiele go ona kosztuje. To nie jest zwykłe powieszenie czarnej szaty z masą guziczków z końskiego włosia na wieszaku w przedpokoju zajmowanego do niedawna mieszkania na plebanii. Marek bał się hierarchii, reakcji tych wszystkich księży nad nim, których funkcji i znaczenia Ruta nie rozumiała, a którzy jawili się w jej głowie jako posągowi cerberzy.

- Przecież to twoja sprawa, co robisz ze swoim życiem. Przecież oni nie będą za ciebie decydować! Jesteś normalnym mężczyzną i kochasz mnie - przekonywała go, próbując zrozumieć.

- Ale na coś się w życiu zdecydowałem i nie jest to łatwe. Zawsze będę czuł się rozdarty - mówił, ujmując jej dłoń.

Chciał mieć prawo do miłości, jakiej nie zaznał nigdy wcześniej. Chciał być, jak mówiła o nim, zwykłym mężczyzną. Miłość do niej, która rozpanoszyła się w jego sercu, okazała się silniejsza od wszystkiego, co stanowiło sens jego życia przez wiele lat. I choć nie stracił wiary, to jednak spakował swoje rzeczy i zamieszkał z nią, początkowo z lękiem - czy nikt na bielańskim osiedlu go nie skojarzy - a potem z coraz większą pewnością absolutnego oddania. Znieczulony miłością, coraz rzadziej odczuwał wyrzuty sumienia, a gdy wspólnie podjęli decyzję o zamieszkaniu w jej rodzinnym miasteczku na Mazurach, stwierdził, że z dawnym życiem łączą go już tylko nierozdane prymitywne obrazki, schowane w czarnej walizeczce.

Okazał się dobrym partnerem, chociaż czasem we wspólnych rozmowach pojawiała się ta jego, jak określała to Ruta, katolickość i, bywało, pryncypialność. Jak choćby ta sytuacja z zieloną sukienką, kiedy to Marek powiedział, że Ruta wygląda w niej „wyzywająco”, w duszy dodając: „i nieskromnie”. Nie powiedział jednak głośno tego słowa, bo w podobnych sytuacjach Ruta wyśmiewała go, mówiąc, że zachowuje się jak ksiądz.

Albo gdy powiedziała kiedyś o tym, że frapuje ją coś, co nieznanne, nieopisane, może nawet trochę pogańskie - on dodał, że to normalne, bo człowiek chce zawsze swoje wewnątrz *ubogacić* o jakąś wiarę.

- Ubogacić? Co to za słowo! Jak z ambony! Słyszałam je kiedyś w jakim katolickim programie: *Kłaniam się przed Tobą, Słowo Odwieczne, które zechciałeś narodzić się w ostatniej nędzy, aby ubogacić lud swoim ubóstwem*. Swoją drogą, czy to nie ciekawe, że nie ma w naszej telewizji programów żydowskich, protestanckich czy prawosławnych? Że w wiadomościach nie informuje się powszechnie o Chanuce, a katolickich kolęd cała Polska słucha od początku grudnia? Co z tymi, dla których kolędy nie mają żadnego duchowego

wymiaru, a też czasem patrzę w szklany ekran? Czy to pomijanie i lekceważenie nie jest obrazaniem uczuć religijnych? Czy uczucia religijne zarezerwowane są tylko dla katolików? Czy katolicyzm jest w tym kraju obligatoryjny? Na jej pytania nie potrafił odpowiedzieć. Gdyby przyznał jej rację, musiałby odrzucić to, w co kiedyś uwierzył, a co i tak było już zwichnięte miłością do niej. Milczał więc, ale zapamiętywał, zbierał te pytania, by kiedyś poważnie się nad nimi zastanowić. Kiedy się kłócili i on zdobywał się na swego rodzaju patos, ona mówiła:

- Ten ksiądz zawsze będzie w tobie...

Marek starał się trzymać na wodzy swój język i czasem swoje poglądy, bo bardzo zależało mu na Rucie, jednak odnosił wrażenie, że ona nie szanuje jego poglądów, ostentacyjnie obnosząc się ze swoją religijną niezależnością.

- To nie jest mój Bóg, któremu ślubowałeś. Dla mnie jesteś zwyczajnym mężczyzną, nie żadnym tam księdzem, rozumiesz? - tłumaczyła mu swoje zachowanie, gdy zwrócił jej kiedyś uwagę.

Marka dziwiło również to, że podobne poglądy miała również jej matka. Zupełnie normalnie przyjęła informację o przeszłości mężczyzny, którego pokochała jej córka. I zaproponowała mu pyszną zupę szczawiową oraz gulasz z wołowiny. Na powitanie, gdy spotkali się pierwszy raz. Markowi przemknęło wtedy przez myśl, że jest przecież piątek i nie powinien jeść mięsa, jednak zaraz odsunął te wątpliwości od siebie.

Zacząłem nowe życie - pomyślał. I skosztował tego gulaszu. Smakował wyśmienicie. Zjedzeniem mięsa w piątek zamknął oto kolejny rozdział swego życia.

Później już nie musiał się zastanawiać nad tym, czy jest piątek, czy wigilia. Wraz z Rutą stali się wegetarianami, może trochę pod wpływem wstrząsających artykułów w prasie o sposobach mordowania zwierząt, może - od spotkania z pewną pisarką, która promowała ten sposób na życie. A że oboje zaczytywali się w jej książkach, oboje również przejęli jej poglądy...

Marek, wiedziony coniedzielnym przyzwyczajeniem, chodził do kościoła. Najpierw do tego w Toruniu, potem w miasteczku Ruty. Któregoś dnia, gdy stanął bliżej ołtarza w nawie bocznej, zobaczył w kościelnej ławce wysoką, postawną postać w wełnianym berecie. To była ona, Serafina. W głębokim rozmodleniu patrzyła na księdza i przesuwiała między palcami drewniany różaniec, jakby odliczając czas pozostały do końca nabożeństwa. Swoją ofiarę rzuciła zamaszystym gestem, był to papierowy banknot, wysupływany celowo długo z portmonetki w taki sposób, by zbierający na tacę stał przy niej i czekał. Gdy kładła niebieszczący się papierek, spojrzała z triumfem w oczach na stojącą obok kobietę, znacznie

uboższą, bo jej pieniądź wydał przytłumiony dźwięk, spadając na dno koszyka. Banknot Serafiny był bezszelestny.

Potem poszła, a właściwie przedarła się do przodu, by przyjąć biały opłatek, i wracała wolno, znacznie wolniej, niż poszła pod ołtarz, pochyloną głową manifestując swoje wewnętrzne obcowanie z boskością. Na koniec nie wyszła od razu, lecz modliła się jeszcze przez dłuższy czas w swojej ławce, obserwując przy okazji przechodzących. Zwracała uwagę na płaszcze, berety i buty innych kobiet. Usta miała zaciśnięte, myśli - nieznanne. Marek mógł się tylko domyślać, co w nich się kryje. I ile ma wspólnego z chrześcijańską miłością do bliźniego...

Wychodząc, zakupiła prasę religijną wyłożoną na małym stoliku tuż przy wyjściu. Nie oglądała jej nawet, nie sprawdziła, czy jest coś w środku interesującego, przykuwającego uwagę, a zgarnęła wszystko po kolei, łącznie z kolorową gazetką dla dzieci. Marek zdziwiony podszedł do stolika, chciał zobaczyć, czy naprawdę kupiła wszystko. Nagłówek gazetki dla dzieci pytał: *Czy nasze artykuły ubogaciły* („I znów to ubogaciły!” - pomyślał) *Waszą wiedzę? Czy obdarowały Was radością, pogłębiły Waszą przyjaźń z Matką Bożą?* I zaraz potem było zaproszenie do prenumeraty i prośba o ofiarę na kościół.

Dotarło do niego, na czym polega hipokryzja Serafiny i tysiąca innych do niej podobnych, tak zwanych wyznawców wiary. W tym miejscu taki pseudowyznawca sprawia wrażenie wybrańca Boga, stąpa uduchowiony, szczęśliwy z powodu nawiedzenia przez boskość, a potem wraca majestatycznie do domu, czasem tylko przystaje przy kimś znajomym, by obrzucić złym słowem plotki swoją sąsiadkę, najprzyjemniej, gdy może poszeptać o grzechach cielesnych, i idzie dalej, a jego myśli płyną już w zupełnie innym kierunku - prozy życia, które sam kreuje. I spełnia się ta kolejna kreacja: awantury na klatce schodowej, bolesnego smagania przekleństwem, rękoczynów, donosu do ważnej instytucji czy w wersji bardziej nowoczesnej - jakiegoś przesładującego SMS-a, anonimowego wpisu na internetowym forum czy e-maila, który wytrąca kogoś po drugiej stronie z równowagi.

I zobaczył nagle, że w tej hipokryzji tkwią masy ludzkie, a Serafina jest tylko jedną z wielu, odprawiających co niedziela misterium absolutnego oddania się boskości, a zaraz potem wracających do swojego świata, by ranić innych - otwarciem lub podstępem.

Nie chcę żyć w tej hipokryzji. Już wolę nie wierzyć w nic niż w taką pełną miłości do bliźniego pseudowiarę - pomyślał. Wracił do domu wolnym krokiem, jakby obawiając się przyspieszenia, by nie wytracić ze swojej głowy wszystkich nowo narodzonych myśli.

Więcej już do kościoła nie poszedł. Przynajmniej - nie wtedy, gdy był z Rutą.

Ruta przyjęła zmianę jego postawy z nieskrywaną radością.

- Pamiętaj, że z wszelkiego fanatyzmu rodzi się nienawiść. Serafina jest fanatyczką. Nie rozumie, że ktoś może być inny niż ona. Wszelka odmienność jest potępiana. A tymczasem to ślepa wiara w autorytety powoduje, że błędy autorytetów przyjmowane są za wzorce. Pomyśl o tym czasem. Mnie nikt nigdy nie podyktuje, w co mam wierzyć. Wierzę tylko swojej intuicji. A ona podpowiada mi wiarę we Wszechświat, jego siłę sprawczą, magię w codzienności. Więcej widzę radości i miłości do świata w kultowych tańcach pogańskich niż corocznej procesji katolików przez miasto.

Marek wracał czasem do jej słów, które burzyły w nim pewien wypracowany porządek rzeczy, czując jednocześnie, jak bardzo zawiódł się na tamtych ideałach, które doprowadziły go do święceń kapłańskich. A kiedy jeszcze dowiadywał się, że kolejny z jego kolegów księży ma dziecko z gospodynią, oddychał z ulgą. On przynajmniej opowiedział się za czymś konkretnie i nie tkwił niezdecydowany w rozkroku, nad życiową przepaścią. Bo zawsze trzeba stanąć po jakiejś stronie...

Serafina dowiedziała się o tym, że Marek jest, a właściwie był, księdzem podczas wizyty jednego z księży. Przypomniawszy sobie Marka z seminarium, zawsze go irytował ten młody kleryk. Wybuchł między nimi jakiś konflikt, o którym obaj już dawno zapomnieli, ale w ich sercach pozostała wzajemna niechęć. To właśnie on powiedział Serafinie o przeszłości Marka. Gdyby wtedy nie zobaczył tamtej ulotki - może nie roznieciłby w tej fanatycznej kolejnego pożaru nienawiści. Ale widać - tak miało być... To wszystko nie zdarzyło się przypadkiem...

Ktoś mógłby pomyśleć, że Marek był pod wpływem Ruty - dla niej zrezygnował z bycia księdzem, ona sprowadziła go na tak zwaną złą drogę. I o tym również myślała Ruta - gdy czasem, podczas samotnych seansów malarskich, zastanawiała się, czy Marek nie żałuje swojej decyzji.

„Widać miłość była silniejsza, widać - to miała być jego droga” - tłumaczyła jej Marta, z którą spotykały się jeszcze w Toruniu. Poruszyły ten temat także podczas tamtego feralnego pobytu - gdy zmarła mama Ruty. Te słowa wspierały i pomagały - bo Ruta czasem zastanawiała się, w jakim stopniu Marek jest w ich związku szczęśliwy.

Może gdyby narodziło się ich wymarzone dziecko? Może wtedy byłoby inaczej? Ale dziecko nie było jej pisane. Najwyraźniej Ruta miała w życiu inne zadania do wykonania. Nie każda kobieta musi zostać matką, jak nie każdy człowiek potrafi pływać. Proste. Życie w ogóle jest proste, tylko ludzie czasem niepotrzebnie dorabiają do niego ideologię. Ruta wreszcie to zrozumiała, choć nie od razu, i dopiero odejście Marka uruchomiło w niej całą lawinę tego rodzaju przemyśleń. To właśnie wtedy powstały najpiękniejsze obrazy oraz

szkice - na razie złożone za szafą, oczekujące na lepszy czas.

Wernisaż w Łodzi, jej pierwszy poważny, na którym wystąpiła w zielonej sukience, odbył się w Śródmiejskim Forum Kultury. To było ostatnie wspólne lato z Markiem, wtedy jeszcze nie wiedziała o tym, opierała głowę na jego ramieniu, gdy jechali do Łodzi jego wysłużonym golfem. Alicja już czekała na nich, z gościnną (wegetariańską!) i świeżą pościelą w drobne kwiatki.

A potem ten piękny wieczór, zapach przyniesionych kwiatów, perfum na ważne okazje, słowa zachwytu nad jej obrazami, wywiady z dziennikarzami (no tak, w tym pomogła Alicja!), była nawet telewizja, i Ruta pierwszy raz poczuła się jak prawdziwa artystka. Czuła, że to właśnie jest jej Legenda, że tą drogą powinna pójść, ale... to nie było takie proste i do osiągnięcia od razu. Tak wtedy myślała. Na razie musi jej wystarczyć etat w prowincjonalnym domu kultury. W swojej zielonej sukni wyglądała tak... zjawiskowo. Lekko opalona twarz wspaniale grała z żywą barwą materiału i Rutą zainteresował się nawet przyjaciel i współpracownik Alicji, Tymoteusz. Robił jej zdjęcia ciągle i bez skrępowania, zachwycał się oryginalną urodą, która sama w sobie wielką urodą przecież nie była, ale było coś w Rucie magnetyzującego, co jeszcze bardziej rozkwitło teraz, na tym wernisażu.

Marek tkwił nieco z boku, lekko zazdrosny o zainteresowanie, jakie Ruta wzbudzała, do tej pory miał ją bowiem tylko dla siebie. Ciekaw był jednak dalszych wydarzeń, może relacji, recenzji z wystawy, propozycji...

Tam właśnie Ruta poznała Petrę, kobietę po pięćdziesiątce, ale wciąż piękną i interesującą, o powabnych kształtach, ubraną w oryginalną suknię w czerwone maki. Nie każda kobieta w jej wieku zdecydowałaby się na taki strój. Kobiety dojrzałe noszą zwykle mało oryginalne, ale bezpieczne garsonki, w których zmienne są tylko bluzki. Tamta ciągnęła za sobą powłóczystrą szatę, w której wyglądała jak prawdziwa artystka.

- To Petra, dobry duch tutejszej galerii. Miewa fantastyczne pomysły - zaprezentowała ją Alicja, patrząc, jak Ruta podaje rękę kobiecie w makach.

Petra nie malowała, ale sztukę czuła każdym kawałkiem swego ciała. Wspaniale dobierała słowa, gdy mówiła o obrazach. Opowiadanie o sztuce było w jej ustach tym samym, co mówienie o jedzeniu w ustach Nigeli Lawson.

- Oglądając obrazy naszej Ruty, ma się wrażenie, że prezentowana na nich przestrzeń jest całkowicie nadrealna, przesycona kolorami, ale też niezwykle intrygująca, choć są to przecież miejsca i przedmioty, z którymi spotykamy się codziennie. Kasztanowa aleja, filiżanka z dymiącą herbatą, dłoń kobieca podtrzymująca źdźbło trawy. Każdy obraz jest najzupełniej i harmonijnie skończony. Mazurskie pejzaże, w których widać umiłowanie do tej

ziemi, żyją własnym życiem, tkwiąc w twórczym napięciu, w apoteozie życia i bez śladu rezygnacji. Na każdym z tych obrazów malarka silnie zaznaczyła swoją indywidualność... - mówiła do zebranych w galerii gości, popijających czerwone wino z wysokich kieliszków.

Malarka... Nazwała mnie malarką... - pomyślała Ruta, obracając w myślach to słowo, upajając się nim, powtarzając wolno, litera po literze. Malarka. Tak chciała być malarką. Tyle w życiu przeszła i koło losu przywiodło ją właśnie tu, do tego miejsca, by mogła usłyszeć o sobie, że jest już malarką! To słowo, wypowiedziane przez Petrę, nieświadomą matkę chrzestną jej jako artystki, dodało jej skrzydeł, gdyż mimo swojej ulotności było spełnieniem jej marzeń!



Ruta lubiła malować kasztanowce. Bo są spokojne, nieśmiałe, jednak, choć mniej szlachetne od dębów, mają swoją dumę.

Ich wiosenne kwitnienie i jesienne macierzyństwo sprawiają, że drzewa te na te dwa ważne momenty w roku zamieniają się w wysłanników dobrej nowiny - obwieszczają zalotny maj i ciepłą polską jesień.

Obraz Moniki Bogdanowicz, utalentowanej artystki z Reszla, www.monika-bogdanowicz.pl

A potem już wszystko potoczyło się wartko jak w filmie. Dwa wywiady do lokalnych dzienników, zdjęcia gości z artystką, trzy sprzedane prace, dwie zamówione. Numery telefonów, adresy e-mailowe - tradycyjna wymiana informacji.

Powrót do domu, obok nieco milczącego Marka, który oswajał się z nową sytuacją, że jego Ruta była przez te kilka godzin najważniejszą osobą na całym wernisażu. Wracali miastem, specjalnie wydłużając jeszcze swój powrót, Ruta rozgadana, rozemocjonowana, pełna tej słownej radości. Przypominała sobie, co mówiła Petra o jej pracach, już w prywatnej rozmowie.

- Opowiadałam jej o drzewach, wiesz? Pytała o tę aleję kasztanową, dlaczego akurat te drzewa. Bo są spokojne, nieśmiałe, jednak, choć mniej szlachetne od dębów, mają swoją dumę. Ich wiosenne kwitnienie i jesienne macierzyństwo sprawiają, że kasztanowce na te dwa ważne momenty w roku zamieniają się w wysłanników dobrej nowiny - obwieszczają zalotny maj i ciepłą polską jesień. Mówiłam jej też, że moim zdaniem sosny są od kasztanowców bardziej śmiałe. Wdrapują się po wzgórzach i zboczach, rosną w zupełnych pustkowiach. Są zdecydowane i twarde, choć miękka jest ich konstrukcja, z której wiatry sobie szydzą, wyginając je na boki, zmieniając kształt nadany w sosnowym kodzie genetycznym. Czasem mam wrażenie, że wiatr je gwałci, a niepokorne sosny gorzknieją od nadmiaru tego gwałtu i sękatymi ramionami pełnymi igieł wołają do nieba o pomoc.

Marek przystanął na moment i popatrzył ze zdziwieniem na zarumienioną twarz Ruty. Przez moment pomyślał: Artysta nigdy nie będzie żył życiem ludzi przeciętnych... I zaczął bać się tego, że może kiedyś nie pogodzi się z nieprzeciętnością Ruty.

A potem zniknął z jej życia, krótko po rozmowie z zawistną Serafiną. Dlaczego tak łatwo uwierzył w jej słowa, mimo iż wiedział, kim jest ta kobieta i jak bardzo źle im zyczy?

*Nasze serce wciąż jeszcze
przewyższa nas samych (...) I nie możemy za nim
podążyć poprzez obrazy, co je łagodzą, ani
przez boskie ciała, gdzie się przemożniej uśmierza.*

Ruta postanowiła poczekać na Marka pod plebanią. Informacja, że wróci za pół godziny, bo wyjechał tylko do miasteczka, była zbawienna. Mógł przecież wyjechać na dłużej, na przykład na jakieś rekolekcje. Skoro już zdecydował się na powrót do dawnego życia, pewnie i tak spędzał nieraz czas... Opowiadał niekiedy o tych kościelnych formach wypoczynku, takich ewangelizacyjnych koloniach, w których biorą udział młodzi ludzie, czuwają nad nimi wtedy nieco od nich starsi, tak zwani animatorzy, którzy pokończyli różne kursy i opowiadają im o boskich tajemnicach. Wszyscy żyją według ustalonego porządku, dzień zaczyna się modlitwą poranną, zwaną jutrznią, a potem są spotkania w grupach, podczas których opowiada się o Starym lub Nowym Testamencie, w zależności od stopnia zaawansowania w tym kursie naprawiającym ludzkość. Codziennie odprawiana jest msza, są prace gospodarskie, modlitwy przed posiłkiem i wieczorne modlitwy, zwane nieszporemami.

- Co się dzieje potem z nimi, z tymi ludźmi biorącymi udział w wakacyjnych rekolekcjach? - zapytała pewnego razu Ruta, wyraźnie zainteresowana tym swego rodzaju obozem kondycyjnym dla dusz młodych katolików. Nigdy wcześniej o tym nie słyszała.

- Wracają do swoich domów.

- Czy swoim życiem głoszą to, czego nauczyli się podczas wakacji? Czy już nie są źli, nie nienawidzą, nie uprawiają seksu przedmałżeńskiego, nie palą papierosów? - W jej głosie słychać było lekką drwinę.

- Nie, nie zawsze. Czasem żyją dalej, jak żyli.

- Więc... dlaczego? Skoro już uwierzyli w miłość do bliźniego i złożyli obietnicę bycia dobrymi, dlaczego nie trzymają się tego w swoim życiu, choć wciąż przecież mówią, że wierzą w swego Boga i chodzą do kościoła?

- Są ułomni. Każdy człowiek jest ułomny, niedoskonały.

- Tak, ale nie każdy deklaruje swoją przynależność. Brak tej deklaracji jest chyba

większą uczciwością. Przynajmniej nie trwa się w tym zbiorowym udawaniu dobrych ludzi. Na moment tylko, na czas rekolekcji, nabożeństwa, ważnego spotkania z biskupem. Nie rozumiem tego! I nigdy nie zrozumiem!

Marek nie próbował jej wyjaśniać. Jego też drażniło udawanie, które nie miało nic wspólnego z codziennym okazywaniem ludziom prawdziwej dobroci, naturalnie, z odruchu serca. Bez dyktatury jakiegokolwiek religii, która tego nakazuje.

Właśnie dlatego Ruta nie potrafiła pojąć powrotu Marka do dawnego życia - gdy przypominała sobie ich rozmowy na ten temat. Wydawało jej się wtedy, że Marek odpłynął już daleko od tamtego portu, w którym kiedyś na chwilę zakotwiczył. Okazało się, że jednak nie, że coś musiało w jego sercu przeważyć. Te ostatnie miesiące spędzone razem, kiedy jeszcze nic nie zapowiadało katastrofy, tamten wernisaż. Powrócił do niej obraz zielonej sukienki, zabieganej Alicji i smakującej sztukę Petry. Spotkania, rozmowy, spojrzenia, które krzyżowały się na sali pełnej gości i obrazów. I im szybciej mijały minuty oczekiwania na Marka, tym bardziej docierał do Ruty powód jego nagłego odejścia.

Może po prostu... przestraszył go rozmach, jaki pojawił się nagle w życiu Ruty? Może poczuł, że ona nigdy nie zrezygnuje ze ścieżki, którą właśnie zaczęła podążać, i nie będzie jej miał całkiem dla siebie? Może wzięła górę męska duma, chęć wyłączności? A słowa Serafiny były tylko pretekstem, by odejść, gdy już stracił nadzieję na jej całkowite oddanie i poświęcenie dla miłości?

Ruta stała po drugiej strony drogi, czując, że jest wciąż obserwowana przez postać w granatowej sukience. Nie przejmowała się tym jednak, spacerowała raz w jedną raz w drugą stronę, mijając przystanek, sklep i znów wracając w pobliże plebanii. Nagle zza zakrętu wyłonił się nieznany renault megane. Czarny. Zatrzymał pod plebanią. Ruta już wiedziała, że to przyjechał on. Marek. Zmienił auto, ale jeździł wciąż tak samo - szybko, ale pewnie i bezpiecznie.

Patrzyła, jak wysiada i idzie z wielkimi papierowymi torbami w kierunku drzwi. Otwiera je. Zamyka. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążyła się przyjrzeć, czy to wciąż ten sam Marek, tak samo szczupły i przystojny jak kiedyś. Wiedziała, że tamta kobieta na pewno mu powie o niespodziewanej wizycie. O kobiecie, która czeka na niego od dobrej godziny. Że spaceruje tam i z powrotem, i nie wiadomo, co to za jedna, bo się nie przedstawiła.

Ruta zauważyła ruch firanki. Wiedziała, że Marek zaraz do niej wyjdzie. Poprawiła okulary przeciwsłoneczne. Czekala. Zaszczekał pies, jakiś wiejski burek, który przemierzał na swoich krótkich nóżkach codzienną trasę. Nagle otworzyły się drzwi plebanii. Stał w nich

mężczyzna, który kiedyś do niej należał. Podszedł wolnym krokiem. Niewiele się zmienił od momentu, gdy widzieli się po raz ostatni. Wciąż szczupły, przystojny, posiwił tylko na skroniach, zmienił kształt oprawek okularów i ubierał się teraz z większą elegancją. Dostojniej.

Ich dłonie spotkały się w suchym geście powitania. Ruta przez palce wyczuwała zdenerwowanie - przyspieszone tętno nie kłamało, nie udawało spokoju. Widać było, że spotkanie z Rutą nie było mu obojętne. Świadkiem ich rozmowy stał się niewielki wąwóz tuż pod lasem. Powitał ich wygiętymi korzeniami drzew, którym natura odebrała glebę, żłobiąc wzdłuż nich drogę dla człowieka. Jednak samozwańczy pan świata, panoszący się w każdym jego zakątku, nie doceniał tej dobroci wąwozu, mijając go obojętnie lub wycinając na obnażonych korzeniach ostre znaki. Zostawały już na zawsze, jak sznyty na przedramieniu więźnia, zabliźniały się wolno z drzewem, niechciane, lecz zaakceptowane.

Słowa wychodziły z nich wolno, Ruta już się uspokoiła, ale początkowy chłód Marka przeraził ją. Tak bardzo pragnęła, by ją przytulił, po tylu latach, bez względu na powód, dla którego się rozstali. Ale Marek był oszczędny w gestach. Ruta opowiadała, co u niej, z udawaną swobodą, niech nie myśli, że nie poradziła sobie po jego odejściu. Mieszka teraz w Krakowie, z dala od tamtego domu, od klątwy nad nim. Nie, klątwy już nie ma. Przecież wybaczyła. Zwyciężyła dobrem całe zło, które żyło pod tamtym dachem.

- A co z nią, z Serafiną? - Marek spojrzał na nią, cedząc wolno imię sąsiadki, słychać było jednak w jego głosie, że ma już do tego imienia większy dystans, że osoba sąsiadki stała się tylko małym punktem ich wspólnych wspomnień, które ożywały w tym wąwozie z minuty na minutę.

- Nie żyje. Umarła kilka tygodni temu, samotna, w domu opieki.

I opowiedziała w kilku słowach o ostatnich chwilach Serafimy, o tym, jak szukała wybaczenia i jak w końcu je otrzymała. Marek był wzruszony.

- Postąpiłaś szlachetnie... Tylko ludzie naprawdę silni potrafią wybaczać. Ludzi małych nie stać na takie gesty...

- Tak myślisz? Tylko tyle? Postąpiłaś szlachetnie, jesteś silna? Czy wiesz, ile mnie to kosztowało? Co to dla mnie znaczyło? To tak, jakbym jej powiedziała: nic się nie stało, te wszystkie cierpienia przez ciebie to nic. Moja mama, której serce nie wytrzymało napięcia, mój dom, którego nigdy nie miałam, moja godność, z której mnie odarłaś. To nie! I jeszcze dziecko... - Głos zadrzał niepokojąco, wchodził na inne, wyższe tony, na których często pojawiają się już łzy.

- I... Ty... To też nic, nic się nie stało! - wyrzuciła z siebie.

- Czemu ja? - zapytał, obawiając się jednak o tym mówić, wolał, by tamta rozmowa z Serafiną była tylko jej i jego sprawą.

- Powiedziała mi o wszystkim. Że to ona... Pod wpływem jej słów odszedłeś ode mnie. A ty tak naiwnie i bezgranicznie uwierzyłeś tej kobiecie! Jak mogłeś?! Wiedziałeś przecież, na co było ją stać i do jakich bezczelności była skłonna się posunąć?...

I wypłynął z niej potok słów, skrywanych latami, pokrytych śniegami buntu i żalu, i w jednym momencie z pewnej siebie kobiety zmieniła się w poddaną emocjom drobną postać, skuloną pod naporem wspomnień. Słowa jej były skargą, czasem oskarżeniem, że odszedł, choć wiedział, że jej życie raz za razem pada w gruzach. Jak symboliczna wieża z tarota. Że zamiast trwać przy niej, odszedł, wrócił do tego, co zostawił, poświęcił ich miłość...

- Dlaczego? - zadała wreszcie to pytanie, choć bała się go tak bardzo, tyle lat pielęgnowała je w swoim sercu.

- Nie wiem. Po prostu. Ona mi uświadomiła, że nie mam prawa do szczęścia, które budowałem na gruzach swego kapłaństwa...

- Nie jesteś żadnym kapłanem! Jesteś normalnym mężczyzną!

- To ty tak myślisz, ja myślę inaczej. Mamy inne poglądy na ten temat, wiesz o tym dobrze.

- Ale przecież kochałeś mnie, tak mówiłeś!

- Tak, kochałem. Kiedy dowiedziałem się, że będę ojcem, pomyślałem sobie: jeśli mam z nią być przez resztę mojego życia, wszystko będzie dobrze, to dziecko nas połączy. Położyłem swoje runo przed Panem. Tak nazywam wystawianie na próbę. Gdy dowiedziałem się, że nasze dziecko nigdy się nie narodzi, odczytałem ten znak jako sygnał do odejścia. Jednak jeszcze wtedy wahałem się, bo wciąż cię kochałem. Ale potem ona, Serafina, powiedziała mi słowa, które zapamiętałem i chociaż wyrządziła ci tyle krzywdy, pomyślałem, że ona jest kolejnym znakiem na mojej drodze. Że tu, w tym miejscu, jest moje przeznaczenie...

- I wróciłeś skruszony na łono Kościoła, nie zastanawiając się nawet, czym jest dla mnie to odejście? Po tylu przeżyciach? A to wszystko, co nas połączyło?

- Ruto, wybacz...

- Nie, tobie nie wybaczę. Zbyt wiele mnie kosztuje ostatnio wybaczenie. Nie chcę wybaczać w taki sposób, by potem tego żałować. Rozumiesz? Powiem: wybaczam, a w sobie będę dusić swoje myśli, zamęczać się nimi jak masochistka? Wolę nie wybaczać... Bo to nie będzie prawdziwe wybaczenie...

- Jej wybaczyłaś.

- Bo ona leżała na łożu śmierci, a ty masz się całkiem dobrze.

- Ruto, po co ta ironia?

- Ta rozmowa uświadomiła mi bardzo wiele, wiesz? Nie ma spotkań przypadkowych, każde czegoś uczy. To spotkanie mnie też czegoś nauczyło. Już wiem, że potraktowałeś mnie jak chwilową, choć kilkuletnią atrakcję w życiu, doświadczenie na swojej drodze. A potem postanowiłeś, jak mówisz, położyć runo przez Panem. A może po prostu chciałeś znaleźć powód, dla którego odejdiesz ode mnie ze względnie czystym sumieniem? Bo nie mogłeś znieść myśli, że całkiem do ciebie nie należę, że potrzebuję między nami powietrza, że chcę, byśmy byli jak dwie kolumny podtrzymujące fronton, które trwają obok siebie, ale nie jedna przy drugiej? Może nie chciałeś dzielić się mną ze sztuką, pasją życia, ludźmi, których spotykałam na swojej drodze? Może to była twoja zaborczość, a nie jakieś runo, które jest tylko marnym usprawiedliwieniem?

Marek milczał. Odwrócił się. Sięgnął po długi patyk i uderzał nim w piach, który tumanem wzburzał się wokół jego stóp. Tuman przeniósł się również na pantofle Ruty, pozbawiając je barwności, pokrywając zieloną powierzchnię szarym nalotem.

„Strzepnij proch ze swoich stóp i idź dalej, przed siebie” - przypomniały się jej słowa Sary, wypowiedziane na krakowskim Kazimierzu. Jasny proch pokrył jej stopy. Czy ma go strząsnąć, teraz, w tym wąwozie, i odejść tak nagle, jak się pojawiła?

Już otwierała usta, by sucho się pożegnać, powiedzieć, że przyjechała tu niepotrzebnie, kiedy Marek jednak podszedł, położył dłoń na przedramieniu.

- Kiedy patrzę na ciebie, wciąż zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem...

- Nigdy tego nie zrozumiem. Jesteśmy z dwóch różnych światów. W tobie żyje religia, której ja nie pojmuję i nie chcę mieć w swoim życiu. Nigdy nie zgodzę się na to, by rządziły mną czyjeś myśli oraz prawa wymyślone przez średniowiecznych cudotwórców wiary! A tymczasem w tobie tkwi przekonanie o własnym posłannictwie, powołaniu. A może po prostu żyje ci się teraz wygodniej? Masz zapewniony dach nad głową, nowe auto, gospodynię, która zapewne dobrze gotuje, dość łatwą pracę i pewne zarobki. We współczesnym świecie to bardzo dobre rozwiązanie.

- Ruto, to nie tak...

- Wiesz, wydaje mi się, że jednak tak. To nie mój Bóg i nie wierzę w żadne runa i próby. Wierzę w to, co czuję, co podpowiada mi intuicja. A ona mówi mi teraz, że po prostu stchórzyłeś! Nie zachowałeś się jak mężczyzna! A przecież nim jesteś, przede wszystkim, i nie wyzbywaj się tego w imię celibatu, który jest tylko średniowiecznym wymysłem! Przecież apostołowie byli żonaci, przez jedenaście wieków księża, biskupi i papieże również byli

żonaci i byli oni również synami księży, biskupów i papieży! To nie sam celibat cię tak męczy, a lęk przed tym, że masz prawo żyć bez niego! Jeśli tak bardzo zależy ci na twojej wierze, nie musisz z niej rezygnować! Wiedz, że są w naszym kraju mężczyźni, którzy zrozumieli swoje prawo do miłości i szczęścia i chociaż nie chodzą w sutannach czy habitach, głoszą ewangelię szczęścia swoim nowym życiem, wśród swoich bliskich, żon, dzieci, i to właśnie jest ich powołaniem! I nie myśl sobie, że mówię to po to, byś do mnie wrócił. Nie! Ja już mam swoje dobre życie, które układałam przez tyle lat, pokochałam je, nauczyłam się żyć w samotności i z niej czerpię inspirację. Chciałam tylko powiedzieć ci to wszystko, wyjaśnić, a przede wszystkim odnaleźć cię i spojrzeć ci w oczy.

Marek milczał. Początkowo jego twarz był pozbawiona emocji, chciał je skrywać, dusić, potem jednak zmieniała się stopniowo, udzielały się mu uczucia kobiety, która niegdyś była jego największą miłością. Mógł przecież z nią być, dzielić się każdym dniem i nocą, pielęgnować wspólne marzenia. Zastanawiał się nad tym, co mówiła o celibacie, było to zadziwiająco proste, aż zdziwił się, że do tej pory ta prostota do niego nie dotarła.

I jak ten głupiec u mądrości stoję wrót i tyle wiem, co wiedziałem wprzód... - przemknęła mu myśl.

Co poniedziałek na kursie zwanym konfesją duchową uczono go niedostrzegania kobiety. Stary i otyły ksiądz dowodził, że wszelkie zło bierze się od kobiety. A owo niedostrzeganie jej to nic innego, jak wynoszenie na wyższy poziom niż ten ziemski. Jego nauczyciel mówił o tym: sublimacja. A on, młody wówczas kleryk, w ciągłym zastanawianiu się nad sensem powołania obserwował kolegów, czy oni też rozumieją tę znaczeniową akrobatykę. Sublimacja kobiety. A przecież była z krwi i kości jak tamta, napotkana w pociągu, której twarz była jak najbardziej dotykalna i ludzka! Twarz dziewczyny, którą potem złapał za rękę, gdy potknęła się, wychodząc na peron. Właśnie rozpoczęły się wakacje i, jak inni koledzy z seminarium, wracał do rodzinnego miasteczka, w którym wszyscy byli dumni, że będą mieli prawdziwego księdza. Nie mógł zawieść ich nadziei! Ale tamta dziewczyna... Jej dłoń była po ludzku ciepła, twarz - pogodna, a ciało - gościnne. Wrócił potem z tych wakacji rozbity, wciąż głowiący się nad tym, czy to jest droga, którą chce podążać, chowając głęboko małe zdjęcie tamtej dziewczyny. Kochał ją miłością dwudziestolatka, jego usta czuły smak jej ust, jego ciało tęskniło za nią. Wrócił do seminarium, recytując w myślach, że nie wolno ulec pokusie, że kobieta niesie zagrożenie i grzech. Jego spowiednik powiedział mu:

- Skoro Bóg wybrał ciebie spośród wielu, da ci też potrzebne łaski, żeby kobietę kochać jak bliźniego. I by wytrwać w czystości.

Tej czystości już dawno nie było. Również w sercu. Poznał miłość do kobiety,

obcowanie z jej ciałem i tęsknił, całym sobą. Przez następne miesiące pokusę tę tłumił modlitwą i porannym bieganiem. Zmęczenie fizyczne było jak brom dawany żołnierzom.

A jednak niekiedy myślał o niej, w czasie tych modlitw, biegania, a nawet adoracji Najświętszego Sakramentu. A potem tamto nocne czuwanie sylwestrowe, gdy przepraszali Boga za tych wszystkich, którzy swoje życie poświęcili grzesznym rozkoszom. Jego modlitwie towarzyszyły wspomnienia tamtych rozkoszy... Zauważył, że jego koledzy również noszą w portfelach niewielkie zdjęcia kobiet, że czasem są dziwnie zamyśleni i skryci, sznurują usta, jakby chcieli ukryć słowa i myśli przed światem. Wiedział, że oni tęsknią tak samo jak on...

A później, po kilku latach walki z własną fizycznością i patrzenia na kobiety zza wysokiego ołtarza, poznał ją, na schodach toruńskiego kościoła, i wszystko się znów zmieniło jak wtedy, podczas tamtych wakacji. A gdy dowiedział się jeszcze, że Ruta jest Żydówką, to zadziało na niego niemal jak afrodyzjak, bo kusilo i było jeszcze bardziej zakazane. Sposób, w jaki poprawiała włosy, uśmiechała się, szukała portfela w torebce - to wszystko ciągnęło, pachniało wymarzoną, zakazaną kobietą... Właśnie wtedy jeden z kolegów księży wyznał mu, że ma syna z parafianką. Chłopiec skończył właśnie jedenaście lat i wiedział, że jest synem księdza. Gdy czasem spotykali się z miejscach publicznych, chłopiec mówił do niego: proszę księdza. Na czulsze słowo: tato, pozwalał sobie jedynie wówczas, gdy zostawali sam na sam.

A gdybym miał dziecko z Rutą? - ta myśl powracała do niego uporczywie, była dowodem na odwieczną dążność mężczyzny do pozostawienia czegoś po sobie. Skoro tak myślał - znaczyło to tyle, że się zakochał. I wyznał kiedyś tę swoją miłość, nie mogąc dłużej znosić jej milczącego brzemienia.

Te wspomnienia powracały teraz do niego, w wąwozie, kiedy patrzył na Rutę; niewiele się zmieniła przez te kilka lat, wciąż była w jej twarzy niezwykła czujność i czułość. Poczuł się jak wtedy, wiele lat temu, gdy był z nią.

Powrót do Kościoła okazał się łatwiejszy, niż można było pomyśleć. Najtrudniej było opowiedzieć o wszystkim matce, która najpierw przeszła załamanie, gdy dowiedziała się, że jej ukochany syn porzucił sutannę, ale z czasem pogodziła się z jego wyborem, nigdy jednak nie poznając Ruty, następnie przeżyła załamanie po raz drugi, gdy syn wrócił na łono Kościoła. Biskup przyjął go jak syna marnotrawnego i skierował na wiejską parafię, dość daleko od miasteczka, w którym Marek mieszkał tyle lat. Parafianie nie znali jego przeszłości, no, poza jednym wyjątkiem. Pewnego wieczoru do drzwi jego plebanii zapukał sympatycznie wyglądający starszy człowiek i poprosił o spowiedź. Początkowo mówił o swojej chorobie, potem o lęku przed śmiercią. I wreszcie wyznał Markowi, że jest byłym księdzem.

- Skąd pan wie, że ja... dlaczego właśnie do mnie pan przyszedł? - jąkał się Marek, zaskoczony nagłą wizytą.

- Jestem przyjacielem biskupa. Prosiłem, by wskazał mi kogoś, kto powrócił... Żeby mnie zrozumiał...

Jego żona umarła kilka lat temu, on pozostał sam. I teraz boi się tego, czy dobrze pokierował swoim życiem, i przychodzi właśnie do niego, do Marka, by zapytać go o zdanie. Bo przecież ma podobne doświadczenie za sobą. Marek wsparł go swoimi słowami - mówiąc mu o tym, że w życiu każde doświadczenie jest potrzebne, wciąż jednak myślał, czy u niego również w ostatniej chwili nie pojawi się lęk. Inny jednak - bo pod wpływem zastanawiania się, czy słusznie zrobił, odchodząc od Ruty. To pytanie powracało do niego przez długi czas. Kiedy widział znajome imię i nazwisko na napisach końcowych programów kabaretowych, pytanie powracało. Przyciągał Rutę swoimi myślami. Aż do momentu, gdy pojawiła się u niego...

W rozmowie z nią bronił się jeszcze, walczył z myślami, które nawiedzały jego serce jak demony, ale coraz mniej stanowczo, a coraz bardziej poddawał się wspomnieniom i przekonaniu, że nie powinien odchodzić, a już na pewno nie w taki sposób. To kładzenie runa przed Panem... Może to nie była żadna próba? Równie dobrze mogło być ściągnięciem na siebie tych wszystkich doświadczeń, które potem pozwoliły mu przekonać się o tym, że Ruta jest jego drugą połową! Czasem, żeby się o czymś przekonać, należy pokonać długą i krętą drogę.

- Jeśli u schyłku życia Bóg miałby mnie ukarać za to, że zamiast mu wiernie służyć, stanąłem po stronie miłości do kobiety, że do tej miłości się przyznałem, to znaczy, że nie jest tym Bogiem, którego kocham. Wybacz mi to wszystko, jak wybaczyłaś całe zło Serafinie... - powiedział cicho, pochylając się na Rutę. Po chwili wziął ją w ramiona i przytulił, oboje płakali, jakby chcieli poprzez łzy wyrzucić lata niepotrzebnej rozłąki, a dostojny wąż spoglądał na nich ciekawie, dyskretny swoimi historiami.

Wybaczę mu. To będzie taki mój wewnętrzny Jom Kipur¹⁰ - pomyślała Ruta, patrząc w górę, na drzewa złączone wążem jak wstążką.

10. Po hebrajsku יוֹם כִּפּוּר - Dzień Pojednania, to jedno z najważniejszych świąt żydowskich o charakterze pokutnym. Żydzi przygotowują się do tego święta podczas dni pokuty.

Jednakże mimo wszystko czuję w sobie coś, co każe mi czekać.

Tak wiele nowych rzeczy tłoczy się przede mną,

nie umiem tego nawet nazwać i rozróżnić.

Ach, o jakiejś chwili ogarnąć spojrzeniem las i morze, chłonąć

tę wspaniałość natury i czekać: a jasność się stanie...

Gwar i głosy przywróciły Rucie trzeźwość myślenia. Przybiegła do niej jak pies z merdającym ogonem, nic nie robiąc sobie z chwilowych powrotów do tamtych chwil spędzonych w wąwozie.

- Mamy przyjemność przedstawić Państwu naszą artystkę z Krakowa, która kolejny raz prezentuje u nas swoje prace - głos Petry przebijał się przez gwar, tłamsił go niczym szmata ogień, sprawiał, że w sali robiło się coraz ciszej, aż wreszcie słyhać było jedynie tylko ciche pokasływanie gdzieś z tyłu. Ruta stała na środku, znów w swojej zielonej sukience, tej samej, w której była wtedy, kilka lat temu, i stała w tym samym miejscu. Poczula się, jakby weszła drugi raz do tej samej rzeki, choć podobno nie jest to możliwe. Dla niektórych bycie drugi raz z tą samą osobą traci sens, jest jakby próbą powtórnego zaparzenia herbaty, która już dawno straciła swoją esencję. Życie Ruty zatoczyło wielkie koło i przywiodło ją znów do tego miejsca, w którym mogła pokazać światu swoje prace, a wśród nich było również *Epitafium dla Matki*, obraz, który był dla niej bezcenny. Postanowiła, że nigdy się z nim nie rozstanie. I postanowiła również, że znów zmieni swoje życie, bo los ofiarował jej kolejną niespodziankę - Petrę, osobę ustosunkowaną i poważaną w świecie artystycznym, która poleciła Rutę jednej z zaprzyjaźnionych galerii w Warszawie. Galeria już kupiła kilka prac Ruty do stałego wystroju wnętrza, zaproponowała jej też dłuższą współpracę.

Ruta patrzyła na Petrę, która właśnie z zachwytem prezentowała jedną z prac jakiemuś młodemu mężczyźnie o wyglądzie francuskiego marszanda.



Gość wyciągnął serwetkę i zaczął coś na niej pisać. Wiersz? Swoje myśli? Ruta nigdy potem nie darowała sobie, że nie zajrzała mu przez ramię. Nigdy nie dowie się, jakie słowa zamykał wtedy na gładkim kawałku papieru. Tamtym gościem był Piotr Skrzynecki. Założyciel Piwnicy pod Baranami. A tamta knajpka to Vis à vis. Dziś stoi przed nią pomnik - stolik z nieruchomą postacią Piotra Skrzyneckiego. Można z nim usiąść, pogadać. Zadumać się. Gdy Ruta już zamieszkała w Krakowie - siadała tam czasem, jakby chcąc nadrobić tamten stracony czas; niespojrzenie przez ramię.

Fot. Katarzyna Gryc, Kraków

- Bardzo obiecujący, choć późny debiut. Ale przecież to nie jest show-
- biznes. Na debiut w sztuce nigdy nie jest za późno - powiedział tamten, zerkając na Rutę.

No tak, skończyła trzydzieści sześć lat. W jej wieku kobiety mają już dorastające dzieci. Ona nigdy ich nie będzie miała. Więc... Te obrazy są jej dziećmi. Wydawanymi światu w radości i bólu tworzenia.

Miłe słowa, zachwyty nad sposobem przedstawiania rzeczywistości - to wszystko docierało do Ruty jak przez gęstą zasłonę nierzeczywistości, było przyjemne, choć jakieś nierealne, jakby skażone senną wizją.

- Muszę się uszczypnąć, bo aż nie chce mi się wierzyć, że to się dzieje naprawdę - wyszeptała z uśmiechem do stojącej obok Alicji. Rozejrzała się dookoła i złowiła czujne spojrzenie mężczyzny o czarnych oczach, schowanych za szkłem okularów.

Przyjechał... - pomyślała, uśmiechając się z ciepłą wdzięcznością, po przyjacielsku. Marek stał pod ścianą, onieśmielony tłumem gości, zapachem unoszących się dobrych perfum i gwarem rozmów. Podeszła do niego, przywitała się pocałunkiem w policzek.

- Jestem - powiedział krótko.

- Cieszę się - odparła.

I to wszystko.

Oszczędność słów i gestów dały mu odpowiedź na jego pytanie, z którym tu przyjechał. Goście powoli już wychodzili, zostawiając swoje wizytówki i adresy poczty elektronicznej, zapisywane na wyrwanych z notesu kartkach. Ruta chowała je do czarnego etui na pióro i długopis, starając się zapamiętać, do kogo należą. Pani w czarnej sukni, z kokiem. Malarka. Pan w koszuli w drobne prążki. Poeta, mąż tamtej pani. Kolejna pani, pulchna, niewysoka, w bluzce w kwiatki - łódzka radna. Wysoka, z woskową twarzą, szczupła, w spódnicy w kształcie ołówka - dyrektorka domu kultury pod Łodzią. Pani... Pan... W głowie zaczyna się już robić mętlik, nadmiar wrażeń, w gardle sucho, i jeszcze ten Marek, stojący pod ścianą, obserwujący to, co się dzieje wokół.

Od tamtej rozmowy w wąwozie Ruta zrozumiała, że nie chce zmieniać tej części życia, która teraz należała tylko do niej. Że nie chce wpuścić do niego Marka w obawie, że kiedyś przyjdzie znów zwątpienie, które go odbierze, a drugi raz tego rozstania nie chce już przeżywać. Powiedziała mu nawet wtedy, w wąwozie:

- Nie przyjechałam tu po to, by namawiać cię na wspólne życie. Chciałam ci spojrzeć w oczy i dowiedzieć się, dlaczego tak naprawdę mnie zostawiłeś. Choć nasze uczucie przecież nie wygasło.

- Ruto, ale ja... wciąż o tobie myślałem, nie sądz, że tak nie było. Nadal jesteś dla

mnie naprawdę ważna.

- Cieszę się. Zatem możemy zostać przyjaciółmi. Bycie dla kogoś ważnym jest wspaniałym fundamentem pod przyjaźń.

- Kiedy kobieta proponuje mężczyźnie przyjaźń...

- Tak, to jakby wyróżniała go spośród innych mężczyzn. Marku, dziś już nie masz prawa wymagać ode mnie więcej. Wybrałam samotność zupełnie świadomie i nie zawracaj mnie już z obranej raz drogi.

- Zastanów się jeszcze. Być może powinniśmy...

- Ja już się zastanowiłam.

- To po co mnie odnalazłaś i przyjechałaś?

- Chciałam ci spojrzeć w oczy. Przez twoje odejście moje życie zmieniło się nieodwracalnie.

- Ruto, ale może to jakiś znak dla nas? Może...

- Nie, to nie jest żaden znak. Czy mógłbyś po raz kolejny podjąć decyzję o odejściu ze swojego Kościoła? Nie. Bo skoro wróciłeś, to znaczy, że raz jeszcze wybrałeś wiarę. Nie możesz powtórnie tego wszystkiego odrzucić. Żyj zatem tak, jak znów chciałeś żyć, a ja będę miała swoje życie. I nie ma w tym wszystkich miejsca na nic więcej oprócz przyjaźni. Jesteśmy z dwóch różnych światów, teraz to rozumiem.

- Przyjadę za kilka miesięcy na twój wernisaż. Porozmawiamy jeszcze o tym, dobrze?

Przyjechał. Oczekiwał, że Ruta otworzy mu furtkę swojego życia. Niewielką, przez którą będzie mógł wydostać się z trudnego powołania. Jednak w oszczędności słów i gestów wyczytał odpowiedź: nie. Nigdy nie będziemy razem. Wszystko wpływa i wypływa. Nic nie pozostaje takie samo. Pewnego dnia ogień staje się wielkim morzem, potem powietrzem, później wysuszoną wiatrem ziemią i na powrót gorącym ogniem. Tamta miłość już odeszła, przybrała inną postać, Ruta nie była już tą samą kobietą, tak jak on nie był już tym samym mężczyzną.



Mazurskie krajobrazy były wciąż bliskie sercu Ruty, jednak decyzja o wyprowadzce z miasteczka była nieuchronna. Musiała się na nią zdecydować, jeśli chciała spokojnie żyć. Nie można żyć w rozdarciu, niczym pęknięta na pół sosna. To się udaje nieruchomym drzewom, ale nie przepelnionemu życiem człowiekowi.

Fot. Maciej Pogorzelski, Radosze - Mrągowo

Patrzył na nią, gdy ze spokojem i radością przyjmowała komplementy i kwiaty, i poczuł, że życie, które sam sobie stworzył, nie jest tym dobrym życiem, o jakim marzył. Ale nie miał dość siły, by je zmienić całkowicie, bo tak naprawdę sam się nigdy nie zmienił. Jego podświadomość przechowywała dawno zakorzenione przekonania i mechanizmy. Jeśli chce się naprawdę zmienić swoje życie, trzeba, niczym magnes, przyciągnąć do siebie wszystko, czego się pragnie. Trzeba przeprogramować swoją duszę.

Marek nie wiedział jednak o tym, bo tej prawdy nigdy nie odkrył do końca. Zajrzał tylko pod jej naskórek, jakby od niechcienia, i z powrotem powrócił do przeszłości, jakby chcąc zamanifestować swoją powierzchowność. Teraz znów próbował coś schwytać, ale było już za późno. Nie można żyć w rozdarciu, niczym pęknięta na pół sosna. To się udaje nieruchomym drzewom, ale nie przepelnionemu życiu człowiekowi.

Znał na pamięć setki cytatów ze Starego i Nowego Testamentu. Wiedział, co pisali teologowie o cierpieniu, powołaniu, kruchości życia i o tym, jak jest trudne i nie pozbawione pokus. Walczył z tymi pokusami, jak kiedyś jego nauczyciele. Szkoda, że nigdy nie poznał słów Buddy: *Wszystko, czym jesteśmy, jest rezultatem naszych myśli. Umysł jest wszystkim. O czym myślimy, tym się stajemy.* Może żyłby inaczej, śmieiej?

Wszyscy już wyszli, został tylko Marek, którego Ruta przywołała gestem dłoni.

- To mój dobry znajomy, Marek - powiedziała sucho do swoich łódzkich znajomych, bez ciepła, dając mu znów do zrozumienia, że nie będzie już nikim więcej niż dobrym znajomym, może, gdy zechce, przyjacielem, a przecież mógł być mężem, kochankiem, oparciem w codzienności.

- Chyba pamiętam cię z poprzedniego wernisazu... - odezwała się nieśmiało Alicja, zerkając pytająco na Rutę. Przecież wtedy nie był tylko jej znajomym! Wracali wówczas razem, objęci, szli pod śmieszna przestarzałą parasolkę. Na dworze szalał huragan, a oni jakby nic sobie nie robili z tego żywiołu. Wreszcie wiatr porwał tę parasolkę, Ruta jęknęła dziwnie, jakby to była jakaś pamiątka. Marek machnął wtedy ręką i rzucił: to tylko wspomnienia. Pocałował ją i poszli dalej. Widać było, że jest między nimi szczególne porozumienie dusz. Więc? Co się stało teraz? Dlaczego?

Ruta mrugnęła do niej, jakby dając do zrozumienia, że wszystko czasem się kończy, Alicja to rozumiała, bo spojrzała już inaczej, pewniej.

- Jak ci się podobają prace Ruty? Prawda, że staje się coraz bardziej dojrzała?

- Tak, oczywiście - bąknął nieśmiało, popatrując na kobietę, która mogła być mu wciąż tak bliska.

Niezobowiązujące rozmowy, jakieś żarty, anegdotki, wino i małe francuskie precelki,

które kruszyły się żółtymi płatkami na posadzkę - czas potoczył się w tym wszystkim naprzód, wieczór rozgościł się nad Łodzią i zgasł, dając cichą noc.

- Znam już twoją odpowiedź - powiedział Marek cicho, gdy wychodzili razem z galerii.

- To dobrze, przynajmniej nic nie muszę ci mówić.

- Ruto, szkoda. Miałem nadzieję...Myślałem, że można jeszcze wszystko odbudować.

- Myliłeś się. To nie dla mnie. Nie umiem być dwulicowa. I tobie również nie radzę. Żeby zmienić swoje życie, trzeba przeciąć wszystko, a nie dyndać na jakimś zapomnianym sznurku.

Rozmawiali jeszcze długo, noc nad nimi kołysała się gwiazdami i lekkim wiatrem, który plątał Rucie włosy.

- Przenocujesz u Alicji, jesteś moim gościem. Rozmawiałam już z nią.

- Nie chcę robić kłopotu.

- Nie zrobisz. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Tak myślisz? Że jest to możliwe?

- Jeśli tylko będziesz chciał. Ja tego chcę i wiem, że potrafię.

Ruta miała klucze od mieszkania przyjaciółki. Weszli na palcach, Alicja już spała, bo od zakończenia wernisażu minęło kilka godzin. Oboje rozeszli się do swoich pokojów jak obcy ludzie, którzy wyjaśnili już sobie to, co mieli wyjaśnić, i zamknęli za sobą drzwi swoich myśli.

- Skąd się wzięło twoje dziwne imię, Petro? - zapytała Ruta któregoś dnia, gdy przyszła pożegnać się z tą wyjątkową kobietą, dobrym duchem łódzkiej galerii, i jednocześnie podziękować za tyle dobrych słów i pomoc w organizacji wernisażu.

- Zaraz ci powiem, ale najpierw ty mi powiedz, jak ci się wszystko podobało?

- Było fantastycznie! Wiesz, myślę sobie teraz, że może powinnam odejść z mojej pracy w Krakowie i zająć się już tylko malarstwem. Mogłabym współpracować z galeriami, na przykład tą warszawską. Czy to nie będzie zbyt pochopne i lekkomyślne?

- Moim zdaniem, powinnaś tak właśnie zrobić. Wiem, że inni doradzą ci inaczej, powiedzą coś o etacie, stabilizacji, ale ja, jako niespełniona artystka, powiem ci z całym przekonaniem: próbuj. Bo potem możesz żałować. Twoje prace są naprawdę dobre. Najważniejsza jest jednak twoja świeża i młoda siła, ciągły impet tworzenia. Widać w tobie pasję. To jest twoje powołanie. Nie zmarnuj tego.

- Tak uważasz? Zastanowię się nad tym. Wciąż biję się z myślami, ale wierząc, że marzenia się spełniają, muszę do tego dążyć. Jeśli będę się wahać, z nimi stanie się tak samo.

- Tamten mężczyzna... Marek... był na wernisażu. On... był kiedyś dla ciebie kimś ważnym? Opowiesz mi?

- Tak, ale to już skończone. Spotkałam się z nim po to, by mu spojrzeć w oczy i coś ważnego wytłumaczyć. Ale on ma inne życie, odległe od mojego. Nie po drodze nam do siebie. Zresztą ja wybrałam samotność. Ona pozwala mi w pełni poświęcić się tworzeniu. Daje więcej powietrza i światła. Teraz próbujemy zostać dla siebie przyjaciółmi... To długa historia. Może kiedyś ci opowiem, ale nie dziś.

Petra się zamyśliła. Może nad własnym życiem, może nad własną przeszłością? Patrzyła na prace Ruty wiszące na jasnych ścianach galerii, czuła, że są jej bliskie. Nie umiała powiedzieć, czemu czuła z tą dziewczyną jakąś szczególną więź, którą się dziedziczy, choć niekoniecznie w genach.

- Piękne są twoje pejzaże z Mazur...

Ruta zamyśliła się, jej myśli pobiegły do tamtego świata, pozostawionego daleko. Znow zaczęła mówić o tym, że dzięki Petrze podjęła ważną decyzję, a tamta zapewniała, że pomoże, jeśli tylko będzie mogła. Już przy wyjściu Petrze nagle przypomniało się coś:

- Ach, pytałaś skąd to imię? Petra to tylko pseudonim. Na potrzeby mojej pracy. Brzmi o wiele ciekawiej niż moje prawdziwe imię. Władysława.

Rutę zastanowiło to imię. Miała wrażenie, że już kiedyś poznała kobietę o tym właśnie imieniu. Władysława. Władzia... Imię dość nietypowe dzisiaj, nadawane dawniej, wiele lat temu, ale i Petra... Nie jest już najmłodsza! Więc to dziedzictwo tamtych lat; dziś znow nazywa się dzieci prosto, zwyczajnie. Władzia, Bronia, Stasia, Zosia - dziewczynki przestają już być Patrycjami, Andżelikami, Nikolami, a noszą zwykłe imiona.

- To ciekawe, że sama wybrałaś sobie imię. Rzeczywiście, jest bardziej, jakby to powiedzieć, artystyczne.

- No właśnie. Nadając sobie nowe imię, zerwałam z moją trudną przeszłością.

- Niektórzy tak właśnie robią. Miałaś trudne dzieciństwo?

- Tak. Może to zabrzmiało jak dziwacznie, wiem, że możesz mi nie uwierzyć, ale... całe życie prześladowało mnie przekonanie, że moje dzieciństwo było największą próbą, na jakie wystawiło mnie życie. I wciąż do mnie to dzieciństwo powraca. W snach, wspomnieniach. Wciąż widzę szary, ponury dom, w którym wiedliśmy trudne życie. Miałam czasem wrażenie, że moje życie jest zaklęte w ten dom. Szare i ponure. Musiałam w nim wiele zmienić, by nabrało żywszych barw.

- Rozumiem cię doskonale. Bo... ja też mam w swoim życiu taki czas. I dom. Szary, ponury. Nie lubię o nim myśleć. Zabrał mi wszystko, co najważniejsze, najdroższe.

- Więc wiesz, o czym mówię! Czuję się skażona dawnym życiem i dlatego tak łąpczywie chwytam to obecne, jakby z lęku, by mi go nikt nie wyrwał, nie zabrał, nie uwięził w schematach, zasadach! Rozumiesz?

- Jesteśmy do siebie bardzo podobne, jak siostry. Chwytam w życiu każdą chwilę. I chcę iść drogą, o której wiem, że jest moją legendą.

Petra spojrzała na Rutę, twarz miała całą w wypiekach. Poczula z Rutą jakąś niewytłumaczalną więź. A przecież nie znała jej wcześniej. Nigdy nie miała siostry, tylko starszego przyrodniego brata, który podobno mieszkał teraz w Kanadzie z jakąś amerykańską rodziną. Rozdzielił ich czas i trudne przeżycia i od lat się nie widzieli. Petra wyrzuciła go już dawno z pamięci, wręcz wstydziła się go - miała ku temu swoje powody. A teraz Ruta - poczuła się, jakby odnalazła siostrę, przyjaciółkę. Jakby znały się od lat.

- Wracasz dziś do siebie, do Krakowa? - zapytała z troską w głosie.

- Tak planuję. W poniedziałek muszę iść do pracy. Ale chyba nie zagrzeję tam długo miejsca. Bo skoro już podjęłam decyzję... Muszę pomyśleć, jak ułożyć na nowo swoje życie. Może nawet... wyjadę na Mazury.

- Tak, piękne są... dobry wybór...

- Lubię tam wracać. Mazury są mi bardzo bliskie. To kraina mojego dzieciństwa. Stamtąd pochodzę, wiesz? - ciągnęła Ruta.

- Naprawdę? Nie pochodzisz zatem z Krakowa? Alicja mówiła przecież, że mieszkasz właśnie tam.



*Wybrałam samotność. Ona pozwala mi w pełni poświęcić się tworzeniu.
Daje więcej powietrza i światła. Fot. Alicja Łotysz-Pogorzelska, Mrągowo,
www.amaltea.info*

- Tak, teraz tam mieszkam, ale dzieciństwo spędziłam na Mazurach.

- Co za dziwny zbieg okoliczności. Ja też! Przed laty, gdy byłam małą dziewczynką. Potem przyszedł zły czas i zabrał mi Mazury. Razem z matką musiałam wyjechać. Zamieszkałyśmy u ciotki, w Warszawie.

- Tak mi przykro. Masz zatem smutne wspomnienia związane z Mazurami. Czasem myślę, że ja też, ale przecież... Tam mieszkała moja mama, która już nie żyje, tam przeżyłam mimo wszystko piękne chwile. Petro, nie miałaś ojca?

- Mój ojciec nie żyje. Po jego tragicznej śmierci musiałyśmy sprzedać mieszkanie na Mazurach, w wielkim ponurym domu, który czasem wraca do mnie w najgorszych snach. Czuję się, jakbym była naznaczona jakąś klątwą.

Spojrzała na Rutę, która nagle pobladła, jakby się źle poczuła. Oparła czoło o szybę okna, przed którym stanęły jeszcze, by chwilę porozmawiać, pożegnać się. Może było w sali zbyt duszno, powinna częściej wietrzyć, a może to te perfumy?

Ruta zamknęła oczy, oddychała w szybko. Czas... Zatacza czasem wielkie koło i umieszcza nas w rzeczywistości tak zaskakującej, że niekiedy wydaje się to wielkim cudem. Gdyby nie ten wernisaż, gdyby nie to, że Ruta chciała w swoim życiu właśnie malować, a nie wstawiać pacjentom światłoutwardzalne wypełnienia, gdyby... Mogły się wydarzyć tysiące innych sytuacji, które stanęłyby na przeszkodzie temu spotkaniu, a jednak Wszechświat tak zaplatał wydarzenia i spotkania, by z jednych wynikały następne i doprowadziły ostatecznie do tego właśnie - najważniejszego, ostatecznego. Człowiek odlicza swój czas, kreśli za jego pomocą mapy swojego życia, a tu nagle okazuje się, że wraca, skąd przyszedł.

- Petro... Ten dom... Ojciec, który nie żyje... Petro... Władziu... - Ruta jąkała się, podnosząc oczy na stojącą obok kobietę.

- Kochana, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

- Odpowiedz mi... jak się nazywasz? Chodzi mi o nazwisko...

- Nazywam się Pet... znaczy, Władysława Kalińska...

Inni jednak są samotnikami z charakteru i nie zostali stworzeni do życia we wspólnocie. Każdy związek kryje w sobie zagrożenie i wrogość, każdy dom, jaki budują sobie, przygniata ich, bowiem nie mają ojczyzny, która by go udźwignęła.

Skąd mogły wiedzieć, że ich rozmowa i tamto pożegnanie w galerii będzie jednocześnie powitaniem? I z obu popłynęły wspomnienia, musiały akurat wtedy to sobie wszystko powiedzieć. Ruta, nie bacząc, że miała wracać do Krakowa, Petra - że jest wciąż w pracy i nie ma nikogo, kto mógłby ją zastąpić. Zamknęła jednak galerię, zostawiając kartkę na drzwiach, i zaprowadziła Rutę do pobliskiej kawiarni, by w spokoju powitać w swoim życiu kobietę, która stała się jej nagle bliska jak siostra. Wszak pochodziły z tego samego domu...

Petra wierzyła przez całe swoje życie, że nikt nie zna jej ponurej tajemnicy - smutnego dzieciństwa w wielkim domu, którego nie ułatwiała nieco sentymentalna i raczej mało zaradna matka, agresywny i wzbudzający w niej lęk ojciec oraz przyrodni brat, który pojawił się nagle w jej życiu i... bardzo szybko znowu zniknął na wiele lat, zamknięty w więzieniu za zamordowanie ich wspólnego ojca, Bronisława. W zasadzie Władzia nie żałowała tamtego nieprzyjemnego w obyciu mężczyzny. Już po pogrzebie odetchnęła z ulgą, że go nie ma, bo wciąż pamiętała, jak był wobec niej bezwzględny. Jego obmacywania były wówczas niezrozumiałe, dziś wiedziała, że pijany Broniek po prostu próbował dobierać się do swojej córki. I zapamiętała jeszcze ze swojego życia rozmowy ojca z sąsiadką z dołu, towarzyszyły im często szepty, które słyszała, gdy po cichutku zakradała się na schody.

Kilka razy ojciec odkrył ją na tych schodach i zbił za nieposłuszeństwo.

- Czego tu podsłuchujesz, gówniaro?! Już cię matka na przespiewki wysłała?! - wykrzykiwał wtedy, ciągnąc ją za rękę do domu. Wrzucał ją do środka i wpadała z impetem do kuchni, prosto na matkę, która albo zmywała, albo gotowała. Gdy pojawił się ten chłopak, Stasiek, o którym mama mówiła, że jest jej przyrodnim bratem, ucieszyła się nawet, mając nadzieję, że ojciec podzieli po równo swoją agresję i chęć bicia z byle powodu. I odczepi się od niej, da jej żyć swoim dzieciństwem. Od razu zauważyła, że Staśka bardziej pokochała jej

matka niż ojciec. Z tamtym łączyła go tylko... wzajemna nienawiść. Jej, wówczas małej Władzi, wydawało się, że ojciec rozumie i lubi jedynie tę brzydką sąsiadkę z dołu. Nikogo więcej.

A potem wydarzyła się tamta awantura, pamiętała, jak sama krzyczała. Tak bardzo chciała, żeby na górę przybiegła ta sąsiadka (o której Ruta powiedziała, że już nie żyje i że tyle zła wyrządziła w jej życiu, a jednak jej wybaczyła!), musiała przecież słyszeć. Ale sąsiadka nie przybiegła, za to nagle pojawił się Stasiak. A potem po Staśka przyjechała milicja i zabrała go, i zobaczyli się dopiero po wielu, wielu latach, Petra już nawet nie pamięta, po ilu. Na pewno była już dorosła. Gdy pytała o to, dlaczego musieli się wyprowadzić z tamtego domu na Mazurach i zamieszkać w ciasnym mieszkaniu komunalnym w centrum Warszawy, matka mówiła jej:

- Trzeba było uciekać od zła. Zmienić swoje życie. Pamiętaj, Władziu, że zło jest bardziej namacalne, niż sobie wyobrażasz. Klątwa rzucona przez tego, kto umiera w gniewie, działa w miejscu, w którym człowiek ten żył...

Dopiero potem, jako już dorosła, zrozumiała te słowa, jednak klątwę tamtego domu czuła nadal. Mając w pamięci tamto zło, nigdy nie związała się na stałe z mężczyzną. A potem poznała Rutę, która wydawała się jej dziwnie bliska. Jej melancholia w oczach i sposób malowania rzeczywistości podziały na nią bardzo silnie. Ostatnio takie artystyczne uniesienie przeżyła na wystawie prac mało znanej dziś Meli Muter, Żydówki, córki bogatego kupca warszawskiego, wielbicielki poezji Leopolda Staffa, o którym mówiła nawet, że jest *prawdziwie zakochana w jego dziele poetyckim, zakochana w tym dość wątpliwym człowieku o cudownych marzycielskich oczach koloru orzechowego, w tej szczupłej, natchnionej twarzy*. Jej pracownię odwiedził kiedyś sam Henri Matisse, przyjaźniła się z Erikiem Satie, była też blisko zżyta z niezwykłym poetą, Rainerem Marią Rilke, którego wiersze i listy Petra czytała czasem do snu. Przed obrazami Meli Muter doznawała tych samych gwałtownych uczuć, które pojawiły się w niej, gdy zobaczyła prace Ruty, krakowskiej artystki. Była w niej ta sama pasja tworzenia i łączenia stylów co u Meli. I Petra postanowiła tę nieznaną malarzkę z Krakowa pokazać światu. Wiedziała, że to dobry wybór. W środowisku mówiło się o niej, że ma nosa do talentów.

Teraz opowiadała jej w skrócie swoje życie, zaskoczona, podobnie jak tamta, tym niezwykłym zbiegiem okoliczności, który tak naprawdę był misternie tkanym przez Wszechświat scenariuszem. A potem Ruta powiedziała jej coś jeszcze, co sprawiło, że znów zapragnęła jechać do tamtego domu, poszukać dawnych ścieżek dzieciństwa, a przede wszystkim - wybaczyć swojemu ojcu wszystkie krzywdy, tamtej sąsiadce - tchórzliwe

milczenie i matce - jej nieudolność i niezaradność.

- W swoim krakowskim mieszkaniu mam coś, co będzie dla ciebie ważne. To zapiski, pisane przez twoją matkę, Fridę Kalińską. Znalazłam je po śmierci mojej mamy, w niewielkiej skrytce na strychu - powiedziała Ruta, patrząc w ciemne oczy Petry.

Petra już wiedziała, że spotkanie z domem jej dzieciństwa jest równie nieuchronne, jak frapujące. Szkoda tylko, że wszyscy, którzy byli z nim związani i czekali na jej wybaczenie, dawno już nie żyli...



Łódź. Miasto łaskawe dla talentu Ruty. To tu właśnie poznała Petrę. Ulica Piotrkowska jest miejscem niezwykłym, zwłaszcza nocą.

Fot. Alicja Zboińska, Łódź

*Istnieje w życiu jakaś sprawiedliwość,
która spełnia się powoli, lecz bezbłędnie.*

W niej pokładam całą swą nadzieję.

- Bardzo mi przykro, dziś nie mogę się z panem spotkać, bo wyjeżdżam na Mazury. Tak, na kilka dni. Proszę o telefon w innym terminie. - Ruta odwołała spotkanie i zaznaczyła coś w kalendarzu. Telefon znów zadzwonił.

- Petra? Tak, jutro będę się pakować.

-...

- Tak, rozmawiałam z galerią...

-...

- Wiem, słyszałam! Tak się cieszę. Naprawdę. To dzięki tobie. Jesteś aniołem mojego życia!

-...

- Nie mogę się doczekać! Odezwę się, jak tylko skończę obraz. Tak, pojutrze. No, pa!

Ruta odłożyła telefon. Musiała dokończyć obraz przed wyjazdem. A potem zapakować go w szary papier i wysłać pocztą, jako prezent urodzinowy, dla osoby, która, Ruta miała taką nadzieję, odczyta z obrazu to, co w życiu jest najważniejsze. Tylko czy ten symbol będzie dobrze zrozumiany? Płótno obrazu może przecież być listem - opowieścią o tym, co ważne i piękne. Niech więc ten obraz będzie nazwaniem stanu jej uczuć.

Więcej widzę radości i miłości do świata w kultowych tańcach pogańskich niż corocznej procesji katolików przez miasto - pomyślała kiedyś, przed laty, i jest wierna tamtym słowom po dziś dzień. Wierzyła w moc przyrody, jej przemiany i cykle, w siłę sprawczą Wszechświata. Doświadczała teraz tej siły, marzenia jej dzieciństwa powoli spełniały się, a ona wiedziała, że to jest właśnie droga, którą chciała podążać przez całe życie. W symbolice pogańskich tańców, o której kiedyś wspomniała, odkryła wielką radość życia i o tej radości postanowiła opowiedzieć.

Noc Kupały. Taneczny krąg ubranych na biało kobiet i mężczyzn, oddzielonych od siebie, skupionych wokół szalonego ognia. W tle noc zrównuje się z dniem, księżyc ze słońcem - a przy ogniu: kobieta z mężczyzną. Rzeka - symbol obmywającej całe zło wody, z

wiankami marzeń, puszczanymi na srebrzącej się powierzchni. Całość spięta drzewami - pochylonymi w wytrwałym staniu. Pogańska, magiczna, pełna znaków i symboli noc - niczym oś, na której kręci się kołowrót życia. Tej nocy urzeczywistnia się jedność Wszechświata, który jest niczym monada - punkt, atom duchowy, spinający ze sobą wszystkie przeciwieństwa. Według dawnych wierzeń bogowie, zaczynając od takiego magicznego punktu, stworzyli świat. Teraz jego stworzenie zostaje powtórzone...

Powstaje zupełnie nowy, daruje spełnienie marzeń i łączy wszystkie przeciwieństwa. Ruta poczuła nagle, że stojąc u jego progu, wchodzi w swoją własną Noc Kupały... W tym świecie nie było już miejsca na żal za miłością. Samotność wcale nie była taka dotkliwa, raczej stała się jej sprzymierzeńcem...

Obraz był piękny, widać było, że malowany z pasją i talentem. Na przemian ciepło-zimne barwy, już nie lekkie, impresjonistyczne, ale jakby cięższe, pełne ekspresji, przywołujące dwojakość skojarzeń, symbolikę znaczenia Nocy Kupały. Ruta nie знаła wprawdzie Meli Muter, ale gdyby pokazała ten obraz Petrze, na pewno dowiedziałaby się, że drzewa, okalające to pogańskie święto pojednania i marzeń, trwają w akcie pochylenia niczym kamienice na obrazie *Rue St. Jacques w Paryżu*.

To był jeden z najbardziej symbolicznych obrazów, jakie w życiu namalowała. Petra na pewno nie chciałaby, by Ruta dawała go komuś w prezencie. Wolałaby, by zawisł w jej galerii. Tymczasem dwa dni później Ruta zapakowała płótno w szary papier i granatowymi drukowanymi literami wypełniła pocztowy druk. Marek Antoni Futerga...

Czy zrozumie jej list do niego, który był milczącym podziękowaniem za wspólne lata? I niczym więcej. Na pewno nie obietnicą bycia razem. Ani teraz, ani kiedykolwiek. Pojednani w tańcu świata, ale na zawsze rozdzieleni ogniem. Każde z nich miało własne życie.

Ruta od ośmiu miesięcy nie pracowała już w krakowskiej Rotundzie, nie organizowała programów kabaretowych, jej nazwisko nie pojawiała się już na napisach końcowych. Marek zapewne to zauważył, ale od tamtego spotkania w Łodzi nie odezwał się ani razu. Ruta myślała o nim tylko wtedy, gdy malowała obraz dla niego. Potem pęd życia przeniósł jej myśli na inne tory, jako rekompensatę za wszystkie traumatyczne przeżycia z przeszłości, zawiedzione nadzieje, łzy i smutek. To życie było niczym kula śniegowa, niosło coraz szybciej do przodu: wywiady w mediach, propozycje współpracy z galeriami, coraz chętniej kupowane prace - sprawiało, że Ruta po raz pierwszy czuła się prawdziwą artystką, malarką - jak powiedziała Petra, tak pewna jej artystycznej przyszłości. Wierzyła w nią bardziej niż Ruta w samą siebie, jednak jej wiara była na tyle zaraźliwa, że powoli udzielała się, rozrastała jak powój również na myśli i marzenia.

Przed wyjazdem Ruta poszła jeszcze na krakowski Kazimierz w nadziei na to, że napotka Sarę i opowie jej o tym wszystkim, co wydarzyło się w jej życiu. Wypatrywała długo miedzianych loków - spotkała kilka kobiet o podobnych włosach, żadna z nich jednak nie była Sarą. Szkoda, że nigdy nie wymieniły się adresami, telefonami - Ruta często wracała myślami do tamtych dwóch spotkań, doceniając, jak bardzo były dla niej ważne, takie... nieprzypadkowe. Sara była jednak na jej drodze tylko krótkim przystankiem, który miał czegoś Rutę nauczyć, bo czasem spotkanie ze zwykłym człowiekiem może okazać się niezwykle.

Na Mazury pojechały razem. Ruta i Petra. Dwie kobiety, które przez całe swoje życie zmagaly się z tajemniczą klątwą ponurego domu pod lasem. Poranione w dzieciństwie, ale wciąż otwarte na marzenia, obie samotne, ale czerpiące z samotności siłę, bez własnych dzieci, ale z przekonaniem, że przecież nie każda kobieta musi je mieć, by czuć się spełnioną i szczęśliwą. Kobiety, które nagle połączył szary brulion z zapiskami Fridy Kalińskiej, dzięki któremu zrozumiały, jak ważne jest w życiu wybaczenie, które tym jest dla życia, co błąd płomień świecy dla najgłębszej choćby ciemności.

Szły zwirową alejką, na której dawno już zarosły ślady stóp - i ich, i Serafiny. Przeszłość powróciła nagle w innym wymiarze czasowym, nie była już niczym innym jak indiańską chwilą, bo ważny był tylko TEN moment, TEN oddech, TO trwanie. A w tym wszystkim wielki entuzjizm dla życia i radość z TEJ chwili.

Ruta nacisnęła dzwonek u drzwi. Otworzyła im ładna kobieta z małym dzieckiem na ręku, za nią biegalo starsze, bardziej samodzielne. Kobieta rozpoznała Rutę - to od niej kilka lat temu kupiła to mieszkanie na piętrze domu. Drugiej kobiety jednak nie znała. Zaprosiła obie do środka. Zaparzyła herbatę. Po czterdziestu minutach znała już historię tego domu, po godzinie i dwudziestu minutach we trzy udały się na strych, by znaleźć dawną skrytkę, w której spoczywały zapiski Fridy, a potem zeszły do piwnicy, by milczeniem uczcić pamięć tamtego mężczyzny, który w chwili śmierci wypowiedział złe słowo, i by wybaczyć mu, bo bez tego człowiek nigdy nie osiągnie pełnego szczęścia.

I wtedy po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat Czas poruszył się w miejscu, pokryty pajęczynami i kurzem, bo do tej pory trwał przecież w swoim uporze, zaklęty w murach tego domu, rodzącego dotychczas tylko ludzkie dramaty, smutek i żal. Dobre myśli, płynące z wybaczenia, były zatem jak oś, która przekreśliła karuzelę życia, by teraz pobiegło drogą - ku słońcu.

Tydzień później, już po wspólnym z Petrą podjęciu decyzji o powrocie na Mazury, kupnie na skraju pewnej wsi mazurskiego siedliska do kapitalnego remontu, i stworzeniu tam

w przyszłości azylu dla kilku psów i kotów oraz przede wszystkim prowincjonalnej galerii, Ruta odebrała e-mail tej treści:

*Dziękuję za Noc Kupały. Życzę ci wiele szczęścia w Twoim odważnym tańcu marzeń. Podążaj w ich stronę niczym motyl ku słońcu. A ja... Będę trwał obok Ciebie, nie wiedząc, co kocham bardziej - ciebie czy tęsknotę za Tobą? Pocałunek, czy pragnienie pocałunku...*¹¹

Na zawsze twój M.

11. Inspiracja wierszem Haliny Poświatowskiej.



Dziękuję za Noc Kupały. Życzę ci wiele szczęścia w Twoim odważnym tańcu marzeń. Podążaj w ich stronę, niczym motyl ku słońcu. A ja... Będę trwał obok Ciebie, nie wiedząc, co kocham bardziej - ciebie, czy tęsknotę za Tobą? Pocałunek, czy pragnienie pocałunku? Obraz Moniki Bogdanowicz, utalentowanej artystki z Reszla, www.monika-bogdanowicz.pl